

Siwiński:  
Zbombardowane studia

Jałocha, Juchiewicz:  
Nauka projektowana

Czakon:  
Naukowy fast-food

# FORUM

## AKADEMICKIE

Ogólnopolski miesięcznik środowisk akademickich

Nr 3/2022

PL ISSN 1233-0930 20 zł (VAT 8%)



**Akademickie „nie” dla wojny** Str. 6-12, 19-23

Szczepaniak:  
Etyka cytatu

Rosińska:  
Kariera fake newsa

Joachimiak:  
Lutnia cysterska

Organizatorzy:

PCG | *Academia*



MIĘDZYNARODOWA KONFERENCJA

oraz

GALA WRĘCZENIA NAGRÓD



18 MAJA 2022, COLLEGIUM NOVUM UJ, KRAKÓW



**Statystyczne podsumowanie procesu ewaluacji** działalności naukowej uczelni, przygotowane przez Ośrodek Przetwarzania Informacji (OPI).



**Panel rektorski na temat wniosków z zakończonej ewaluacji nauki** i kierunków dalszego rozwoju procesu pomiaru naukowego w Polsce.



**Przegląd dobrych praktyk związanych z budowaniem reputacji** na arenie międzynarodowej, z wykorzystaniem nowoczesnych rozwiązań informatycznych.

Program konferencji i formularz rejestracyjny na [www.sciencecon.pl](http://www.sciencecon.pl)



Punktem kulminacyjnym konferencji ScienceCon 2022, będzie **gala wręczenia nagród dla przedstawicieli polskich szkół wyższych**, sklasyfikowanych w THE Impact Rankings 2022 – jedynym, międzynarodowym rankingu opartym o Cele Zrównoważonego Rozwoju ONZ.

Konferencja odbędzie się w formule stacjonarnej. Udział w wydarzeniu jest bezpłatny.

Zapraszamy do kontaktu i do udziału w naszym wydarzeniu.



**Agnieszka Piekart**  
Dyrektor Marketingu  
+48 722 110 522  
[agnieszka.piekart@pcgacademia.pl](mailto:agnieszka.piekart@pcgacademia.pl)



**Waldemar Chmura**  
Specjalista ds. Marketingu  
+48 669 917 029  
[waldemar.chmura@pcgacademia.pl](mailto:waldemar.chmura@pcgacademia.pl)

## INFORMACJE I KOMENTARZE

Wydarzenia	2
„Nie” dla wojny – Rafał Piotrowski	6
Z pomocą Ukraincom Cienie przeszłości – Jerzy Woźnicki	8
Mit o jedności języków – Nadia Gergalo-Dąbek	8
Z pierwszej linii – Paweł Trefler	9
Wyraźny sygnał sprzeciwu – Wojciech Zaluska	10
Decyzja zapadła – Marek Jezabek	11
Bo ojciec poszedł na wojnę... – Jacek Pakuła	12
Zgody nie było, mandat wygaszony	13
Tak czy inaczej chodzi o pieniądze – Andrzej Jabłoński	13
Za pracę, za plagiaty, za finanse... – Piotr Kieraciński	14
Monografie FRSE po raz trzeci – materiał sponsorowany	15
Efektywne kształcenie i badania – Piotr Sankowski	16
Nie tylko IDEAS	16
Polska sztuczna inteligencja – Mariusz Karwowski	17
Strumień euro na horyzoncie	18
Nagroda dla naszego grafika	44

## ROZMOWA FORUM

Umiejętność pod bombami – rozmowa z Waldemarem Siwińskim, założycielem Fundacji Edukacyjnej „Perspektywy”, ekspertem od rankingów i internacjonalizacji studiów	19
--	----

## PROJEKTACJA UNIwersYTETU

„Grantów pragniemy jak akselbantów!” – Beata Jałocha	24
Blaski i cienie projektacji uniwersytetów – Mateusz Juchniewicz	28

## ŻYCIE NAUKOWE

Szybka nauka, makdonaldyzacja i drogi na skróty – Wojciech Czakon	31
Problemy z cytowaniami – Jolanta Szczepaniak	35

## ŻYCIE AKADEMICKIE

Uczony i menedżer – Zbigniew Drozdowicz	38
Z indeksem po medale – Mariusz Karwowski	41
Studia z kirkutem w tle – Krystyna Matuszewska	45

Czytelnia czasopism – Aneta Zawadzka	50
---	----

## Publikuj lub giń

Bez złych intencji – Marek Misiak	51
--------------------------------------	----

## Z LABORATORIÓW

Miejsce na prawdę w wirtualnym świecie – Klaudia Rosińska	54
Spojrzenie na psychologię mediów – Joanna Pluta	58
Fenomen lutni w opactwie cystersów – Grzegorz Joachimiak	62

## W STRONĘ HISTORII

## Uniwersytet w Getyndze, mekka matematyków

Zostać doktorem w Getyndze – Danuta Ciesielska	66
---	----

## Kartki z dziejów nauki w Polsce (246)

Artykuł czy książka? – Piotr Hübner	74
--	----

## OKOLICE NAUKI

## List do redakcji

Złe bodźce – Szczepan Figiel	72
---------------------------------	----

## Książki

W poszukiwaniu użytecznej przeszłości	76
Rzemieślnik nauki – Bogdan Bernat	77
Nie tylko lajki – Konrad Pfeiffer	77
Wieszczów dwóch – Jacek Hnidiuk	78
Odpowiedź to nie wszystko – Aneta Zawadzka	78
Mury są do obrony – Juliusz Gałkowski	79
Książki nadesane	79

## FELIETONY

## Szkiełko w oku

Bieganie z głową – Piotr Müldner-Nieckowski	71
--	----

## Na marginesach nauki

Pożytki pandemii – Leszek Szaruga	80
Projekt okładki – Sławomir Makal	

FORUM  
AKADEMICKIE

Ogólnopolski miesięcznik środowisk akademickich

Rok XXIX Nr 3 (340) Marzec 2022

Adres redakcji: 20-601 LUBLIN, ul. Tomasz Zana 38, tel. 81 528 08 22, e-mail: redakcja@forumakademickie.pl, http://www.forumakademickie.pl. Rada Patronacka: prof. dr hab. Wiesław Banys, prof. dr hab. Katarzyna Chałasińska-Macukow, prof. dr hab. Andrzej Eliasz, prof. dr hab. Jarosław Górniak, prof. dr hab. inż. Andrzej Jajszczyk, prof. dr hab. inż. Jan Szmidt, prof. dr hab. inż. Jerzy Woźnicki – przewodniczący. Redaguje zespół: Piotr Kieraciński – dział informacji, redaktor naczelny (kieracinski@forumakademickie.pl), Grzegorz Filip – dział publicystyki (filip@forumakademickie.pl), Mariusz Karwowski – informacje, media elektroniczne (karwowski@forumakademickie.pl), Marek Remiszewski – sekretarz redakcji (remiszewski@forumakademickie.pl). Stała współpraca: Stefan Ciechan (fotograf), Paweł Kaniuk (DTP, www.web-graf.pl), Sławomir Makal (grafika), Marek Wronski (Marekwro@gmail.com), Aneta Zawadzka. Promocja, kolportaż, konferencje: reklama@forumakademickie.pl), Ewa Kostowska (kostowska@forumakademickie.pl). Wydawca: Fundacja Forum Akademickie, ul. Tomasz Zana 38 a, 20-601 LUBLIN. Prezes Zarządu: Piotr Kieraciński. Druk: Drukarnia „Akapit” Sp. z o.o. © Wszelkie prawa zastrzeżone. Informacje dla autorów: https://forumakademickie.pl/dla-autorow/. Redakcja nie zwraca materiałów niezamówionych, a także zastrzega sobie prawo do skracania i opracowywania artykułów oraz zmiany ich tytułów. Redakcja nie odpowiada za treść ogłoszeń i reklam. Prenumerata: Zamówienia należy składać na adres redakcji. Konto: PEKAO S.A. 21124054971111001061654371. Prenumerata roczna dla instytucji 230 zł. Prenumerata roczna indywidualna 166 zł. e-mail: prenumerata@forumakademickie.pl. PL ISSN 1233-0930

Dofinansowano z programu „Spółeczna odpowiedzialność nauki” Ministra Edukacji i Nauki.

## Nowy dyrektor NCBR

**WARSZAWA** Minister edukacji i nauki Przemysław Czarnek powołał dr. Remigiusza Kopoczka na pełniącego obowiązki dyrektora Narodowego Centrum Badań i Rozwoju. Zastąpił on dr. inż. Wojciecha Kamienieckiego,



Fot. NCBR

który 17 lutego złożył rezygnację ze stanowiska zajmowanego od 30 lipca 2019 roku. Kopoczek w latach 2012–2016 był prodziekanem ds. kształcenia i studentów na Wydziale Artystycznym Uniwersytetu Śląskiego. Od 2020 r. zasiada w Senacie uczelni. Jest współautorem kierunków studiów z dziedziny projektowania gier i przestrzeni wirtualnej oraz autorem i współautorem publikacji m.in. na temat procesu tworzenia gier komputerowych, wykorzystywania multimediów i rzeczywistości wirtualnej w edukacji. W ostatnich latach sprawował stanowisko prezesa zarządu pierwszego akceleratora gier wideo ARP Games. Przed objęciem stanowiska w NCBR był prezesem zarządu jednej z największych konferencji gospodarczej w Polsce – Kongresu 590.

## Zmiana na czele ICM UW

**WARSZAWA** Dr inż. Robert Sot został nowym dyrektorem Interdyscyplinarnego Centrum Modelowania Matematycznego i Komputerowego Uniwersytetu Warszawskiego. Zastąpił na tym stanowisku dr. Marka Michalewicza, który kierował jednostką od lipca 2018 r. Jest specjalistą w zakresie komputerowego wspomaganie projektowania właściwości nowoczesnych materiałów, w szczególności w zakresie modelowania materiałów przy użyciu metod ab initio. W ICM UW pracuje od 2001 r. Koordynował i nadzorował realizację dużych projektów inwestycyjnych związanych z rozwojem infrastruktury informatycznej nauki, w które zaangażowany był UW, m.in. Centrum Badań Przedklinicznych i Technologii (CePT) oraz OCEAN (stworzenie w ICM UW unikalnego na skalę Polski centrum kompetencji i technologii do analizowania dużych zbiorów danych o wartości ponad 160 mln zł). W latach 2010–2013 pełnił funkcję dyrektora CePT.



Fot. ICM

## Medal Diraca dla Polki

**TORUŃ** Dr hab. Katharina Boguslawski z Instytutu Fizyki na Wydziale Fizyki, Astronomii i Informatyki Stosowanej Uniwersytetu Mikołaja Kopernika została laureatką Medalu Diraca. Doceniono ją za opracowanie nowych metod chemii kwantowej dla stanów podstawowych i wzbudzonych silnie i słabo skorelowanych układów opartych na sieciach sensorowych. Współtworzyła pakiet oprogramowania PyBEST, służący do obliczeń struktury elektronowej na styku fizyki i chemii. Medal Diraca przyznawany jest corocznie (od 1998 r.) przez Światowe Stowarzyszenie Chemii Teoretycznej i Obliczeniowej (WATOC). Trafia do wybitnych chemików obliczeniowych, którzy nie ukończyli 40 roku życia. Wśród 24 dotychczasowych laureatów był tylko jeden Polak – prof. Jerzy Ciołowski z Uniwersytetu Szczecińskiego.



Fot. Andrzej Romaniński

## Jeszcze dwóch „startowców”

**WARSZAWA** Nie 15, lecz 17 grantów zdobyli polscy naukowcy w pierwszym w tym roku konkursie European Research Council. Po uwzględnieniu projektów z listy rezerwowej laureatem ERC Starting Grant został



Fot. UW



Fot. Adrian Wykrota

także dr hab. Piotr Garbacz, kierownik Pracowni Spektroskopii Jądrowego Rezonansu Magnetycznego na Uniwersytecie Warszawskim. Jego projekt jest pierwszym w historii StG realizowanym na Wydziale Chemii UW. Zakłada m.in. powstanie nowej gałęzi spektroskopii molekularnej. Kolejnym laureatem – drugim z Uniwersytetu im. Adama Mickiewicza w Poznaniu po dr hab. Kindze Kamieniarz-Gduli – został dr hab. Michał Bogdziewicz z Wydziału Biologii. Otrzymał 1,5 mln euro na projekt dotyczący wpływu zmian klimatu na produkcję nasion przez drzewa.

## Pomysłowi studenci

**KIELCE** Bezprzewodowy system nadzoru nad temperaturą ciała pacjenta, nowe związki organiczne o potencjalnej aktywności przeciwdrobnoustrojowej czy mieszanka mineralno-asfaltowa – to kilka z wynalazków nagrodzonych w XII konkursie „Student-Wynalazca”. Na tegoroczny konkurs nadesłano 103 zgłoszenia od 141 twórców z 19 uczelni. Wśród najaktywniejszych znaleźli się młodzi innowatorzy z Uniwersytetu Przyrodniczego we Wrocławiu (38 rozwiązań), Politechniki Lubelskiej (14),



Fot. PŚK

Politechniki Wrocławskiej i Politechniki Świętokrzyskiej (po 9). Główne nagrody trafiły do: Agnieszki Krawczyk-Łebek (UPWr), Karoliny Janus (PŚk), Jakuba Krasowskiego (PŚk), Wojciecha Reklewskiego (Akademia Górniczo-Hutnicza) i Jacka Szerby (Śląski Uniwersytet Medyczny). Do wszystkich dotychczasowych konkursów blisko 2,5 tys. wynalazców zgłosiło już w sumie 1177 pomysłów.

## Centrum wiedzy o mobilności

**WARSZAWA** W Wojskowej Akademii Technicznej powstało pierwsze w kraju Centrum wiedzy o dostępności do transportu i mobilności osób o szczególnych potrzebach. Eksperci będą rozwijać zagadnienia projek-



Fot. WAT

towania uniwersalnego i kształcić kadry w tym kierunku. Celem działań konsorcjum ma być wypracowanie, promowanie i upowszechnianie innowacyjnych rozwiązań, które ułatwią funkcjonowanie seniorom, osobom chorym i niepełnosprawnym, a także weteranom z zespołem stresu pourazowego oraz ofiarom wypadków drogowych. W projekcie wartym blisko 5,5 mln zł uczestniczą także Uniwersytet Kardynała Stefana Wyszyńskiego i Instytut Transportu Samochodowego. Oprócz WAT centra wiedzy o dostępności powstają także na: Politechnice Opolskiej (design i przedmioty codziennego użytku), Uniwersytecie Szczecińskim (cyfryzacja i komunikacja), Politechnice Krakowskiej (architektura, urbanistyka i budownictwo). Wszystkie mają charakter pilotażowy.

## Stawiają na wodór

**KATOWICE** Siedem podmiotów naukowych znalazło się w gronie założycieli Śląsko-Małopolskiej Doliny Wodorowej. Jej członkami zostały m.in. spółki energetyczne i paliwowe, samorządy, organizacje biznesowe, a także uczelnie i instytuty badawcze: Politechnika Śląska, Akademia Górniczo-Hutnicza w Krakowie, Politechnika Krakowska, Uniwersytet



Wodór świecący w lampie wyładowczej

For. Alchemist-hp (talk) (www.pse-mentel.pl/view.php)

Śląski, Instytut Techniki Górniczej Komag, Instytut Chemicznej Przeróbki Węgla, Główny Instytut Górnictwa. Celem stowarzyszenia jest wspieranie rozwoju gospodarki wodorowej oraz dążenie do zbudowania regionalnej gałęzi przemysłu wodorowego, w tym opartego na produkcji wodoru w procesie elektrolizy z wykorzystaniem energii produkowanej z instalacji OZE, a także jego wykorzystanie w energetyce, transporcie i infrastrukturze oraz przemyśle. Naukowcy wniosą do powołanego stowarzyszenia gotowe do wdrożenia pomysły, jak np. wykorzystanie odpadowego wodoru do celów energetycznych (PK). Do tej pory Doliny Wodorowe powstały m.in. na Dolnym Śląsku, Podkarpaciu i w Wielkopolsce. Polska jest jednym z czołowych producentów wodoru na świecie.

## Pokieruje nawigatorami

**SZCZECIN** Dr hab. inż. kpt. Janusz Uriaż, prorektor ds. innowacji i rozwoju Akademii Morskiej w Szczecinie, został przewodniczącym Polskiego Forum Nawigacji. Organizacja dba o rozwój nawigacji jako nauki i praktycznej działalności na morzu, lądzie, w powietrzu i przestrzeni kosmicznej. Kontynuuje tradycje polskiej nawigacji rozwijanej od czasu odzyskania przez Polskę niepodległości i powołania Szkoły Morskiej w Tczewie, Szkoły Podchorążych Marynarki Wojennej w Toruniu, Oficerskiej Szkoły Lotnictwa w Grudziądzu. Organizacja skupia uczonych z polskich ośrodków badawczych zajmujących się nawigacją. Jest członkiem europejskiego stowarzyszenia instytutów nawigacyjnych EUGIN oraz międzynarodowego stowarzyszenia Instytutów Nawigacyjnych IAIN. Po raz pierwszy w historii na czele PFN stanął przedstawiciel AMS. W kadencji J. Uriaża w Polsce zostanie zorganizowana Europejska Konferencja Nawigacyjna (2025) oraz – po raz pierwszy w naszym kraju – Światowy Kongres Nawigacji (2027).



For. AMS

## Lotnicze laboratorium

**SIERAKÓW** Niedaleko Przasnysza powstało Laboratorium Ośrodka Badań Lotniczych Politechniki Warszawskiej. Jednym z jego głównych celów jest wzmocnienie współpracy z lokalnymi przedsiębiorcami oraz rolni-



For. PW

kami poprzez aplikowanie nowoczesnych technologii mających zwiększyć efektywność pracy. W budynku o powierzchni 600 m<sup>2</sup> znajduje się dziewięć warsztatów i laboratoriów oraz hangar. W ośrodku będą prowadzone badania nad systemami bezzałogowymi. W planach jest też rozwój alternatywnych napędów, systemów zarządzania lotem i systemów nawigacyjnych, jak również projektów na rzecz precyzyjnego rolnictwa. Naukowcy zajmą się także nowoczesnymi technologiami materiałowymi. Flotę powietrzną stanowić będą dwa motoszybowce z napędem elektrycznym: PW-X10 i AOS-71. Prace w nowej placówce rozpoczną się w kwietniu, a już na maj zaplanowano pierwsze zawody i pokazy lotnicze.

## Politologzy z UAM w ECPR

**POZNAŃ** Wydział Nauk Politycznych i Dziennikarstwa Uniwersytetu im. Adama Mickiewicza dołączył do European Consortium for Political Research, organizacji zajmującej się promocją badań w zakresie nauk politycznych. ECPR skupia ponad 300 instytucji z 50 państw. Członkostwo otwiera możliwość uczestnictwa m.in. w szkoleniach, seminariach, szkołach letnich, dorocznej konferencji generalnej. WNPID UAM powstał w 2008 r. w wyniku przekształcenia Instytutu Nauk Politycznych i Dziennikarstwa. Obecnie prowadzi studia na pięciu kierunkach: politologii, stosunkach międzynarodowych, dziennikarstwie i komunikacji społecznej, bezpieczeństwie narodowym oraz zarządzaniu państwem. To siódma polska jednostka w ECPR. Do organizacji należą też: Wydział Studiów Międzynarodowych i Politycznych UJ, Instytut Nauk Politycznych UW, Wydział Politologii i Dziennikarstwa UMCS, Instytut Studiów Politycznych PAN, Instytut Politologii Uniwersytetu Wrocławskiego, Uniwersytet SWPS.

## Doktorat h.c. – prof. Andrzej K. Koźmiński

**WARSZAWA** Założyciel, wieloletni rektor, a obecnie honorowy prezydent Akademii Leona Koźmińskiego otrzymał 16 lutego tytuł doktora honoris causa Uniwersytetu Warszawskiego. Jest jednym z filarów nauk o zarządzaniu w Polsce i Europie. Jako pierwszy demokratycznie wybrany dziekan Wydziału Zarządzania UW (1981–1987) przyczynił się do zmiany metod i sztuki zarządzania, a także nowoczesnej nauki organizacji [nie wiem, o co chodzi; trzeba to zmienić; pomysłem - PK]. Jego prace miały duży wpływ na transformację polskiej gospodarki. Jest autorem ponad 500 prac naukowych z zakresu teorii równowagi funkcjonowania w organizacjach, nurtu systemowego, koncepcji przywództwa czy gier organizacyjnych. Należy do pionierów nowoczesnej edukacji menedżerskiej w Europie. Jest członkiem korespondentem PAN. Wcześniej otrzymał doktoraty honoris causa Uniwersytetu Szczecińskiego (2015) i francuskiej ESCP Europe Business School (2017).



For. ALK

## Doktorat h.c. – prof. Martin Kramer

**TORUŃ** Nadanie prof. Martinowi Kramerowi z Wydziału Medycyny Weterynaryjnej Uniwersytetu Justusa Liebiga w Giessen tytułu doktora honoris causa Uniwersytetu Mikołaja Kopernika uświetniło obchody Święta Uniwersytetu, które uczelnia celebryje co roku 19 lutego, w dniu urodzin swojego patrona. Najwyższe wyróżnienie akademickie przyznano za wkład w rozwój nowoczesnych technik obrazowania i europejskiej edukacji weterynaryjnej oraz za krzewienie wiedzy i umiejętności prak-



Fot. Łukasz Smarz

tycznych. Prof. Kramer jest prorektorem ds. nauki i wspierania młodych naukowców swojej uczelni. Zajmuje się m.in. wartością prognostyczną diagnostyki obrazowej u chorych zwierząt z wykorzystaniem nowoczesnych przekrojowych metod obrazowania przed, w trakcie i po zabiegach chirurgicznych. Wypracowywane przez niego nowatorskie rozwiązania terapeutyczne, chirurgiczne, a także diagnostyczne są następnie oceniane pod kątem ich wykorzystania jako modele chorób ludzkich.

### Doktorat h.c. – Olga Tokarczuk

**WARSZAWA** Polska noblistka w dziedzinie literatury otrzymała tytuł doktora honoris causa Uniwersytetu Warszawskiego. W 1987 roku Tokarczuk ukończyła studia na Wydziale Psychologii UW. Jest uznawana za jedną z najwybitniejszych przedstawicielek literatury najnowszej w kraju i za granicą. W swoim dorobku ma m.in. powieści, zbiory



Fot. UW

esejów, tom poetycki i scenariusze filmowe. Jest laureatką Nagrody Bookera za powieść *Bieguni* (2018) oraz dwukrotną laureatką Nagrody Literackiej „Nike” za *Biegunów* (2008) i *Księgi Jakubowe* (2015). W 2019 roku Akademia Szwedzka i Fundacja Noblowska doceniły jej wyobraźnię narracyjną, przyznając Nagrodę Nobla w dziedzinie literatury za 2018 rok.

Pisarka dołączyła tym samym do grona noblistów związanych z Uniwersytetem Warszawskim. Na uczelni studiowali m.in.: Henryk Sienkiewicz, Czesław Miłosz, Józef Rotblat, Leonid Hurwicz i Menachem Begin.

### Polacy współtworzą wykrywacz neutronów

**WARSZAWA** Opracowaniem, produkcją i instalacją m.in. liniowego akceleratora elektronów, kompozytowych modułów fotodetektorów oraz modułów obwodów elektronicznych zajmie się konsorcjum dziewięciu polskich instytucji naukowych, którego liderem jest Narodowe Centrum Badań Jądrowych. Prace są prowadzone w ramach międzynarodowego projektu Hyper-Kamiokande. Jego celem jest wyjaśnienie Teorii Wielkiej Unifikacji i dostarczenie informacji o historii ewolucji Wszechświata poprzez badanie rozpadu protonów i pomiary efektów łamania symetrii CP (asymetrii między neutronami i antyneutronami), a także obserwacja neutronów pochodzących z wybuchów supernowych. Główny detektor ma rozpocząć pracę w 2027 r. w Kamioce w japońskiej prefekturze Gifu. Będzie miał całkowitą masę osiem razy większą niż jego poprzednik Super-Kamiokande i zostanie wyposażony w nowo opracowane fotodetektory o wysokiej czułości.

### Skamieniałości na ekranie

**WARSZAWA** Skamieniałości flory i fauny z różnych okresów, w tym szczątki dinozaurów, koralowce i amonity, gromadzone od połowy XX wieku w Instytucie Paleobiologii PAN, można obejrzeć na nowej platformie internetowej. Udostępniono na niej zdigitalizowane zasoby z ok.

800 kolekcji. W zbiorach są m.in. setki sylurskich i ordowickich głazów narzutowych oraz rdzeni wiertniczych bogatych w skamieniałości, głównie graptolitów. Badania prowadzone w Górach Świętokrzyskich zaowocowały zbiorami dewońskich bezkręgowców. Ze względu na wyjątkową liczebność jurajskich, kredowych, a także kenozoicznych odsonić w Polsce, szczególnie bogate są kolekcje koralowców, jeżowców oraz głowonogów. Dzięki ekspedycjom na Pustynię Gobi powstały zbiory późnokredowych ssaków, gadów, płazów i ptaków, a w rejonach polarnych – kolekcje bezkręgowców (otwornice, mszywioly, ramienionogi, kraby, mięczaki i jeżowce) i roślin.



Zdjęcie: wikipedia.pl

W sumie od 1952 r. zgromadzono prawie 100 tys. okazów, które dostępne są pod adresem: kolekcja.paleo.pan.pl.

### Filmówka z Netflixem

**ŁÓDŹ** Szkoła Filmowa w Łodzi i Netflix rozpoczęły realizację projektu, który powstał z myślą o młodym pokoleniu filmowców z Polski. Inicjatywa ma ułatwić im start w branży audiowizualnej. To część międzynarodowego programu Netflix Grow Creative, w ramach którego studenci i studentki scenariopisarstwa, organizacji produkcji filmowej oraz reżyserii biorą udział w cyklu warsztatów prowadzonych przez ekspertów w swoich dziedzinach. Szkolenia dla osób wiążących przyszłość z branżą kreatywną obejmą m.in. prowadzenie i koordynację twórczej współpracy, pisanie i rozwój scenariusza, przygotowanie do pitchingów. Współpracę zainicjowały warsztaty, w trakcie których uczestnicy mieli okazję posłuchać o sztuce opowiadania historii, specyficznych zasadach produkcji i finansowania czy postprodukcji, a także poznać tajniki procesu pozyskiwania tytułów dla Netflixu.

### Logistyka XXI wieku

**SUWAŁKI** Nowoczesne systemy logistyczne i magazynowe oddano do dyspozycji studentów Państwowej Uczelni Zawodowej im. prof. Edwarda F. Szczepanika. Pracownie powstały dzięki ministerialnemu projektowi „Inicjatywa wsparcia dążenia do doskonałości”. Studenci poczną się



Fot. PUZ

w nich jak w rzeczywistym magazynie, gdzie odbywa się kompletacja i sortowanie towarów metodą pick by light i pick by voice, a do dyspozycji są specjalne wózki, gogle, czujniki, zaawansowane monitory i wyświetlacze. Wśród zakupionego sprzętu jest m.in. symulator wózka widłowego. Trenujący, siedząc w fotelu operatora, mogą korzystać z kierownicy, kontrolerów i dźwigni zmiany biegów. Na ekranach wyświetlany jest rzeczywisty kokpit, przed którym widać maszt wózka wraz z tzw. karetką i widłami. W ustawieniach oprogramowania można zmieniać warunki treningu – wybiera się zarówno plac, po którym porusza się wózek, jak i warunki pogodowe. Całkowity koszt ministerialnego wsparcia to 1 mln zł.

## Walczą z fake newsami

**WARSZAWA** W lutym rozpoczęło pracę Środkowoeuropejskie Obserwatorium Mediów Cyfrowych (CEDMO). To ośrodek skupiający fact-checkerów, badaczy sztucznej inteligencji, socjologów oraz medioznawców, którzy połączyli siły w walce z dezinformacją. Obejmuje swoim zasięgiem Polskę, Czechy i Słowację. Działania w naszym kraju koordynuje Uniwersytet SWPS. Poszczególni partnerzy odpowiadają za natychmiastowe reakcje na dezinformacje i codzienne sprawdzanie faktów, opracowanie metod i narzędzi cyfrowych usprawniających i przyspieszających walkę z fake newsami, badania nad wpływem dezinformacji na społeczeństwo. Naukowcy zanalizują strukturę fake newsów, ścieżki ich udostępniania w internecie oraz reguły, jakimi rządzi się ich odbiór w różnych grupach społecznych. W kampaniach społecznych badacze wykorzystają elementy grywalizacji, planują również współpracę z influencerami. Działa już strona [www.cedmo.org](http://www.cedmo.org), na której znaleźć można prezentacje i filmy instruktażowe na temat świadomego wyszukiwania i sprawdzania wiarygodności materiałów znalezionych w sieci.

## UAM i UG najlepsze w futsalu

**KRAKÓW** Uniwersytet Ekonomiczny w Krakowie gościł finalistów Akademickich Mistrzostw Polski w futsalu. Rywalizacja mężczyzn zakończyła się triumfem studentów Uniwersytetu Gdańskiego, którzy w decydują-



cym meczu pokonali Państwową Uczelnię Stanisława Staszica w Pile 4:1. Brązowy medal dla Uniwersytetu Warszawskiego. Najlepszym zawodnikiem turnieju wybrano Piotra Przygockiego (PUSS). Wśród pań najlepsze okazały się futsalistki Uniwersytetu im. Adama Mickiewicza w Poznaniu, które wygrały z gospodyniami imprezy 1:0. Na najniższym stopniu podium stanęły zawodniczki UG. Nagrodę MVP przyznano Julii Szostak (UEK).

## Pomoc dla chorych na Parkinsona

**RZESZÓW** Program komputerowy do wykrywania i oceny zaburzeń mowy w chorobie Parkinsona opracowali naukowcy Politechniki Rzeszowskiej. Umożliwia przeprowadzenie obiektywnej oceny zaburzeń mowy na podstawie analizy sygnału mowy zarejestrowanego podczas badania logopedycznego za pomocą mikrofonu. Program wyznacza różne parametry w dziedzinie czasu, częstotliwości oraz czas–częstotliwość, które można wykorzystać w diagnostyce medycznej do oceny procesu fonacji, artykulacji i prozodii, a także do wykrycia drżenia głosu charakterystycznego w chorobie Parkinsona. Proponowane rozwiązanie ułatwi logopedzie wykonanie samego badania oraz umożliwi archiwizację jego wyników zarówno w postaci plików dźwiękowych, jak i protokołów z wynikami testów. Moduł programu przeznaczony dla pacjenta opracowano, by wspomóc go podczas wykonywania regularnych ćwiczeń w warunkach domowych celem spowolnienia procesu degeneracji mowy.



## Podyplomowo o klimacie

**KRAKÓW/WARSZAWA/WROCŁAW** Międzyuczelnianą Akademię Klimatu będą realizować Akademia Górniczo-Hutnicza im. Stanisława Staszica, Szkoła Główna Handlowa i Uniwersytet Wrocławski. Konsorcjum z udziałem sektora bankowego i biznesu poprowadzi interdyscy-



plinarne studia podyplomowe. MAK to kompleksowa oferta skierowana do profesjonalistów chcących zwiększyć wiedzę i praktyczne umiejętności w związku ze zmianami klimatu. Studium zostało opracowane z myślą o pracownikach urzędów miast i jednostek miejskich, administracji rządowej i samorządowej, przedstawicielach biznesu, firm produkcyjnych i usługowych, w tym konsultingowych, prawniczych i finansowych. Zajęcia będą organizowane przez wszystkie trzy uczelnie. Prace dyplomowe mogą powstawać w kilkuosobowych zespołach interdyscyplinarnych, w skład których wejdą finansisci, inżynierowie i humaniści.

## WSB także w Łodzi

**ŁÓDŹ** Największa w Polsce grupa uczelni niepublicznych powiększyła się o kolejną placówkę. Jedenastym miastem w Wyższą Szkołę Bankową – po Bydgoszczy, Chorzowie, Gdańsku, Gdyni, Łodzi, Opolu, Poznaniu, Szczec-



cinie, Toruniu, Warszawie i Wrocławiu – została Łódź. Nabór rozpocznie się pod koniec marca. Kandydaci znajdą w ofercie studia licencjackie oraz 80 kierunków studiów podyplomowych. Na pierwszym stopniu będzie można studiować m.in. finanse i rachunkowość, design w biznesie oraz zarządzanie. Pierwsza WSB powstała 28 lat temu w Poznaniu. Od tamtej pory studia w placówkach całej grupy podjęło ponad 400 tys. studentów. Szkoły prowadzą 230 kierunków licencjackich i magisterskich oraz 680 podyplomowych. Oferują także studia MBA.

Opracował Konrad Pfeiffer

Współpraca: Renata Czeladko, Marcin Czyżniewski, Kamil Dziewit, Weronika Godowska, Marta Jagielowicz, Ewa Jankiewicz, Agnieszka Książkiewicz, Daiwa Maksimowicz, Anna Modzelewska, Marek Pawłowski, Krzysztof Szymański, Anna Żmuda-Muszyńska

Wykorzystano serwisy prasowe szkół wyższych, placówek badawczych i instytucji otoczenia nauki.

Więcej aktualności na naszej stronie internetowej

[www.forumakademickie.pl](http://www.forumakademickie.pl)

oraz na naszych profilach na Facebooku

i na Twitterze



# „Nie” dla wojny

Rosyjska inwazja na Ukrainę spotkała się ze zdecydowaną reakcją świata akademickiego. Stanowczy sprzeciw w imieniu polskiej społeczności wyraził prof. Włodzimierz Bernacki, wiceminister edukacji i nauki. W liście do ministra nauki i szkolnictwa Federacji Rosyjskiej potępił akt agresji, podkreślając, że badania naukowe powinny służyć dalszemu rozwojowi kolejnych pokoleń „w oparciu o nowe technologie, metodologie, standardy, a nie wspieraniu działań wymierzonych przeciwko innym narodom”. Zadeklarował wystąpienie Polski ze Zjednoczonego Instytutu Badań Jądrowych w Dubnej oraz Międzynarodowego Centrum Informacji Naukowej i Technicznej. Jednocześnie poinformował o wstrzymaniu kontaktów z rosyjskimi naukowcami, uczelniami i ośrodkami badawczymi, a także przerwaniu prac nad międzyrządową umową o wzajemnym uznawaniu świadectw, dyplomów, okresów studiów, wykształcenia, kwalifikacji i stopni naukowych.

W ślad za tym kontakty z rosyjskimi partnerami zerwały uczelnie i instytuty badawcze. Programy realizowane z Rosją wstrzymała Narodowa Agencja Wymiany Akademickiej, zapowiadając jednocześnie specjalny program dla studentów i doktorantów z Ukrainy. W krótkim komunikacie podkreślono, że „rozwój nauki jest możliwy tylko przy poszanowaniu podstawowych praw humanitarnych, a rosyjskie działania wojenne jednoznacznie to uniemożliwiają”.

Z apelem o zerwanie współpracy wystąpili także szefowie instytucji przedstawicielskich środowiska akademickiego. „Stoimy na stanowisku, że niezbędnym warunkiem [jej] kontynuowania musi być wzajemne zaufanie, szanowanie wartości akademickich oraz pokojowe wykorzystanie wyników wspólnych badań, a także jednoznaczne uznanie suwerenności oraz integralności terytorialnej Ukrainy” – napisali przewodniczący Konferencji Akademickich Szkół Polskich, Konferencji Rektorów Publicznych Szkół Zawodowych, Konferencji Rektorów Zawodowych Szkół Polskich, Rady Głównej Nauki i Szkolnictwa Wyższego, Krajowej Reprezentacji Doktorantów, Rady Młodych Naukowców, Parlamentu Studentów RP, Akademii Młodych Uczonych PAN oraz prezes PAN. Pełną solidarność z narodem ukraińskim oraz słowa wsparcia dla tamtejszego świata nauki wyraziły władze Narodowego Centrum Nauki i Narodowego Centrum Badań i Rozwoju.

Donośnie wybrzmiały też głosy z zagranicy. Osiem brukselskich biur łącznikowych ds. nauki i innowacji – w tym dwa polskie: Biuro Promocji Nauki PolSCA PAN i Biuro NCBR – napisało, że Europejska Przestrzeń Badawcza to miejsce, do którego należy również Ukraina. Zobowiązano się do opracowania i wdrożenia instrumentów finansowania badań i mobilności, opieki administracyjnej, szkoleń i innych narzędzi wsparcia dla studentów, badaczy i akademików, zarówno tych pozostających w swojej ojczyźnie, jak i przesiedlonych i szukających schronienia. „Bliscy Ukrainie geograficznie, dzieląc z nią ciemne karty dziejów XX wieku, apelujemy: historia nie może się powtórzyć” – podkreślono.

Zdecydowane kroki podjęła Komisja Europejska, wstrzymując przygotowania do umów grantowych dla czterech projektów z udziałem pięciu rosyjskich organizacji badawczych w ramach programu Horyzont Europa. Zablokowano wszelkie płatności na rzecz rosyjskich podmiotów z tytułu istniejących kontraktów, zaś podpisanie nowych umów zawieszono do odwołania. „Ta interwencja to atak na elementarne wartości wolności, demokracji i samostanowienia, na których opierają się ekspresja kulturowa, wolność akademicka i naukowa oraz współpraca badawcza” – stwierdziła Mariya Gabriel, komisarz UE ds. innowacji, badań, kultury, edukacji i młodzieży. Zapewniła także, że zgodnie z podpisaną w październiku ub.r. umową o stowarzyszeniu z programami HE i Euratom, Ukraina będzie mogła kontynuować w nich swój udział.

Wyłonione przed dwoma i trzema laty konsorcja europejskich uniwersytetów (polskie uczelnie są członkami 14 spośród 41 sojuszy) potępiły we wspólnym oświadczeniu zbombardowanie Charkowskiego Uniwersytetu Narodowego. „Wierni europejskim wartościom, takim jak godność ludzka, wolność, demokracja, równość, rzędy prawa i prawa człowieka, nasze sojusze pozostaną otwarte na wszystkich studentów i pracowników naukowych oraz będą udzielać pomocy wszystkim, których dotknęła ta tragedia” – zapewniono.

Europejskie Stowarzyszenie Uniwersytetów (EUA), do którego należy m.in. 37 polskich instytucji, potępiło rosyjską agresję oraz zadeklarowało wszelkie możliwe działania na rzecz wsparcia uczelni członkowskich z Ukrainy. To 25 szkół wyższych m.in. z Charkowa, Sum, Połtawy, Odessy, Kijowa, Winnicy, Lwowa i Użhorodu. Wezwano do zaniechania kontaktów z rosyjskimi instytucjami rządowymi, a w przypadku tamtejszych naukowców – mimo że dostrzeżono krytykę inwazji przez wielu z nich – doradzono upewnienie się, czy kontynuacja współpracy z nimi jest obecnie właściwa. Jednocześnie EUA (w 9-osobowym Zarządzie zasiada w tej kadencji dr hab. Marcin Pałus, prof. UW) zawiesiło członkostwo 12 rosyjskich uniwersytetów: z Tomsk (2), Rostowa nad Donem, Niżnego Nowgorodu, Moskwy (5), Kazania, Sankt Petersburga i Kaliningradu, których rektorzy znaleźli się w gronie sygnatariuszy kuriozalnego listu Związku Rektorów Rosyjskich. W dokumencie podpisanym przez niemal 180



Dawny gmach Sejmu Galicyjskiego (1877-1881, arch. J. Hochberger). W 1920 r. został siedzibą Uniwersytetu Jana Kazimierza. Obecnie główny gmach Lwowskiego Narodowego Uniwersytetu im. I. Franki.

Fot. Stefan Czechan

rektorów wyrażono poparcie inwazji na Ukrainę. „W tych dniach bardzo ważne jest wsparcie naszego kraju, naszej armii, która broni naszego bezpieczeństwa, wsparcie naszego prezydenta, który być może podjął najtrudniejszą, ciężko wywalczoną, ale niezbędną decyzję w swoim życiu” – napisał Związek Rektorów Federacji Rosyjskiej. Wyrażono pełne zrozumienie dla „demilitaryzacji i denazyfikacji Ukrainy”, dodając, że uniwersytety, jako kręgosłup państwa, „powinny służyć Rosji i rozwojowi jej potencjału intelektualnego” oraz „zaszczepić w młodych patriotyzm, chęć pomocy Ojczyźnie”.

Zupełnie nie współgra z tym treść listu otwartego, jaki zaraz po napaści na Ukrainę pojawił się na stronie internetowej rosyjskiego czasopisma popularnonaukowego *trv-science.ru*, którego założycielem jest prof. Michaił Gelfand, biolog z Moskiewskiego Państwowego Uniwersytetu im. Łomonosowa oraz Skolkowskiego Instytutu Nauki

i Technologii w Moskwie. „Odpowiedzialność za rozpoczęcie nowej wojny w Europie spoczywa wyłącznie na Rosji. Ta wojna nie ma żadnego sensownego usprawiedliwienia (. . .) Nasi ojcowie, dziadkowie i pradiadkowie wspólnie walczyli przeciwko nazizmowi. Rozpętanie wojny w imię ambicji geopolitycznych przywódców rosyjskich, napędzane wątpliwymi fantazjami historiozoficznymi, jest cyniczną zdradą ich pamięci” – czytamy w stanowisku podpisanym przez kilkuset rosyjskich naukowców i dziennikarzy naukowych. Zaznaczono, że Rosja, skazując się na międzynarodową izolację, wybrała ścieżkę dalszej degradacji kulturowej i technologicznej, której efekty bez wątpienia dotkną także naukę. Obecnie strona czasopisma, na której opublikowano list, jest już zablokowana.

Rafał Piotrowski

## Z pomocą Ukraińcom

Informacje o możliwościach wsparcia studentów i naukowców bezpośrednio dotkniętych wojną na Ukrainie zbierane są na stronie [www.scienceforukraine.eu](http://www.scienceforukraine.eu). To inicjatywa społeczności wolontariuszy z instytucji akademickich w Europie i na całym świecie. Polską koordynatorką jest dr hab. inż. Anna Kłoz z Wojskowej Akademii Technicznej. Na stronie znaleźć można oferty płatnych stanowisk dla naukowców, możliwości przeniesienia studiów magisterskich i licencjackich, a także propozycje zakwaterowania.

W pomoc zaangażowała się Akademia Młodych Uczonych PAN, której członkowie zadeklarowali przyjęcie ukraińskich naukowców do swoich grup badawczych, zapewniając im wsparcie oraz miejsce i narzędzia do pracy. Do inicjatywy można cały czas dołączyć (szczegóły na stronie [www.amu.pan.pl](http://www.amu.pan.pl)).

W ramach porozumienia z Narodową Akademią Nauk Ukrainy Polska Akademia Nauk wdrożyła nowy program wsparcia: trzymiesięczne zatrudnienie w jednostkach PAN oraz zwrot kosztów pobytu i podróży. Z myślą o uchodźcach Sieć Badawcza Łukasiewicz uruchomiła specjalny prosty formularz rekrutacyjny do pracy w swoich instytucjach, przyjmowani są nie tylko inżynierowie. Zatrudnienie ukraińskich naukowców i nauczycieli akademickich z obszaru informatyki i matematyki zaoferowała Wyższa Szkoła Informatyki i Zarządzania w Rzeszowie. Z kolei Uniwersytet Łódzki przeznaczył 1 mln zł na stypendia dla naukowców z Ukrainy.

Działania pomocowe podjęła także Europejska Rada ds. Badań Naukowych. Jak nas poinformował jej wiceprzewodniczący prof. Andrzej Jajszczyk, przewidziano wzmocnienie programu Science4Refugees, ułatwiającego znalezienie naukowcom odpowiedniej pracy w europejskich jednostkach badawczych za pomocą platformy EURAXESS. Mogą się na niej rejestrować zarówno uchodźcy, jak i zespoły badawcze gotowe do ich zatrudnienia. Za jej pośrednictwem można skontaktować z porad dotyczących kon-

tynuowania pracy naukowej. W Programie Pracy ERC na rok 2023 wprowadzono możliwość wydłużenia okresów po uzyskaniu doktoratu, w których uchodźcy mogą ubiegać się o granty danego typu. ERC zaprosiło do udziału w konferencji na temat dyplomacji naukowej (*ERC Conference on Frontier Research and Science Diplomacy*) organizację CARA (Council of At-Risk Academics) zajmującą się naukowcami-uchodźcami. Analizowane są możliwości nowych inicjatyw wspierających naukowców z Ukrainy.

W podpisanej przez prezydenta tzw. specustawie znalazło się kilka rozwiązań dotyczących szkolnictwa wyższego. Studenci z Ukrainy będą mogli wystąpić o stypendium socjalne i kredyt studencki na podstawie oświadczenia o sytuacji rodzinnej i materialnej. Otrzymają także, podobnie jak Polacy studiujący dotychczas na Ukrainie, możliwość kontynuacji kształcenia. Ci, którzy zostaną przyjęci przez polską uczelnię medyczną, zapłacą nie więcej niż do tej pory. Specustawa umożliwi także zatrudnianie w trybie pozakonkursowym pracowników dydaktycznych czy naukowców z Ukrainy. Dopuszczone zostało prowadzenie jednocześnie zajęć stacjonarnych i zdalnych.

m



Siedziba Uniwersytetu Narodowego „Akademia Kijowsko-Mohylańska”. Tradycja uczelni, która uważana jest za najstarszy uniwersytet ukraiński, sięga 1658 r, gdy powołano Akademię Kijowską.

# Cienie przeszłości

Prof. Jerzy Woźnicki, prezes fundacji Rektorów Polskich, przewodniczący Rady Patronackiej „Forum Akademickiego”, komentuje propozycję zerwania współpracy naukowej z Rosją przedstawioną przez ministra edukacji i nauki oraz polskie środowiska akademickie.

Mamy dzisiaj do czynienia z konkretną sytuacją, gdy poddajemy ocenie niczym niesprovokowany najazd Rosji na Ukrainę. Ale ważny tu jest także kontekst historyczny. Rosja to państwo, które w XX wieku dopuściło się wielu zbrodni, z których najbardziej znane są zbrodnie stalinowskie z wieloma milionami ofiar i dramatem wielu narodów. Rosja nigdy się z tego nie rozliczyła. Kładzie się to cieniem na współczesnym rosyjskim państwie i społeczeństwie, a niektóre instytucje i organizacje pozarządowe, jak Memoriał, są tylko wyjątkami w tym ogólnym obrazie.

Uniwersytety rosyjskie też nie przeszły tej próby. Po upadku Związku Radzieckiego po 1990 roku usiłowaliśmy namówić kolegów z uczelni rosyjskich do odejścia od postawy negowania prawdy, do przełamania bariery milczenia w sprawie tych zbrodni. W 1996 r., gdy po raz pierwszy zostałem rektorem Politechniki Warszawskiej, zajęliśmy jako kierownictwo uczelni, konsekwentne stanowisko, że warunkiem powrotu do ściślejszych relacji między Politechniką Warszawską a uczelniami rosyjskimi – mam tu na myśli kontakty na szczeblu władz rektorskich – jest zajęcie pryncypialnego stanowiska przez organy tych uczelni w sprawie potępienia zbrodni stalinowskich. Nigdy do tego nie doszło, pomimo dostępnych publicznie dokumentów i raportów na ten temat. Z tego powodu przez sześć lat gdy pełniłem funkcję rektora, żaden rosyjski rektor nie został zaproszony na Politechnikę Warszawską ani ja sam nie byłem gościem w uczelniach rosyjskich, choć były próby nawiązywania kontaktów z ich strony. Moje stanowisko znajdowało pełne zrozumienie w Senacie PW, pomimo tego, że oznaczało to pewne ograniczenia w nawiązywaniu indywidualnych kontaktów badawczych między pracownikami naszej uczelni a Rosjanami.

Postawa taka znajduje uzasadnienie w tożsamości uniwersytetu, instytucji opartej na silnych fundamentach o charakterze etycznym. Dotyczy to nie tylko wymogów etyki zawodowej nauczyciela akademickiego. Chodzi tu przede wszystkim o kanony wolności i wartości akademickich wynikające z tradycji akademickich. Jeśli uniwer-

sytet pragnie zachowywać swą tożsamość i mieć prawo do przyznawania się do niej, musi być osadzony na tym fundamencie, a w tym zwłaszcza respektować zasadę swej autonomii. Niestety, rosyjskie uniwersytety za sprawą sowieckiej spuścizny, tradycji utożsamiania się władz rektorskich z władzą państwową, polityczną, nigdy nie dokonały swego rachunku sumienia. To określa kontekst zachowania

rosyjskich rektorów wobec agresji ich państwa na sąsiedzkie, demokratyczne państwo i przekłada się na dzisiejszą, szczególnie drastyczną sytuację, która jest szokująca w świetle przyjętych reguł i kultury stosunków międzypaństwowych. Mamy tu bowiem do czynienia z bezprzykładnym w XXI wieku aktem agresji jednego państwa na drugie. W oświadczeniach instytucji przedstawicielskich środowiska akademickiego w Polsce pojawiło się oczekiwanie, że ze strony uczelni rosyjskich zaistnieją postawy potępienia agresji Rosji i prowadzonych przez nią działań wojennych. Nastąpiło coś wręcz przeciwnego. Rektorzy rosyjscy w swym oświadczeniu utożsamiają się z agresją w Ukrainie. Stanowi to potwierdzenie tego, że Rosja akademicka na szczeblu władz uczelnianych nie zmieniła się od czasów radzieckich.



Na tym tle, ze szczególnym szacunkiem podchodzimy do potępiającego agresję na Ukrainę listu otwartego rosyjskich naukowców i dziennikarzy naukowych. Tekst tego oświadczenia jest mocny. Sygnatariusze nie szukają dyplomatycznych sformułowań, nazywają wprost dramatyczne wydarzenia, wskazują na odpowiedzialność Kremla oraz kreślą jasną perspektywę przyszłej katastrofy dla Rosji. List ten został podpisany przez wielu uczonych, w tym między innymi przez członków Rosyjskiej Akademii Nauk. Wiemy, jak trudno jest we współczesnej Rosji przeciwstawiać się władzy, widzimy masowe aresztowania ludzi protestujących przeciwko wojnie na ulicach rosyjskich miast. Ten list pozwala nam zachować nadzieję, że jednak istnieją elity rosyjskie potrafiące respektować wartości i to manifestować.

Notował Piotr Kieraciński

## Mit o jedności języków

Jako uzasadnienie brutalnego najazdu na Ukrainę rosyjska propaganda posługuje się starym, już dawno obalonym przez naukę stereotypem, że nie ma odrębnego narodu i języka ukraińskiego. Jak się okazuje, także nauka już dawno rozprawiła się z tym mitem.

O komentarz na temat stanowiska nauki na ten temat poprosiliśmy dr Nadię Gergało-Dąbek z Centrum Europy Wschodniej Uniwersytetu Marii Curie-Skłodowskiej w Lublinie.

Brutalny atak Rosji, który szokował cały cywilizowany świat, oraz heroiczna walka Ukraińców przeciwko znacznie silniejszemu najeźdźcy zwróciły uwagę świata na Ukrainę, jej historię, kulturę i język. W Polsce utrwaliło się błędne przekonanie, że język ukraiń-

ski jest bardzo podobny do języka rosyjskiego, do czego przyczyniły się m.in. podobieństwo alfabetów (cyrylicy) w obu językach oraz powielana przez lata teoria rosyjskich, a w ślad za nimi i zachodnich sławistów, o jedności tych języków. Ponadto przekonanie o niewiel-

kiej lub żadnej różnicy pomiędzy językami ukraińskim a rosyjskim z jednej strony wynika w dużej mierze z braku wiedzy na ten temat, z drugiej zaś z powodu swoistej „inercji historycznej”. Przez lata Ukrainy nie identyfikowano jako osobne państwo z własną kulturą, językiem, tożsamością, lecz traktowano jako część jednolitej czerwonej plamy na mapie pod tytułem ZSRR. Jednakże nawet pobieżny i bierny kontakt z językiem ukraińskim to przekonanie podważa, a znajomość języka ukraińskiego okazuje się być bardziej pomocna w szybkim opanowaniu języka polskiego niż znajomość rosyjskiego.

Mit ogólnoruskiego języka, z którego rzekomo rozwinęły się trzy języki: rosyjski, ukraiński i białoruski, obalony został około stu lat temu. Jednym z pierwszych, który podważył teorię Aleksandra Szachmatowa o istnieniu wspólnego ogólnoruskiego języka dla trzech wschodniosłowiańskich języków, był ukraiński sławista Stepan Smal-Stocki, który w roku 1913 udowodnił, że ukraiński ma więcej cech wspólnych nawet z językiem serbskim niż z rosyjskim. Jego badania, w których zakwestionował ogólnie przyjęty w slawistyce pogląd o pierwotnej jedności języków ukraińskiego, rosyjskiego i białoruskiego, spotkały się z atakiem ze strony środowiska językoznawczego i skutkowało wykluczeniem go z grona poważnych badaczy. Każdy, kto próbował podważyć narzucony przez językoznawców i powielany przez polityków rosyjskich kanon o rzekomej jedności bratnich narodów i ich języków, traktowany był jako wróg i mógł trafić do więzienia, co niejednokrotnie miało miejsce w ZSRR. Jednakże to nie zniechęciło językoznawców ukraińskich do prób obalenia rosyjskiej teorii o istnieniu wspólnego języka, który dał początek trzem językom wschodniosłowiańskim. Amerykański językoznawca pochodzenia ukraińskiego Jurij Szewelow badając słowiańskie fonemy, udowodnił, że język ukraiński wywodzi się z dwóch jednostek/regionów językowo-terytorialnych: Halicko-Podolskiego i Kijowsko-Poleskiego, białoruski z kolei z Kijowsko-Poleskiego i Pskowsko-Smołeńskiego, natomiast język rosyjski ukształtował się na bazie Moskiewsko-Twerskiego i Muromsko-Riazańskiego regionów językowych. Dlatego język białoruski jest znacznie bliższy ukraińskiemu niż rosyjski, który nie miał z nim wspólnego regionu językowego.



Zbadane przez językoznawców tzw. odległości leksykalne pomiędzy językami słowiańskimi pokazują, że język polski i rosyjski różnią się w 56%, natomiast polski i ukraiński jedynie w 30%, tj. aż 70% słownictwa polskiego i ukraińskiego się pokrywa; rosyjski z ukraińskim z kolei ma raptem 38% wspólnego słownictwa. Język ukraiński posiada 11 takich samych cech specyficznych w fonetyce i gramatyce, co język rosyjski, ale z językiem polskim ma 22 cechy wspólne, z białoruskim 29, a z chorwackim 21. Również z innymi językami słowiańskimi, czeskim, dolno- i górnołużyckim, ukraiński ma więcej wspólnych cech niż z rosyjskim. Dla przykładu, w języku ukraińskim i polskim jest wołacz (np. Agnieszko, ukr. Оксано [Oksano]), którego nie ma w rosyjskim, a wyższy stopień przymiotnika tworzy się za pomocą przedrostka naj- (najładniejszy, ukr. найгарніший [najharniszyj]), podczas gdy w rosyjskim za pomocą wyrazu „самый” (самый красивый [samyj krasiwyj]). Podobieństwo leksykalne języków polskiego i ukraińskiego można zobaczyć na poniższych przykładach, w których słowa umieszczone są w takiej kolejności: polski – ukraiński – rosyjski: zapraszać – запрошувати [zaproszuwaty] – приглашать [prigłaszat’]; dziękować – дякувати [diakuwaty] – благодарить [blagodarit’]; wielki – великий [wełykij] – большой [bolszoj]; drugi – другий [druhyj] – второй [wtoroj]; suknia – сукня [suknia] – платье [plát’je]; zeszyt – зошит [zoszyt] – тетрадь [tietrad’]; ołówek – олівець [oliwec’] – карандаш [karandasz]; pędzel – пендзель [pendzel] – кисть [kist’]; wrzesień – вересень [weresen’] – сентябрь [s’entiabr’].

Ukraiński i rosyjski należą do rodziny języków słowiańskich, jednakże to są dwa różne języki, o czym świadczy chociażby taki przykład: mniejszość ukraińska w Polsce (etniczni Ukraińcy) nie mówi po rosyjsku, gdyż nie ma z nim styczności (chyba że ktoś dodatkowo się uczył tego języka) i często nie rozumie osób rosyjskojęzycznych. Rosjanom znacznie trudniej zrozumieć język polski niż Ukraińcom. Wojna Rosji przeciwko Ukrainie przyczynia się do dekonstrukcji wielu mitów, m.in. mitu o Ukraińcach i Rosjanach jako jednym narodzie oraz mitu o braku różnic lub większym podobieństwie języka ukraińskiego do rosyjskiego, niż polskiego.

## Z pierwszej linii

Dr Paweł Trefler, prof. PWSW, rektor Państwowej Wyższej Szkoły Wschodnioeuropejskiej w Przemyślu, uczelni położonej najbliższej głównego szlaku ucieczki Ukraińców przed wojną, wspomina pierwsze chwile po najeździe Rosjan na Ukrainę.

Mamy 19% studentów zagranicznych, a 18%, czyli 165 osób – z Ukrainy; pozostali to studenci z Mołdawii i jeden Nigeryjczyk. Zdecydowana większość Ukraińców, 124 studentów, posiada kartę Polaka. Gdy wybuchła wojna, mieliśmy akurat sesję, więc część studentów wyjechała na weekend do domów, bo pochodzą najczęściej z obwodów lwowskiego, tarnopolskiego i iwanofrankowskiego czy z pobliskich Mościsk. Wykładowcy natychmiast zaczęli do nich dzwonić, żeby wracali na uczelnię. Nie wszystkim się udało. Niewielka część naszych studentów przebywa w tej chwili na Ukrainie i nie

może wrócić na studia. Jednak znacząca większość może kontynuować naukę w Polsce.

Gdy 24 lutego rano rozpoczęła się wojna, natychmiast przygotowaliśmy stanowisko potępiające rosyjską agresję i staraliśmy się zjednoczyć naszych studentów wokół pomocy dla ukraińskich kolegów i uchodźców. Wysłaliśmy też listy wsparcia do naszych partnerów na Ukrainie. Tego samego dnia rozpoczęliśmy zbiórkę rzeczy potrzebnych pierwszym pojawiającym się na przejściu granicznym w Medyce uchodźcom. Poinformowałem o tym przewodniczącego Konferencji

Publicznych Uczelni Zawodowych, prof. Dariusza Surowika z Łomży. W ten sposób bardzo szybko zmobilizowaliśmy do pomocy Ukrainie całe środowisko publicznych uczelni zawodowych. Już w niedzielę 27 lutego przyjechał do nas pierwszy duży transport z pomocą z Łomży i zaprzyjaźnionej z tamtejszą Akademią Nauk Stosowanych gminy Piątница, potem kolejne z Państwowej Uczelni Zawodowej we Włocławku i Akademii Nauk Stosowanych w Koninie. Włączyliśmy się też w działania miasta Przemysł, które zorganizowało punkty zbiórki darów, ale nie było w stanie wszystkich przekazywanych rzeczy „przerobić”. Byłem zszokowany tym, jak szybka i intensywna była reakcja ludzi, którzy z całej Polski przybyli, by pomóc Ukraińcom. Zaangażowaliśmy w to naszych studentów. Część pracowała w miejscach, gdzie przyjmowane są dary. Inni pracowali jako tłumacze, gdyż w punktach recepcyjnych właśnie takie osoby były bardzo potrzebne, a nasi studenci z Ukrainy znają język polski, ale także rosyjski. Ich pracę koordynowała Hanna Oziemkowska, nasza absolwentka z Odessy. Część studentów była zaangażowana w centrum pomocy humanitarnej w Przemyslu przy ulicy Lwowskiej, przy Tesco, do którego uchodźcy są przywożeni autobusami, a stamtąd są odbierani przez różne osoby, które oferowały pomoc, mieszkania, transport do innych miast Polski. Drugi punkt recepcyjny, gdzie pomagaliśmy, mieścił się na granicy w Centrum Handlu i Magazynowania Korczowa Dolina. Muszę podkreślić, że Polacy bardzo szybko zorganizowali się oddolnie. I uchodźcy, i ludzie, którzy chcą im pomóc, przyjeżdżają cały dzień. Zatem zorganizowaliśmy czterogodzinne dyżury, żeby studenci odpoczęli nieco po pracy wyczerpującej nie tylko fizycznie, ale i emocjonalnie. Muszę też podkreślić zaangażowanie naszych studentek pielęgniarstwa, których pomoc była w wielu wypadkach bardzo potrzebna, np. przy selekcjonowaniu leków i materiałów opatrunkowych. Nagorzej było w pierwszych dniach, potem już to wszystko jakoś się unormowało, zostało zorganizowane.



Są dwie grupy uchodźców. Największa to ukraińskie kobiety z dziećmi. Mniejsza to osoby z innych państw, w tym studenci, którzy uciekali z Ukrainy przed wojną, w sumie przedstawiciele ponad stu narodowości. Ponieważ znam język hiszpański, jestem z wykształcenia latynoamerykanistą, mogłem też trochę wspomóc studentów z Ekwadoru, ale w pomoc w zaopiekowaniu się nimi w Przemyslu i w organizacji ich ewakuacji z Ukrainy i Polski zaangażowała się głównie moja żona Magdalena, też latynoamerykanistka, która jest w stałym kontakcie z ekwadorskimi służbami konsularnymi. W Przemyslu przy ulicy Chopina, w bursie szkolnej prowadzonej przez siostry zakonne, została zorganizowana pomoc dla tej grupy: w Ukrainie studiowała i pracowało ok. siedemset osób z Ekwadoru. Pojawił się tu nawet wiceminister spraw zagranicznych Ekwadoru. Jest też wielu studentów z krajów afrykańskich i państw Maghrebu, przede wszystkim Marokańczycy, no i studenci z Azji. Największy problem, jak się wydaje, mają studenci z Indii.

Nasi ukraińscy studenci pochodzą często z biednych rodzin, polskie stypendia socjalne pomagały nie tylko im samym, ale także ich rodzinom na Ukrainie. Rektorzy muszą działać zgodnie z prawem. Nie możemy wykazywać się dobrą wolą wbrew przepisom. Czekamy na regulacje prawne, które umożliwią lepszą pomoc studentom z Ukrainy, np. ułatwią przyznawanie im stypendiów socjalnych i zapomóg. Ponieważ większość naszych ukraińskich studentów mieszka w akademiku – zajętych jest 90 miejsc na 180, bowiem takie są wymogi epidemiczne – to wspomagają się wzajemnie. Staramy się też zapewnić im w tej trudnej sytuacji wszelką możliwą pomoc, w tym psychologiczną. Mamy też pokoje, w których przyjmujemy uchodźców z Ukrainy. Od dwóch tygodni funkcjonujemy na naprawdę wysokich obrotach.

Notował Piotr Kieraciński

## Wyraźny sygnał sprzeciwu

Prof. Wojciech Załuska, rektor Uniwersytetu Medycznego w Lublinie, przedstawia sytuację uniwersytetu i wyzwania stojące przed uczelnią w obliczu wojny na Ukrainie.

Jesteśmy ogromnie zaniepokojeni agresją rosyjską. Nasza społeczność akademicka, także studenci, już w drugim dniu inwazji rozpoczęła zbiórkę rzeczy niezbędnych Ukraińcom. Do akademików przyjęliśmy ponad 52 uchodźców, a pracownicy Uniwersytetu Medycznego w Lublinie przyjęli w prywatnych domach 90 osób.

Staramy się na bieżąco reagować na potrzeby uchodźców. Wielu z nich wymaga opieki medycznej. W naszych klinikach jest coraz więcej osób z Ukrainy potrzebujących pilnej specjalistycznej pomocy. W klinice hematologii dziecięcej mamy bardzo dużo pacjentów z Ukrainy, liczni pacjenci są dializowani, wiele osób zgłasza się do wszystkich szpitali w regionie, a stamtąd część jest kierowana do naszych klinik jako szpitali o wyższym poziomie referencyjności. Prosimy szpitale położone w głębi Polski o przejęcie części tych pacjen-



tów, bo przecież mamy też pod opieką naszych, że tak powiem, typowych pacjentów.

Ważna jest przyjęta przez Parlament specustawa, która pomoże pokryć koszty leczenia uchodźców, zapewniając im normalne ubezpieczenie zdrowotne, ale także umożliwi nam przyjęcie polskich studentów, którzy kształcili się na kierunkach lekarskim i lekarsko-dentystycznym na Ukrainie. W bardzo dużej liczbie zgłosili oni chęć przeniesienia się do polskich uczelni. Wiemy o kilkuset zgłoszeniach do ministra zdrowia. Musimy zdecydować o tym, jak sensownie rozdysponować tych studentów, żeby to nie zdekomponowało naszego cyklu kształcenia. Grupy wykładowe i ćwiczeniowe, sale wykładowe, laboratoria mają określoną pojemność. Wiemy też o dużej liczbie studentów zagranicznych, którzy kształcili się na ukraińskich uczelniach medycznych, w tym np. o 14

tys. studentów z Indii. Kto wie, czy nie zechcą kontynuować studiów w Polsce. Jakoś to wszystko musimy po gospodarsku ogarnąć.

Szykujemy się też na rozwój sytuacji na Ukrainie. Być może zaistnieje nawet potrzeba przyjęcia do naszych szpitali rannych. A trzeba pamiętać, że mamy kłopoty z odpowiednim leczeniem naszych pacjentów. Wiemy, że na terenie Ukrainy wiele obszarów medycyny nie nadąża za rozwojem tej dziedziny na świecie. Zapewne wraz z uchodźcami odpowiedzialność za tych pacjentów spadnie na nas. Będziemy działać w miarę naszych możliwości. Liczymy na pomoc państw unijnych, ale to my, z powodu ulokowania tuż przy granicy z Ukrainą, jesteśmy na pierwszej linii.

Mam wątpliwości, co do całkowitego zerwania kontaktów z rosyjską nauką, zwłaszcza kontaktów indywidualnych. Mój ojciec spędził pięć lat na zesłaniu na Syberii. Opowiadał, że czym innym jest sowiecki czy rosyjski totalitarny reżim, a czym innym zwykli Rosjanie, którzy często nam w tych trudnych warunkach zesłania pomagali. Nie wiem też, na ile instytucje, z którymi współpracujemy, są winne wojnie. Przy tych wszystkich zastrzeżeniach, musimy jednak wystosować bardzo stanowczy i wyraźny sygnał

oporu i sprzeciwu wobec tego, co się dzieje, wobec putinowskiego reżimu. Na pewno dostosujemy się do wszystkich nakazanych form sprzeciwu, bo tego wymaga nasza racja stanu.

Ta wojna stanowi zagrożenie dla całego kraju i wszystkich instytucji. Zdajemy sobie sprawę, że uderzy także w uniwersytety, w tym i mój. Będziemy mieć teraz kłopoty z naborem studentów zagranicznych. Miałem okazję się o tym przekonać podczas niedawnej wizyty w Ameryce, gdzie rodzice naszych studentów pytali o bezpieczeństwo swoich dzieci w Lublinie. Oni są u nas bezpieczni, ale nie wiemy, jak się sytuacja rozwinie. Również na Tajwanie są ogromne obawy o bezpieczeństwo ze względu na działania potężnego sąsiada. Jesteśmy tu i staramy się odpowiedzieć na zmiany sytuacji. Współpracujemy z Wojskami Obrony Terytorialnej. Wielu naszych ratowników medycznych z Centrum Symulacji Medycznej należy do tej formacji. Będziemy uruchamiali szkolenie dla żołnierzy WOT właśnie w zakresie pierwszej pomocy i ratownictwa.

*Notował Piotr Kieraciński*

## Decyzja zapadła

Prof. Marek Jeżabek, w latach 2004-2020 dyrektor Instytutu Fizyki Jądrowej w Krakowie, członek międzynarodowej Rady Naukowej Zjednoczonego Instytutu Badań Jądrowych w Dubnej (Rosja), komentuje decyzję o zerwaniu współpracy ze ZIBJ.

Jeżeli Rosji uda się pokonać Ukrainę, to mamy nową zimną wojnę, a zatem żadne kontakty z rosyjską nauką nie są możliwe. Osobiście mam ogromny szacunek dla rosyjskich naukowców, ich osiągnięć i poziomu naukowego. Bardzo zachęcałem swoich kolegów i koleżanki do udziału w dobrych programach naukowych w Dubnej. Gdyby jednak doszło do sytuacji, że zrywamy współpracę z Rosją, w tym gospodarczą, a zatem i wymianę technologiczną, to musimy też zerwać współpracę naukową, która przecież wymaga choćby swobody poruszania się i wypowiedzi. Miałbym ogromny problem w rozmowie z moimi partnerami, mając świadomość, że jeśli powiedzieliby szczerze, iż są przeciwko wojnie, mogliby narazić się na więzienie. W takich warunkach zewnętrznych nie da się współpracować. Natomiast jeśli w Rosji nastąpi zmiana polityczna, Putin zostanie zastąpiony przez kogoś, kto będzie prowadził pokojową politykę, to odbudowa stosunków naukowych nie będzie stanowiła problemu. Jeszcze raz mówię: w nauce niezbędna jest otwartość, szczerza wymiana poglądów, stosunki przyjazne. To buduje skuteczność naukową.



W obecnej sytuacji nasz rząd zdecydował o zerwaniu stosunków z Dubną. To dobra decyzja. Nasza składka za rok 2022, która wynosi ok. 11 milionów dolarów (4,8% budżetu ZIBJ) i jest największą składką zagraniczną, a drugą po wkładzie rosyjskim (80,8%) pozycją w budżecie ZIBJ w Dubnej, została już wpłacona. To jest realna strata, ale koszty wojny Rosji z Ukrainą, które ponosi nasz kraj, są nieporównanie większe. Wszyscy rozumiemy, że trzeba je ponieść, bo chodzi o bezpieczeństwo Polski.

W Dubnej prowadzone były światowej klasy badania, a kilka laboratoriów to czołowe ośrodki w świecie. Rosjanie mają też wspaniałych fizyków teoretyków. To wszystko stanowiło poważny argument za szeroką współpracą. Używam jednak czasu przeszłego, bo napaść na

Ukrainę stanowi punkt zwrotny w najnowszej historii. Świat zmienił się na naszych oczach. Decyzja zapadła: Polska wycofa się z Dubnej. Polscy uczeni mają wrócić do kraju. I bez tego pewnie by wracali. Problem jest, jak wrócić, skoro nie ma połączeń lotniczych; chyba, że przez Serbię lub Turcję.

Wystąpienie ze ZIBJ spowoduje cały szereg problemów. Polskie środowisko naukowe będzie musiało te straty nadrobić. To problem dla badaczy, którzy swoje życie naukowe od kilku lat związali z projektami realizowanymi w Dubnej, np. w akceleratorze NIKA, z którym wiele polskich grup naukowych łączyło swoje plany i zainwestowało w nie wiele wysiłku, jak choćby specjaliści z Politechniki Warszawskiej. W Dubnej bardzo dobrze rozwijały się badania z użyciem źródeł neutronowych. Instytut posiada źródło neutronowe wysokiej klasy, choć nie najlepsze na świecie. W Europie można znaleźć lepsze ośrodki, np. Instytut Laue-Langevin w Grenoble czy budowane Europejskie Źródło Spalacyjne w Lund w Szwecji. Jeśli ono zostanie ukończone, Dubna będzie znacznie mniej atrakcyjna. Trzeba będzie zabiegać o działania osłowne – myślę, że spotkamy się ze zrozumieniem w ministerstwie.

Można by było pomyśleć o wydzielonym funduszu, który pozwoliłby instytucjom i grupom badawczym dokończyć przedsięwzięcia tam rozpoczęte i pokryć straty wynikające z zerwania relacji z Dubną. Na pewno trzeba stworzyć możliwość zatrudnienia uczonych z Ukrainy, którzy w wyniku napaści Rosji utracili swoje miejsca pracy czy też po prostu uciekli. Takie programy zostały ogłoszone, ale z niewielkimi środkami i na zbyt krótki czas pobytu. Jeśli uczeni z Ukrainy chcieliby pracować w Polsce, moglibyśmy im pomóc, żeby za jakiś czas mogli wrócić i odbudować swój kraj po wojnie.

*Notował Piotr Kieraciński*

# Bo ojciec poszedł na wojnę...

Jacek Pakuła, ekspert z zakresu pomocy materialnej dla studentów, wyjaśnia, jakie są możliwości przyznania zapomóg i stypendiów socjalnych dla studentów z Ukrainy.

W ostatnim czasie na aktualności zyskuje tematyka pomocy materialnej dla studentów. Nie chodzi tylko o planowaną reformę systemu stypendiów i zapomóg, ale przede wszystkim o chęć pomocy studentom z Ukrainy.

W Polsce, według danych GUS, w roku akad. 2020/2021 studiowało 1,2 mln studentów, w tym 85 tys. studentów zagranicznych, z czego ponad 38 tys. studentów z Ukrainy. Zgodnie z art. 86 ust. 1 ustawy Prawo o szkolnictwie wyższym i nauce, student może ubiegać się m.in. o stypendium socjalne (podstawą jest dochód), stypendium rektora (wyniki w nauce, osiągnięcia naukowe, artystyczne lub sportowe), stypendium dla osób niepełnosprawnych (orzeczenie o niepełnosprawności lub inny równoważny dokument wydany przez właściwy polski organ) oraz zapomogę (jednorazowy zasiłek).

Aby ubiegać się o pomoc, należy przede wszystkim posiadać status studenta polskiej uczelni. Kolejnym krokiem jest złożenie wniosku i spełnienie warunków ustawowych i kryteriów uczelnianych regulaminów stypendialnych. W praktyce chodzi o niski dochód (stypendium socjalne) i trudną sytuacją życiową (zapomoga). Student nie może jednak spełniać przesłanki negatywnej, np. ukończone studia. Takie ograniczenia w dostępie do pomocy materialnej zawiera m.in. art. 92, 93 i 447 PSWiN.

Zgodnie z art. 90 PSWiN, „**zapomogę** może otrzymać student, który znalazł się przejściowo w trudnej sytuacji życiowej”. Do takich zdarzeń niewątpliwie należy np. sprowadzenie rodziny z Ukrainy do Polski czy utrata pracy przez rodziców, którzy dotychczas finansowali naukę studentów z Ukrainy. Postępowanie dowodowe można oprzeć na oświadczeniu studenta. Trudno dziś bowiem wymagać, aby ubiegający się o zapomogę mógł przedłożyć zaświadczenie z zakładu pracy w Kijowie, że ojciec „poszedł na wojnę”, a dotychczasowe miejsce pracy matki „zostało zbombardowane”. Coraz więcej studentów pyta o taką formę wsparcia i uczelnie szerokim strumieniem odpowiadają na te potrzeby. Środki na ten cel pochodzą z budżetu państwa i każda uczelnia w ramach funduszu stypendialnego ma możliwość pomocy swoim studentom. Wyraźnie należy podkreślić, że zapomoga przysługuje każdemu studentowi, bez względu na to czy odbywa te studia jako np. posiadacz Karty Polaka, czy np. na zasadach odpłatności.

Drugą formą wsparcia, o jaką mogą ubiegać się studenci z Ukrainy, jest **stypendium socjalne**. Świadczenie to jest jednak limitowane i trzeba mieć na uwadze treść art. 324 PSWiN. Zgodnie z art. 324 ust. 3 PSWiN: „cudzoziemiec niewymieniony w ust. 2 pkt 2-8 nie może ubiegać się o stypendium socjalne, o którym mowa w art. 86 ust. 1 pkt 1, oraz o kredyt studencki, o którym mowa w art. 98 ust. 1”. Oznacza to, że student zagraniczny wymieniony w art. 324 ust. 2 pkt 2-8 może ubiegać się o stypendium socjalne. Chodzi tu o:

- cudzoziemca, któremu udzielono zezwolenia na pobyt stały, lub rezydenta długoterminowego Unii Europejskiej;
- cudzoziemca, któremu udzielono zezwolenia na pobyt czasowy w związku z okolicznościami, o których mowa w art. 159 ust. 1 lub art. 186 ust. 1 pkt 3 lub 4 ustawy z dnia 12 grudnia 2013 r. o cudzoziemcach (Dz. U. z 2020 r. poz. 35, 2023, 2320 i 2369 oraz z 2021 r. poz. 159);



Foto: J. Kempicki

- cudzoziemca, który posiada status uchodźcy nadany w Rzeczypospolitej Polskiej albo korzysta z ochrony czasowej albo ochrony uzupełniającej na terytorium Rzeczypospolitej Polskiej;
- cudzoziemca – posiadacza certyfikatu poświadczającego znajomość języka polskiego jako obcego, o którym mowa w art. 11a ust. 2 ustawy z dnia 7 października 1999 r. o języku polskim (Dz. U. z 2019 r. poz. 1480 oraz z 2020 r. poz. 285), co najmniej na poziomie biegłości językowej C1;
- posiadacza Karty Polaka lub osoby, której wydano decyzję w sprawie stwierdzenia polskiego pochodzenia;
- cudzoziemca będącego małżonkiem, wstępnym lub zstępnym obywatela Rzeczypospolitej Polskiej, mieszkającym na terytorium Rzeczypospolitej Polskiej;
- cudzoziemca, któremu udzielono zezwolenia na pobyt czasowy w związku z okolicznościami, o których mowa w art. 151 ust. 1 lub art. 151b ust. 1 ustawy z dnia 12 grudnia 2013 r. o cudzoziemcach, lub przebywającego na terytorium Rzeczypospolitej Polskiej w związku z korzystaniem z mobilności krótkoterminowej naukowca na warunkach określonych w art. 156b ust. 1 tej ustawy lub posiadającego wizę krajową w celu prowadzenia badań naukowych lub prac rozwojowych.

Przy składaniu wniosków o stypendium socjalne należy pamiętać o dwóch kwestiach. Po pierwsze, chodzi o terminy. Niektóre uczelnie organizując akcję stypendialną dopuszczają możliwość złożenia wniosku o stypendium tylko raz w roku albo co semestr, uniemożliwiając ubieganie się o to świadczenie np. w grudniu albo w kwietniu. Złożenie wniosku o stypendium socjalne łączy się jednak z terminem instrukcyjnym, co oznacza, że nie można odmówić studentowi tego świadczenia tylko dlatego, że nie złożył wniosku w październiku albo w lutym. Przypomina o tym Naczelny Sąd Administracyjny w wyroku z dnia 26 września 2019 r. (sygn. I OSK 78/18).

Druga kwestia to dokumentacja dochodu w rodzinie. Przepisy zasadniczo koncentrują się wokół zaświadczeń z urzędu skarbowego, ale w sytuacji studentów, którzy np. ściągają rodzinę z Ukrainy, można przyjąć za pewnik, że tamte dochody zostały utracone. Dlatego do przyznania pomocy materialnej na semestr letni 2021/2022 w mojej ocenie wystarczające będą oświadczenia studenta i jego rodziny. Oczywiście, jeśli student z Ukrainy pracuje w Polsce, to ma obowiązek o tym fakcie poinformować uczelnię. Obowiązuje również art. 88 ust. 4-5 PSWiN, zgodnie z którym osoba wykazująca dochód w rodzinie od 0 do 600 zł na osobę ma obowiązek przedłożyć zaświadczenie z ośrodka pomocy materialnej o sytuacji dochodowej i majątkowej. W skrócie: student musi wskazać, z czego on i jego rodzina utrzymują się, ale w obecnej sytuacji, jeśli rodzina korzysta z pomocy państwa czy organizacji pozarządowych, będzie to dość łatwe do wyjaśnienia.

Aktualna sytuacja skłania również do jeszcze jednej refleksji. Otóż toczy się dyskusja wokół reformy pomocy materialnej dla studentów. Zespół badaczy z UAM w Poznaniu i UE w Krakowie, w ramach grantu finansowanego ze środków NCBR (2,4 mln zł) przygotował projekt zmian. Gdyby jednak ten projekt został przyjęty, to niemożliwe byłoby objęcie pomocą m.in. studentów z Ukrainy.

# Zgody nie było, mandat wygaszony

Wygaśnięcie mandatu rektora Uniwersytetu Wrocławskiego prof. Przemysława Wiszewskiego stwierdził 9 marca minister edukacji i nauki. To reakcja na skargę Komisji Zakładowej NSZZ „Solidarność” UWr, jaka 13 grudnia 2021 r. wpłynęła do resortu.



Prof. Przemysław Wiszewski

Związkowcy zarzucili prof. Wiszewskiemu, że w 2020 roku bez zgody Rady Uczelni wykonał trzy umowy cywilno-prawne, za które otrzymał wynagrodzenie. Tym warunkuje dodatkowe zarobki rektora ustawa Prawo o szkolnictwie wyższym i nauce. Brak zgody skutkuje obligatoryjnym wygaszeniem mandatu. Na podstawie tej przesłanki Przemysław Czarnek stwierdził jedynie wystąpienie określonego faktu.

Od stycznia 2020 r. do listopada 2021 r. uczelnia zawarła z rektorem w sumie 12 umów zlecenia bądź o dzieło o łącznej wartości 152,5 tys. zł. Dotyczyły prac związanych z leksykonem tematycznym, redakcji merytorycznej artykułów anglojęzycznych do publikacji oraz przygotowania wstępów do dwóch anglojęzycznych książek, wstępów do poszczególnych części jednej z nich i podsumowania projektu w przypadku drugiej. Sprawa zgłoszona przez związkowców dotyczyła tylko trzech umów (o łącznej wartości 51,6 tys. zł), jako że od lutego 2021 r., po stosownej uchwale Rady Uczelni, rektor miał już zgodę na wykonywanie dodatkowego zajęcia zarobkowego.

Minister podkreślił w swojej decyzji, że zgoda nie obejmuje zadań, których wykonywanie zakończyło się przed jej uzyskaniem. Przypomniał, że celem art. 125 ust. 4 PWSN było „ograniczenie aktywności rektora mogącej zagrozić efektywnemu wykonywaniu jego obowiązków związanych z kierowaniem uczelnią – przez kontrolę takiej aktywności”. To oznacza, że Rada UWr powinna zawczasu wiedzieć o dodatkowych zajęciach i wyrazić na nie zgodę przed ich podjęciem. Tylko w takiej sytuacji można mówić o zrealizowaniu wymogu wynikającego z ustawy. Szef MEiN wyjaśnił też, że pojęcie „dodatkowego zajęcia zarobkowego” nie ogranicza się jedynie do dodatkowego zatrudnienia, ale „oznacza wykonywanie przez rektora uczelni publicznej dodatkowej czynności w jakiegokolwiek formie, która wiąże się z zarobkiem”. Zatem zarówno wykładnia językowa, jak i celowościowa oraz systemowa przesądziły – w ocenie ministra – o wygaśnięciu mandatu, który to fakt zobligowany był on stwierdzić.

Z interpretacją tą nie zgadza się prof. Wiszewski. W wydanym oświadczeniu uznał decyzję za wadliwą prawnie – czego, jak zapowiedział, ma dowodzić w sądzie – oraz „głęboko szkodliwą społecznie”. Tłumaczy, że rada uczelni wydała w 2021 r. zgodę na prowadzenie przez niego badań naukowych jako zajęcia zarobkowego na okres całej kadencji. „Skoro wyraziła zgodę na zajęcie zarobkowe rektora po rozpoczęciu jego kadencji, zgoda ta powinna ulec rozszerzeniu na cały okres od początku kadencji rektora” – przekonuje. I dodaje, że o ile w przypadku rektora kolejnej kadencji przepisy jednoznacznie wskazują termin udzielenia takiej zgody, o tyle ustawa – jego zdaniem – nie określa terminu, w jakim osoba po raz pierwszy zasiadająca w fotelu rektora powinna ją uzyskać. „Nie sposób też przyjąć, że kilka miesięcy przed faktycznym udzieleniem zgody rada uczelni mogłaby podjąć inną decyzję w tej sprawie, ponieważ trudno zakładać, że dokończenie przez rektora realizacji projektów naukowych rozpoczętych przed początkiem kadencji może działać na szkodę uczelni” – uważa prof. Wiszewski.

O ponowne rozpatrzenie sprawy zwrócił się do ministra prof. Arkadiusz Mężyk, przewodniczący Konferencji Rektorów Akademickich Szkół Polskich. W swoim piśmie zwraca uwagę na niejasności interpretacyjne co do regulacji zapisanej w PSWN oraz brak w przepisach określonego wprost terminu na zajęcie stanowiska przez radę uczelni. Powołuje się także na przepis art. 432 ustawy, który pozostawia ministrowi możliwość, ale nie obliuguje go do złożenia wniosku o odwołanie rektora, nawet gdy stwierdzono naruszenie prawa.

Do czasu przedterminowych wyborów, które powinny się odbyć w ciągu 3 miesięcy, obowiązki rektora Uniwersytetu Wrocławskiego będzie pełnił – zgodnie ze statutem uczelni – najstarszy wiekiem członek Senatu. Jest nim prof. Jan Sobczyk, specjalista w dziedzinie fizyki cząstek elementarnych, członek międzynarodowej grupy doświadczalnej T2K i kierownik Zakładu Fizyki Neutrin UWr.



Prof. Jan Sobczyk

KP

## Tak czy inaczej chodzi o pieniądze

Andrzej Jabłoński, przewodniczący Komisji Uczelnianej NSZZ Solidarność, o powodach skargi złożonej do ministra edukacji i nauki na działania rektora Uniwersytetu Wrocławskiego, prof. Przemysława Wiszewskiego.

Od lat walczymy o praworządność na uczelni. „Solidarność” zajmuje się wieloma sprawami. Ta jest o tyle bulwersująca, że pan rektor Przemysław Wiszewski na podstawie tego samego artykułu 125 Prawa o szkolnictwie wyższym i nauce, który minister szkolnictwa wyższego przywołał w decyzji o wygaszeniu jego mandatu, ale

z innego paragrafu, zwolnił z pracy adiunkta jednego z wydziałów, który jakoby miał pracować bez zgody rektora w instytucie naukowym PAN. Okazało się, że to nieprawda. Adiunkt zwrócił się o pomoc do związków zawodowych, w tym do NSZZ „Solidarność”. Po zbadaniu sprawy wyszło na jaw, że ów adiunkt rok pracował na uniwersyte-

cie, potem brał na rok urlop bezpłatny w uczelni i pracował w instytucie PAN. Po drugie stwierdziliśmy, że Uniwersytet Wrocławski zawarł z Polską Akademią Nauk umowę o współpracy, a zgodnie z ustawą w takim przypadku zgoda rektora na zatrudnienie w instytucie PAN nie jest potrzebna. Myśmy o tym rektora zawiadomili, przedstawili odpowiednie dokumenty, ale on i tak zwolnił adiunkta. Dopiero w sądzie pracy, do którego ów zwolniony się zwrócił, rektor wycofał swoją decyzję.

Na wieść o dodatkowej pracy zarobkowej pana rektora, stanęliśmy na stanowisku, że prawo musi działać tak samo dla wszystkich – i adiunkta, i rektora. Praktycznie wszystkie związki zawodowe działające na uczelni przyłączyły się do naszej akcji. Zrobiliśmy ankietę, jak wyglądają zarobki w poszczególnych grupach pracowników w różnych uczelniach w Polsce. Okazało się, że zarobki naszego rektora są numerem dwa w Polsce, a płace różnych grup pracowników zajmują miejsca od dwudziestego trzeciego do dwudziestego ósmego, w każdym razie szary koniec.

To ludzi bardzo zbulwersowało. Pan rektor swoje umowy wrzucił na stronę internetową. Wynikało z nich, że zaczął je realizować, będąc już rektorem, a zakończył w grudniu 2020 roku. Wtedy działała jeszcze rada uczelni pierwszej kadencji, która dwukrotnie zwracała się do ministra o podniesienie zarobków rektora, ale nie udzieliła mu zgody na dodatkowe zarobkowanie. Od stycznia 2021 roku rozpoczęła działania nowa rada uczelni. W lutym udzieliła ona rektorowi zgody na zarobkowanie. Prawnicy rektora przyjęli karkołomną interpretację, że w tym wypadku prawo działa wstecz, to znaczy, że skoro rada udziela rektorowi zgody na całą kadencję, to właśnie udzieliła takiej zgody na całą kadencję, a zatem także na poprzedni rok. Nie zwróciła jednak uwagi na to, że sama wówczas nie działała, że członkowie



Foto: Jerzy Maciejek

rady działali w niej dopiero od stycznia 2021 roku, tymczasem tamte umowy zostały zawarte i zrealizowane za poprzedniej kadencji rady, która takiej zgody nie udzieliła. Ministerstwo to dokładnie zbadało – trwało to dość długo – i uznało, że zachodzą przesłanki wygaszenia mandatu rektora.

W tle mamy jeszcze historię z Fundacją dla Uniwersytetu Wrocławskiego, która zapewne będzie wymagała zaangażowania prokuratury, bo dotyczy sprzeniewierzenia znacznych środków finansowych. Tłumaczenie, że to biznesowy model, a on czasami powoduje wydatki, „nie trzyma się kupy”. Tło jak w filmie Barei: „Nie mamy pańskiego płaszcza i co nam pan zrobi?”. Chodzi też o to, że część pieniędzy, które zniknęły, to darowizna naszego byłego pracownika, światowej sławy entomologa prof. Wojciecha Puławskiego, jednego z założycieli „Solidarności” na UW, który w stanie wojennym został w Stanach Zjednoczonych, pracując najpierw w Smithsonian Institute, a potem w Kalifornii. Z oszczędności życia przeznaczył 50 tys. dolarów na rzecz

Uniwersytetu Wrocławskiego. Za połowę tej kwoty kupiliśmy pewne kolekcje dla uniwersyteckiego muzeum, ale druga połowa, czyli 25 tys. dolarów, zniknęła. Tymczasem to były pieniądze dla naszego muzeum. Nawet nie wiem, jak to prof. Puławskiemu zakomunikować. Jak można coś takiego zrobić? Jak można przejeść takie środki? Przecież w fundacji działają sami pracownicy uniwersytetu, z dziekanem prawa na czele. To erozja poczucia przyzwoitości. To jeszcze przed nami, bo ministerstwo niewiele tutaj pomoże. Musimy to skierować do prokuratury poza Wrocław, bo przecież nasi prawnicy są ściśle powiązani z wrocławskim środowiskiem prawniczym.

Notował Piotr Kieraciński

## Za pracę, za plagiaty, za finanse...

W ostatnich trzydziestu latach 11 razy zdarzyło się, że rektor uczelni publicznej musiał ustąpić ze stanowiska przed końcem kadencji. Różne były powody i sposoby przerwania pełnienia obowiązków.

Po raz pierwszy zdarzyło się to we Wrocławiu. W lutym 1995 r. został zmuszony do rezygnacji ze stanowiska rektora Uniwersytetu Wrocławskiego prof. Wojciech Wrzesiński, oficjalnie z powodu katastrofalnej sytuacji finansowej uczelni, której zairzało w oczy widmo bankructwa. W tle była bardzo silna niechęć środowiska uniwersyteckiego do swojego szefa, która wynikała także z innych niż finansowe powodów.

W 2010 r. z funkcji rektora Akademii Wychowania Fizycznej i Sportu został odwołany prof. Tadeusz Huciński. Było to wynikiem kontroli ministerstwa w uczelni. Prof. Huciński wygrał przed sądem kilka etapów procesu z ówczesną ministerką szkolnictwa wyższego prof. Barbarą Kudrycką, by ostatecznie przegrać i utracić stanowisko. Widziałem wówczas obszerny raport z kontroli służb specjalnych w uczelni (wezwał je sam rektor Huciński). Wskazywał on na brak winy rektora, za to obnażał źródła konfliktu rektora z wpływową częścią środowiska AWFIS – prof. Huciński próbował ograniczyć niewłaściwe gospodarowanie majątkiem uczelni, czym narobił sobie wrogów. Moim zdaniem odwołanie rektora Hucińskiego nie było dobrym krokiem i nie posłużyło odnowie stosunków międzyludzkich w AWFIS. Świadczy o tym również to, że jego następca, dr hab. Waldemar Moska, także został z dniem 31 marca 2020 r., pod koniec swojej drugiej kadencji, odwołany ze stanowiska rektora przez

ministra Jarosława Gowina pod zarzutami wyprowadzenia z uczelni ponad 4 mln zł do uczelnianego klubu sportowego AZS. Postawiono mu też inne zarzuty, w tym plagiat i bezprawne zwolnienie z pracy działaczy związkowych.

Wiosną 2011 r. z powodu podejrzenia o naruszenie praw autorskich innych osób z funkcji rektora Akademii Medycznej we Wrocławiu zrezygnował prof. Ryszard Andrzejak. Sprawa o plagiat w rozprawie habilitacyjnej z 1993 r. ciągnęła się od 2008 r. Wciąż nie jest ostatecznie rozstrzygnięta ze względu na problemy natury proceduralnej, co należy uznać za skandal. Także jego następca odszedł ze stanowiska w trakcie kadencji. Prof. Marek Ziętek, rektor Uniwersytetu Medycznego im. Piastów Śląskich we Wrocławiu, zrezygnował z pełnienia funkcji w sierpniu 2019 r. Był oskarżony o narażenie uczelni na poważne straty (ponad 4 mln zł) wskutek niewłaściwych decyzji dotyczących umorzenia udziałów w powołanej przez uczelnię firmie Data Techno Park. O ile wiem, wciąż nie ma ostatecznego rozstrzygnięcia sądowego tej sprawy.

W lutym 2018 r. minister szkolnictwa wyższego Jarosław Gowin stwierdził wygaśnięcie mandatu rektorskiego prof. Magdaleny Pisarskiej-Krawczyk, rektor PWSZ w Kaliszu. Powodem był brak zgody Senatu PWSZ na zatrudnienie rektora w innej uczelni. Podobny zarzut stał się dla tego samego ministra powodem stwierdzenia wygaśnięcia mandatu prof. Jadwigi Laski, rektor PWSZ w Tarnowie, w styczniu 2020 r. W tym wypadku chodziło o to, że co prawda rektor Laska miała zgodę senatu na pracę w swojej macierzystej AGH, ale nie miała

zgody na wykonywanie dodatkowych prac zarobkowych, a za takie uznano płatne recenzje naukowe wykonywana na zlecenie innych niż AGH i PWSZ instytucji. W odwołaniu do Wojewódzkiego Sądu Administracyjnego J. Laska powoływała się na obowiązek recenzowania, nałożony na badaczy przez ustawę PSWN, a w przypadku recenzji dorobku awansowego honorarium jest wypłacane z mocy prawa. Sąd jednak w orzeczeniu z dnia 9 lutego 2021 r. (II SA/Wa 811/20) uzasadnił poprawność stanowiska zajętego przez ministra szkolnictwa wyższego, który uznał wygaśnięcie mandatu rektora Laski.

W marcu 2020 roku min. Gowin odwołał z funkcji rektora Podhalańskiej Państwowej Uczelni Zawodowej w Nowym Targu ks. dr. hab. Stanisława Gulaka. Tym razem powodem były domniemane plagiaty popełnione przez rektora, potwierdzone przez liczne instytucje akademickie. Jak się wydaje, minister nie miał w tej sytuacji innego wyjścia. W ub.r. S. Gulak uzyskał korzystny dla siebie wyrok sądu, który uznał, że odwołanie odbyło się niezgodnie z prawem, a swoje orzeczenie sąd uzasadnił błędami formalnymi decyzji ministra, w tym niewłaściwą formą jej doręczenia. Teraz MEiN musi pokryć koszty postępowania sądowego. Prokuratura umorzyła też postępowanie w sprawie naruszenia przez S. Gulaka własności intelektualnej innych osób, ale nie znam jeszcze uzasadnienia tej decyzji.

Jesienią 2020 r. świeżo wybrany na drugą kadencję rektor Uniwersytetu Gdańskiego dr hab. Jerzy P. Gwizdała ustąpił ze stanowiska po przedstawieniu mu poważnych, dobrze udokumentowanych zarzutów naruszenia praw autorskich innych osób w „jego” pracach awansowych.

W grudniu 2021 r. Kolegium Elektorów PPUZ w Nowym Targu odwołało z funkcji rektora dr. hab. Roberta Włodarczyka. Ministerstwo Edukacji i Nauki uznało tę podjętą w okolicznościach budzących wiele wątpliwości natury prawnej decyzję (moim zdaniem zwołanie posiedzenia Senatu PPUZ, na którym skierowano do Kolegium Elektorów wnioski o odwołanie rektora, odbyło się niezgodnie z obowiązującymi przepisami). Targana wewnętrznymi sporami uczelnia czeka na wybory rektora, które mają się odbyć wkrótce. Tymczasem minister szkolnictwa wyższego uznał za nieważne wybory rektora przeprowadzone w lutym 2022 r. z inicjatywy pracowników uczelni, a w drodze rozstrzygnięcia nadzorczego unieważnił decyzje Senatu PPUZ od nr 1/2022 do nr 8/2022.

9 marca 2022 minister nauki stwierdził wygaśnięcie mandatu rektora Uniwersytetu Wrocławskiego prof. Przemysława Wiszewskiego.

To jedenasty rektor, który odszedł ze stanowiska w trakcie kadencji w okresie ostatnich trzydziestu lat.

Z tego zestawienia wynika, że dwukrotnie przerwana została kadencja rektorów na: UWR, PPUZ w Nowym Targu, Uniwersytecie Medycznym we Wrocławiu i AWFIS w Gdańsku. Najczęstszymi formalnymi powodami przerwania kadencji były: praca rektora w miejscu innym niż kierowana uczelnia bez zgody rady uczelni/senatu (3 razy), złe decyzje finansowe (trzykrotnie), naruszenia własności intelektualnej (3 razy) oraz inne problemy (dwukrotnie). Za tym ostatnim sformułowaniem kryją się zwykle konflikty w uczelniach, które mają różne podłoża i rozmaity przebieg, ale generalnie uniemożliwiają rektorowi skuteczne zarządzanie uczelnią. W przypadku wrocławskiej uczelni medycznej, jej społeczność poparła obu rektorów, którzy ostatecznie zrezygnowali, żeby nie narażać na szwank reputacji uczelni. Brak zgody rady uczelni (a wcześniej senatu) na dodatkową pracę wydaje się być dość drobnym wykroczeniem i, jak sądzę, zwykle raczej jest wynikiem przeoczenia niż świadomej próby ukrywania tego faktu. Jednak w ustawie PSWN jest to dość jasno określone, podobnie jak sposób działania ministra (art. 125, par. 4 i 6). Mówiąc krótko, tego typu naruszenie pozbawia rektora mandatu z samej mocy ustawy. Minister nie decyduje o wygaszeniu mandatu rektora, ale tylko powziąwszy informację o tego rodzaju naruszeniu prawa, a zatem również wygaśnięciu mandatu z mocy ustawy, musi wysłać rektorowi informację o zaistnieniu tego faktu. O ile wiem, każde tego typu pismo do rektora było poprzedzone kontrolą w uczelni, a zatem podpisując pismo z informacją, minister miał pełny obraz sytuacji, poparty także solidnymi opiniami prawnymi (dowodzi tego również treść pisma wysłanego przez min. P. Czarnka do prof. P. Wiszewskiego).

Poza obiema sytuacjami na UM we Wrocławiu, gdzie społeczność akademicka poparła rektorów, wszystkie pozostałe przypadki ich odejścia ze stanowisk przed końcem kadencji miały miejsce w kontekście trwających w uczelniach od dłuższego czasu głębokich konfliktów o charakterze personalnym, ale w gruncie rzeczy o znacznie poważniejszym podłożu. Nie inaczej jest na Uniwersytecie Wrocławskim. Mam nadzieję, że obie uczelnie pogrążone aktualnie w kryzysach z powodu przerwania kadencji rektorskich wyjdą z trudności obronną ręką.

Piotr Kieraciński

## Monografie FRSE po raz trzeci

Fundacja Rozwoju Systemu Edukacji po raz trzeci ogłosiła konkurs wydawniczy Monografie. Jest on skierowany do badaczy i naukowców, którzy podejmują tematy związane z edukacją w ujęciu różnych dyscyplin nauk społecznych i humanistycznych. Motywem przewodnim tegorocznego konkursu będzie pięć obszarów: szkolnictwo wyższe, edukacja szkolna, kształcenie i szkolenia zawodowe, edukacja dorosłych oraz nieformalna edukacja młodzieży. Kapituła konkursu oceni prace w największym stopniu spełniające warunki wymienione w regulaminie. Zwycięskie monografie zostaną zrecenzowane, a następnie wydane w językach polskim i angielskim. Będą także bezpłatnie udostępniane w internecie i repozytoriach cyfrowych oraz uzyskają punkty niezbędne do ewaluacji dorobku naukowego.

W zeszłorocznym konkursie o nagrodę walczyli autorzy 13 publikacji, spośród których wyłoniono trzy zwycięskie. Wkrótce ukażą się one nakładem Wydawnictwa FRSE. Tematy, jakie laureaci podjęli w swoich monografiach, dotyczyły kształcenia nauczycieli języków specjalistycznych, doświadczeń zdobytych przez zagra-

nicznych studentów podczas pobytu w Polsce oraz strategii uczelni wobec dorosłych słuchaczy studiów podyplomowych. Wybrane fragmenty ostatniej z wymienionych prac zostaną opublikowane w jednym z najbliższych wydań „Forum Akademickiego”, które objęło patronatem medialnym tegoroczną edycję.

Więcej informacji na temat konkursu można uzyskać pod adresem [www.frse.org.pl/wydawnictwo](http://www.frse.org.pl/wydawnictwo). Zgłoszenia będą przyjmowane do 30 czerwca. Zapraszamy do współpracy!



# Efektywne kształcenie i badania

O współpracy z uczelniami w obszarze sztucznej inteligencji mówi dr hab. Piotr Sankowski, prof. UW, prezes IDEAS NCBR.

Głównym założeniem IDEAS NCBR jest wsparcie rozwoju AI i gospodarki cyfrowej w Polsce oraz stworzenie ram dla integracji środowiska akademickiego z biznesowym. Jednym z kluczowych elementów naszego przedsięwzięcia jest edukacja młodych naukowców. Chcemy pokazać im jak prowadzić badania, zapewnić dostęp do najlepszych ekspertów i umożliwić wymianę informacji na szczeblu krajowym i międzynarodowym. Skupimy się także na rozwoju umiejętności biznesowych: tworzeniu spółek, przepisach dotyczących ochrony własności intelektualnej, rozwoju kompetencji miękkich.

Powołaliśmy dwie grupy robocze. Jedna z nich zajmuje się cyfrowymi walutami i inteligentnymi kontraktami, druga wyuczonymi strukturami danych i wyjaśnialnymi algorytmami. Aktywnie rekrutujemy badaczy, by wkrótce uruchomić kolejne zespoły. Chcemy aktywnie przeciwdziałać zjawisku, które nazywamy „brain drain”. Wielu zdolnych absolwentów informatyki, a reprezentują oni naprawdę wysoki poziom, albo wyjeżdża za granicę, albo decyduje się na pracę w firmach o zagranicznym kapitale. Zależy nam na tym, aby zachęcić ich do pozostania w kraju, a tych, którzy rozważają karierę naukową, przekonać, że warto podążać tą ścieżką. Współpraca z uczelniami oparta jest na założeniu, że działamy razem, aby stworzyć najatrakcyjniejsze warunki do prowadzenia prac badawczych. Oferujemy wsparcie finansowe oraz wspólne prowadzenie projektów badawczych na czas trwania doktoratu. Zapewniamy dostęp do uznanych ekspertów, możliwość udziału w konferencjach branżowych, udział w publikacjach. Wspieramy też pracowników w rozwoju nowych kompetencji, takich jak pisanie wniosków o granty naukowe, znajomość przepisów dotyczących ochrony własności intelektualnej, budowanie zespołu czy tworzenie start-upu.

Pierwszą uczelnią, z którą sfinalizowaliśmy rozmowy, jest Wojskowa Akademia Techniczna. Bezpieczeństwo i obronność to jedno z najważniejszych obszarów wspierających rozwój SI. Wojskowość, ale także działalność służb na lotniskach, w przeciwdziałaniu przestępczości zorganizowanej czy nawet drobnych aktów wandalizmu – wszędzie tam może zostać wykorzystane SI, choć, co jest niezwykle ważne, takie zastosowanie inteligentnych algorytmów musi uwzględniać przepisy prawa oraz normy etyczne. To ważne, bo wedle europejskich prawodawców nasz kontynent ma być „bezpieczną przystanią”. Także z tego powodu konieczne jest współdziałanie eksper-

tów z różnych dziedzin, od matematyki i informatyki, przez obronność i wojskowość, aż po kwestie prawne i administracyjne. Często to właśnie na styku dyscyplin najlepiej widać potencjalne ryzyka błędów czy nadużyć. Naszym celem długoterminowym jest szukanie zastosowań opartych na AI także w innych sektorach.

Wkrótce współpracę rozszerzymy o kolejne uczelnie. Każda z nich ma swoją specyfikę, szanujemy to i staramy się dostosować do panujących w niej zasad. Umowy zakładają finansowanie stypendium wraz z kosztami związanymi z obowiązkowymi składkami ZUS. Taki mechanizm umożliwi zwiększenie liczby kształconych doktorantów ponad limit wynikający z uzyskanej przez uczelnię subwencji. Liczba dodatkowych miejsc w danej szkole doktorskiej będzie uzależniona od możliwości technicznych i organizacyjnych uczelni. Zakładamy, że na wspólne studia doktorskie zostanie przyjętych około 25 doktorantów z całej Polski.

Założeniem naszego projektu jest stworzenie środowiska dla przyszłych naukowców, w którym będą mogli pogodzić kształcenie z równoczesnym prowadzeniem badań naukowych. IDEAS NCBR, oprócz finansowania dodatkowych miejsc

w szkole doktorskiej, umożliwi pracę w charakterze naukowca w trybie umożliwiającym efektywne kształcenie. Powiem więcej, bierzemy na siebie dużą część odpowiedzialności za proces edukacji doktora. Podchodzimy do tych osób w sposób indywidualny, staramy się mu pomóc w doborze tematu rozprawy oraz programu badawczego. Na tej podstawie również proponujemy udział w konkretnej grupie badawczej.

Nasze własne finansowanie pozwoli nam zatrudnić do 200 naukowców, co uczyni IDEAS NCBR jednym z największych ośrodków kompetencji w dziedzinach badań związanych z ekonomią cyfrową. Taka skala pozwoli nam wychodzić skutecznie poza badania podstawowe. Będziemy też sięgali np. po europejskie granty.

Dzięki porozumieniu z IDEAS NCBR uczelnie będą mogły z jednej strony kształcić więcej doktorantów, a z drugiej budować swoją kadrę naukową z ludzi, którzy łączą umiejętności teoretyczne z wdrożeniami. W efekcie powstaną kolejne przykłady współpracy z biznesem, co wyjdzie na dobre zarówno gospodarce, jak i nauce.

Notował MK

## Nie tylko IDEAS

Utworzenie flagowych ośrodków badawczych w zakresie sztucznej inteligencji to jeden z filarów polityki naukowej państwa. W maju ub.r. Narodowe Centrum Badań i Rozwoju utworzyło spółkę IDEAS (Intelligent Digital Economy AlgorithmS) z kapitałem założycielskim w wysokości 3 mln zł. Analizując różne formy prawne, NCBR zdecydowało się na stworzenie podmiotu w formie spółki, dzięki czemu nastąpiło sprawne powołanie instytucji, a ponadto umożliwiło to realizację jej celów statutowych. W przypadku klasycznego instytutu badawczego proces jego powołania byłby o wiele bardziej

złożony i długotrwały. Oprócz zwiększenia kompetencji kadr B+R i liczby prac B+R, ważnym obszarem aktywności ma być komercjalizacja wyników realizowanych projektów przez współtworzenie spółek spin-out, w których badacze mogą zostać udziałowcami. W skład ok. 20-osobowych zespołów badawczych wejdą zarówno doświadczeni badacze na stanowiskach Senior Researcher, jak również postdocy, młodzi naukowcy i doktoranci. Grupy będą tworzone na okres realizacji projektu, stażu, napisania i obrony doktoratu. Zajmą się rozwijaniem technologii, które mają potencjał stać się

kluczowymi za 3–5 lat, a nie będących już obecnie w użyciu. Tematyka obejmie m.in. inteligentne zdrowie, inteligentne algorytmy ekonomiczne, uczenie maszynowe w grafice komputerowej, uczenie maszynowe w robotyce, uczenie maszynowe w rozszerzonej rzeczywistości, solidną i wyjaśnialną sztuczną inteligencję, badania podstawowe w dziedzinie uczenia maszynowego, cyfrowych walut i inteligentnych kontraktów.

W przyszłym roku Ośrodek Przetwarzania Informacji – Państwowy Instytut Badawczy planuje utworzyć Centrum Badań nad Sztuczną Inteligencją. Placówka powstanie na warszawskim Mokotowie, obok siedziby OPI PIB. W orbicie zainteresowania pracujących tam specjalistów znajdują się m.in.: algorytmy uczenia maszynowego oraz przetwarzania języka naturalnego, analiza sentymentu, sieci neuronowe, odkrywanie wiedzy z danych tekstowych, interakcja człowiek – komputer (HCI), możliwości wykorzystania potencjału wirtualnej rzeczywistości (VR), systemy komputerowego wspomaganie decyzji oraz sztuczna inteligencja. Jeszcze w tym roku NCBR wraz z Narodowym Centrum Nauki rozstrzygną konkurs Artiq, w którym wyłonione zostaną trzy Centra Doskonałości AI. Naukowcy zrealizują w nich pro-

jekty obejmujące badania podstawowe, przemysłowe, prace rozwojowe lub przedwdrożeńowe w dziedzinie sztucznej inteligencji. Na czele zespołów staną uczeni z zagranicy o międzynarodowej renomie i wyróżniającym się dorobku.

Z kolei przy Politechnice Poznańskiej i pod patronatem ministra edukacji i nauki utworzone zostanie Narodowe Centrum Sztucznej Inteligencji i Cyberbezpieczeństwa. Ma ono zintegrować ośrodki akademickie i badawczo-rozwojowe działające na tym polu w obszarach medycyny, inżynierii, analityki ekonomicznej, przemysłu, handlu, usług i bezpieczeństwa. Jedną z pierwszych inicjatyw będzie zakup komputera kwantowego o wartości około 250 mln zł, co pozwoli przyciągnąć do Polski także badaczy z zagranicy. Z uwagi na możliwość wykorzystania sztucznej inteligencji w metrologii Centrum miałyby uzupełnić działania Polskiej Unii Metrologicznej. Dodatkowo minister Przemysłu Czarnek zapowiedział utworzenie ministerialnego programu na rzecz badań aplikacyjnych w zakresie cyberbezpieczeństwa i sztucznej inteligencji.

m

## Polska sztuczna inteligencja

W latach 2010–2019 opublikowano w bazie Scopus 751,2 tys. prac naukowych z zakresu sztucznej inteligencji. Z każdym kolejnym rokiem było ich więcej. Na początku minionej dekady ich liczba nie przekraczała 55 tys. rocznie, by pod koniec osiągnąć poziom 136,3 tys. W omawianym okresie do tego dorobku polscy naukowcy dołożyli 11,3 tys. prac, co dało im 18 miejsce w globalnym zestawieniu i 6 wśród państw Unii Europejskiej. U nas też widoczny jest wyraźny trend wzrostowy: z 801 publikacji w 2010 r. do 1526 w 2019. Jedynie w 2017 r. zaobserwowano nieznaczny spadek (-1% r.r.), za to w 2015 największy wzrost (+19%). Autorzy poruszali najczęściej tematykę związaną ze sztuczną siecią neuronową (895 publikacji), przetwarzaniem obrazu (895), algorytmem genetycznym (723) oraz eksploracją danych (600).

Jak wskazują eksperci Ośrodka Przetwarzania Informacji – Państwowego Instytutu Badawczego, polskie publikacje nie mają jednak zbyt dużego oddziaływania w środowisku naukowym. Były cytowane 77,7 tys. razy, co plasuje nasz kraj na 8 pozycji w UE i 23 na świecie. Prym wiodą badacze z USA (1,8 mln cytowań). To właśnie oni są najczęstszymi partnerami Polaków. We współpracy z Amerykanami powstała co piąta publikacja spośród blisko 3 tys. napisanych do spółki z partnerami z zagranicy. Znaczący odsetek zanotowano także w przypadku Kanady (14%) oraz Wielkiej Brytanii (11%). Od 2017 r. liczba międzynarodowych prac naszych badaczy systematycznie rośnie. Warto jednak zauważyć, że ta kooperacja obejmuje jedynie 26% całości polskiego dorobku w zakresie SI. Przy czym na jedną taką pracę, której współautorami byli uczeni z innych państw, przypada 11 cytowań, czyli ponad dwukrotnie więcej niż w przypadku publikacji wyłącznie polskiej (5). Na świecie przygotowano w międzynarodowych zespołach w sumie 140 tys. prac, z czego 10% należy do tandemu USA-Chiny.

Polska znajduje się w połowie stawki unijnego zestawienia według indeksu Hirscha: 82 prace naukowe naszych uczonych zacytowano nie mniej niż 82 razy. To rezultat nieco wyższy niż średnia unijna (81). Jedna publikacja autorstwa polskich naukowców była cytowana średnio 7 razy, co było poniżej średniej wartości zarówno dla UE (10 cytowań), jak i świata (8 cytowań). Z drugiej strony aż 989 prac badaczy afiliowanych w polskich instytucjach znalazło się wśród 10% najczęściej cytowanych na świecie z zakresu SI.

Wśród instytucji o największej liczbie publikacji w prestiżowych czasopismach informatycznych dominował Instytut Badań Sotowa-

nych PAN, którego pracownicy w latach 2013–2018 byli autorami 167 takich prac. Wynik powyżej stu osiągnęli też naukowcy z politechnik: Wrocławskiej (141) i Warszawskiej (119). W sumie Polacy opublikowali w topowych tytułach 1674 prac. Natomiast ogółem w tym okresie najczęściej o SI pisali badacze z Akademii Górniczo-Hutniczej (4309), którzy byli autorami 1187 prac. Niewiele mniej mieli na swoim koncie naukowcy z Politechniki Śląskiej (1022) i Politechniki Warszawskiej (992). Pierwszą nietechniczną uczelnią w tym zestawieniu jest Uniwersytet Warszawski, który z 226 publikacjami zajął 11 miejsce.

Dyscypliny informatyczne (informatykę techniczną i telekomunikację lub informatykę), w ramach których powstała blisko połowa ze wszystkich prac w obszarze SI, uprawia obecnie 4309 naukowców. Warto zwrócić uwagę, że sztuczną inteligencją interesują się także badacze z innych dyscyplin, m.in.: zarządzania, ekonomii, językoznawstwa, psychologii, prawa, filozofii czy nauk medycznych i o zdrowiu. W omawianej dekadzie na podstawie dorobku dotyczącego sztucznej inteligencji wypromowano w Polsce 760 doktorów i doktorów habilitowanych (najwięcej na AGH – 125).

W latach 2011–2018 zrealizowano w Polsce 915 projektów dotyczących sztucznej inteligencji. Najwięcej na Politechnice Wrocławskiej (120), AGH (83) i Politechnice Poznańskiej (68). W tym czasie Narodowe Centrum Badań i Rozwoju przeznaczyło na badania nad SI 149,6 mln zł, zaś Narodowe Centrum Nauki – 91,9 mln zł.

Biorąc pod uwagę publikacje, liczbę projektów i zaplecze kadrowe, do najważniejszych ośrodków sztucznej inteligencji, oprócz już wymienionych, można zaliczyć także politechniki Łódzką i Gdańską, Wojskową Akademię Techniczną oraz Uniwersytet Jagielloński.

Rządowa strategia rozwoju SI w Polsce do roku 2027 wspomina o specyficznej w odniesieniu do całego świata sytuacji, w której zdecydowana większość naszych specjalistów to absolwenci kierunku o profilu informatyka ogólna (computer science). Poza tym mają oni najczęściej dyplomy z: matematyki, technologii informacyjnych, inżynierii elektrycznej i elektronicznej, fizyki oraz mechatroniki i robotyki. W stosunku do średniej światowej widać w Polsce wyraźny deficyt ekspertów w obszarze inżynierii komputerowej oraz elektronicznej.

Mariusz Karwowski

# Strumień euro na horyzoncie

Dotychczas rozstrzygnięto 67 konkursów Programu Ramowego Horyzont Europa. W skierowanych do finansowania 1058 projektach bierze udział 5144 uczestników ze 108 krajów. Wszystkie przedsięwzięcia są warte 4,74 mld euro, z czego 4,08 mld euro otrzymali beneficjenci z państw członkowskich UE (pozostała część trafiła do państw stowarzyszonych i państw trzecich). W 152 projektach (14,3% ogólnej liczby), z czego w 11 w roli koordynatorów, bierze udział 109 podmiotów z Polski (to 2,6% spośród 4210 europejskich uczestników). Pozyskały one do tej pory 63,47 mln euro, co daje nam 14 miejsce w UE i pozycję lidera w grupie nowych państw członkowskich (UE13), a także 16 miejsce wśród uczestników HE. Nasz udział w budżecie dotychczasowych 67 konkursów HE stanowi 1,55% kwoty, jaką uzyskali badacze z państw Wspólnoty i 1,34% finansowania wszystkich projektów w dotychczasowych konkursach HE, co jest najlepszym wynikiem od początku uczestnictwa Polski w programach ramowych Unii Europejskiej. Do takiego wyniku przyczynił się z pewnością styczniowy konkurs ERC Starting Grants, w którym Polacy otrzymali aż 10 prestiżowych grantów z dofinansowaniem 15,9 mln euro. To 2,3% budżetu tego konkursu.

– W sumie w konkursie przyznano 397 grantów na sumę 619 mln euro. Potem Rada ERC dołożyła (z oszczędności na procesie oceny) jeszcze 4 granty na sumę 5,7 mln euro. Problem w tym, że w ogólnej liczbie było 28 przyznanych grantów ze Szwajcarii i 46 z Wielkiej Brytanii. Wiemy już, że grantów w tym roku nie będzie można realizować w Szwajcarii. Laureaci z tego kraju mogą zdecydować się na ich przeniesienie gdzie indziej. Już wiem, że raczej z tego nie skorzystają, ponieważ Rada Federalna Szwajcarii refunduje im zdobyte granty ERC ze swoich środków. Fundusze niewykorzystane zostaną skierowane na finansowanie projektów z listy rezerwowej. Mniej jasna jest sytuacja Brytyjczyków, ponieważ ciągle jest (gasnąca) nadzieja, że UE podpisze z UK umowę stowarzyszeniową. Jeżeli się to nie uda, zdobywcy grantów muszą zdecydować, czy przeniosą

je do innych krajów, bo inaczej środki te także trafią na finansowanie grantów z listy rezerwowej – tłumaczy prof. Andrzej Jajszczyk, wiceprzewodniczący ERC.

Pod względem kwoty dofinansowania polskim liderem w HE jest Narodowe Centrum Badań i Rozwoju, które otrzymało dotąd blisko 10,9 mln euro. NCBR uczestniczy w 12 przedsięwzięciach, z których jedno koordynuje. Jeszcze więcej projektów (13, w tym 4 w roli lidera) mają na swoim koncie naukowcy z Uniwersytetu Warszawskiego, którzy otrzymali blisko 7,8 mln euro. Podium zamyka Uniwersytet Jagielloński z kwotą 5,8 mln euro. Kolejne miejsca zajmują: Uniwersytet im. Adama Mickiewicza w Poznaniu (1,4 mln euro), Narodowy Instytut Onkologii im. Marii Skłodowskiej-Curie – Państwowy Instytut Badawczy (1,7 mln euro), Instytut Chemii Bioorganicznej PAN (1,5 mln euro), Instytut Sławistyki PAN (2,9 mln euro), Akademia Górniczo-Hutnicza w Krakowie (1,4 mln euro), Fundacja Adeptów i Miłośników Ekonomii (1,2 mln euro), Politechnika Warszawska (1,1 mln euro).

W czołówce krajów, które otrzymały do tej pory najwięcej środków, znajdują się: Niemcy (660,7 mln euro), Hiszpania (493,8 mln euro) i Belgia (472,5 mln euro).

Horyzont Europa ruszył w ubiegłym roku. To największy w historii UE program wspierający badania naukowe i innowacje. Jego budżet na lata 2021–2027 wynosi ponad 95 mld euro. W programie ramowym Horyzont 2020 (perspektywa finansowa 2014–2020) z budżetem 75 mld euro polscy uczeni pozyskali blisko 850 mln euro, czyli 1,13% jego budżetu. Tymczasem polski wkład do programu stanowił 3,37% budżetu H2020. Podobny będzie nasz udział w budżecie Horyzontu Europa. Dzięki staraniom Polski do kryteriów oceny projektów w HE dołączono dywersyfikację geograficzną, co ma poprawić szanse polskich zespołów (i w ogóle badaczy z tzw. nowych krajów UE) w międzynarodowej konkurencji.



IKS

Rozmowa z Waldemarem Siwińskim, założycielem Fundacji Edukacyjnej „Perspektywy”, twórcą Rankingu Szkół Wyższych „Perspektyw”, współinicjatorem programu „Study in Poland”, ekspertem od rankingów i internacjonalizacji studiów

# Umieędzynarodowienie pod bombami

Coraz bardziej realna staje się wizja rozwoju współpracy jedynie w ściśle zdefiniowanych regionalnych lub politycznych „bańkach” akademickich, przy coraz chłodniejszych kontaktach światowych. Nie wiemy, co będzie za rok czy dwa, ale wręcz fizycznie czujemy, jak odpryski tego granatu, który zdetonowała Rosja, latają po całej Europie i ranią na oślepek wszystkich.

## Jak na umieędzynarodowienie kształcenia wyższego wpłynie najazd Rosji na Ukrainę?

Proponuję spojrzeć na to z trzech perspektyw: Ukrainy, Polski i świata. Dla Ukrainy jest to pełna demolka, bo odbudowanie zaufania, że edukacja wyższa w tym kraju zapewnia wysoką jakość i jest bezpieczna, w tym najbardziej elementarnym znaczeniu, potrwa wiele lat. Tuż przed rosyjską agresją było na Ukrainie 77.986 studentów zagranicznych, a łącznie z osobami na kursach językowych i doktorantami 84.136. Najwięcej z Indii (22.819), Maroka (9.296), Nigerii (6.802), Chin (5.323), Turkmenii (4.392), Azerbejdżanu (4.077) i Turcji (4.045). Wielu studiowało na wschodzie, w Charkowie, Sumach, Połtawie. Ewakuowanie ich stamtąd było epopeją. Pierwsze dni i noce bombardowań spędzili w piwnicach, potem uciekali, czym się dało na wschód: do Polski, Rumunii, Mołdawii. Ostatnie odcinki, w tym ze Lwowa do granicy, niektórzy szli po kilka dni piechotą, głodni, niewyspani, przemarznięci.

Dwóch studentów, z Indii i Algierii, zginęło od rosyjskiego ostrzału. Nie ma jeszcze pełnej wiedzy, kto, kiedy i którędy się ewakuował, bo nie wszyscy chcą się ujawniać, przecież nawet w Polsce podlegają po dwóch tygodniach obowiązkowej deportacji do kraju pochodzenia... Trudno się dziwić, że potencjalni „international students” i ich rodzice oraz solidni agenci edukacyjni będą teraz omijać uczelnie ukraińskie szerokim łukiem.

## Co ta wojna znaczy dla nas?

Z polskiej perspektywy ważne jest, aby obawy dotyczące zagrożenia Ukrainy nie przeniosły się na „kraje przyfrontowe”, w tym na Polskę. Może się to nam wydawać pozbawione podstaw, ale dla rodziców na Tajwanie, którzy zastanawiają się, do którego kraju naszego regionu wysłać dziecko na studia lekarskie, bo przecież cała Europa Środkowo-Wschodnia kształci odpłatnie obcokrajowców na kierunkach medycznych, nie jest to wcale obawa nadmierna. Ba, to samo dotyczy uczelni amerykańskich.

Są sygnały, że zastanawiają się one, czy wysłać swoją młodzież na krótkoterminowe programy „Study Abroad” do państw graniczących z regionami walk. Obawiam się, że nieuwzględnienie w „specustawie” i nieobjęcie unijną „tymczasową ochroną” uciekających z Ukrainy studentów z krajów trzecich nie przysporzy nam edukacyjnych plusów w tych krajach.

## Jakie będą konsekwencje agresji Rosji na Ukrainę dla światowej współpracy akademickiej?

Umieędzynarodowienie nauki, w tak otwartym kształcie, w jakim się dotychczas odbywało, właśnie się sypie. Europejskie organizacje akademickie, a także wiele uczelni, zerwało kontakty z rosyjską nauką. W Polsce podjął tę decyzję minister edukacji i nauki, wycofując m.in. nasz kraj ze Zjednoczonego Instytutu Badań Jądrowych w Dubnej pod Moskwą. Nikt w Europie nie oczekiwał, że rosyjscy rektorzy wystąpią przeciwko decyzjom prezydenta swojego kraju, ale zbiorowe poparcie przez nich wojny w Ukrainie jest absolutnie nieakceptowalne. Wymuszony bojkot akademicki Rosji dołącza się do trwającego już od pewnego czasu zamrażania kolejnych obszarów współpracy naukowej pomiędzy USA i Chinami. Ciemnych plam w nauce jest więcej, choćby ta wokół Iranu. W rezultacie coraz bardziej realna staje się wizja rozwoju współpracy jedynie w ściśle zdefiniowanych regionalnych lub politycznych „bańkach” akademickich, przy coraz chłodniejszych kontaktach światowych. Nie wiemy, co będzie za rok czy dwa, nawet się nad tym jeszcze zbyt głęboko nie zastanawiamy, ale wręcz fizycznie czujemy, jak odpryski tego granatu, który zdetonowała Rosja, latają po całej Europie i ranią na oślepek wszystkich.

## Wojna wybuchła w momencie, kiedy w polskich uczelniach była sesja i przerwa semestralna. Czy studenci z Ukrainy zostali u nas, czy wrócili do domów i tam zostali zatrzymani przez wojnę?

Tego dokładnie nie wiemy. Niektórzy wrócili na Ukrainę. Wiemy to niestety na pewno, gdyż Oleksii Morklianyk, student

Szkoły Głównej Handlowej, zginął od rosyjskiego ostrzału w Kijowie. Wielu z nich ściągnęło rodziny do Polski, a potem angażowało się jako przygraniczni wolontariusze. Polsko-ukraińska granica nie jest przecież zamknięta i codziennie tysiące ludzi przekraczają ją w obu kierunkach. Niektórzy studenci zgłosili się do ukraińskiej armii i oddziałów obrony terytorialnej. Tam trwa przecież prawdziwa wojna! Tuż przed naszą rozmową dowiedziałem się, że decyzją ukraińskiej Rady Ministrów studenci najstarszego rocznika Wydziału Łączności Specjalnej i Ochrony Informacji na mojej ukochanej Politechnice Kijowskiej „KPI” pół roku przed terminem zakończyli studia i otrzymali awanse oficerskie, a także skierowanie do stawienia się w jednostkach Sił Zbrojnych Ukrainy. Ci geniusze informatyczni mają po 20-21 lat.

### **Przed wojną mieliśmy inny problem – pandemię, która też zapewne spowodowała jakieś zawirowania, choćby z powodów komunikacyjnych?**

W przypadku pandemii było to o tyle możliwe do opanowania przez studentów z Ukrainy i Białorusi, że mogli łatwo wrócić do domu: pociągiem, samochodem czy nawet rowerem, a z tych krajów pochodzi przecież odpowiednio 45 i 9% ogółu obcokrajowców w polskich uczelniach. Innym było trudniej. Pamiętam, jak w marcu 2020 grupa indyjskich studentów z Politechniki Opolskiej próbowała wrócić do Indii. Udało się im, już w warunkach restrykcji, dojechać pociągiem do Warszawy, ale po kilku dniach koczowania na Okęciu, w stanie pełnego lockdownu, podjęli decyzję o powrocie do Opola. Uczelnia była już „na zdalnym”, akademiki zamknięte, ale szczęśliwie rektor Marcin Lorenc zdołał załatwić dla nich otwarcie jednego z ośrodków. To też była ewakuacja, choć inna niż obecnie...

### **Jak pandemia wpłynęła na umiędzynarodowienie?**

Solidnie je przewartościowała. Fundacja Edukacyjna „Perspektywy” wspólnie z Komisją ds. Współpracy Międzynarodowej KRASP przeprowadziły wiosną 2020 i 2021 dwa cykle badania „Internacjonalizacja w czasach pandemii”. Pokazały one m.in., że można prowadzić studia online dla obcokrajowców, nie mając wiedzy, gdzie ci się znajdują: na uczelni, w Polsce, w kraju pochodzenia czy na Wyspach Kanaryjskich. Musimy się przyzwyczaić, że kształcenie on-line będzie trwałą pozostałością po pandemii Covid-19. Oba badania pokazały też, że w tak krytycznych warunkach kluczową komórką uczelni do zapewnienia ciągłości nauki dla studentów obcokrajowców są działy współpracy międzynarodowej. Brawo Liliana Lato, brawo Ewa Kiszka, brawo Marta Forys, brawo wszystkie panie i kilku panów też!

### **A generalnie?**

Pandemia zmusiła nas do ponownego przemyślenia, czym właściwie powinno być umiędzynarodowienie dla polskich uczelni. Bo pewne rzeczy robiliśmy dotychczas z rozpędu. Przyjmowaliśmy na zasadzie aksjomatu, że umiędzynarodowienie to jak najwięcej studentów zagranicznych w naszych uczelniach. To nigdy nie było prawdą, ale w chwili wejścia do Unii Europejskiej byliśmy pod tym względem na tak niskim poziomie, że każdy student zagraniczny był na wagę złota. Wstyd było przecież tkwić na ostatnim miejscu w statystykach UE. Musieliśmy to nadrobić.

### **I stąd wziął się program „Study in Poland”?**

Tak. Wymyśliłmiśmy go razem z prof. Franciszkiem Ziejką, ówczesnym rektorem Uniwersytetu Jagiellońskiego i szefem KRASP, gdy odwiedziłem go w Krakowie w końcu grudnia 2004. Byliśmy już 8 miesięcy po wejściu do Unii Europejskiej,

ale w zakresie internacjonalizacji nic na uczelniach nie drgnęło. Aby to zmienić, prof. Ziejka zamierzał uruchomić przedstawicielstwo KRASP w Brukseli i konsultował ze mną, jak to się robi i ile to kosztuje. Byłem wówczas prezesem Polskiej Agencji Prasowej, z siecią stałych korespondentów w kilkunastu krajach świata, i wiedziałem dokładnie, że nie jest to zabawa tania i na pewno składki KRASP-owskie nie wystarczą. Ale uruchomienie „Study in Poland”, jako programu jednoczącego pod wspólnym logo wysiłki zainteresowanych uczelni i organizacji pozarządowych, było w naszym zasięgu. Pół roku później przybrało to postać uchwały Zgromadzenia Plenarnego KRASP i odpowiedniej decyzji Fundacji Edukacyjnej „Perspektywy”, której powierzono administrowanie programem. Wystartowaliśmy ostro i zaczęliśmy być widoczni na świecie, statystyki zaczęły iść w górę.

### **Rzeczywiście przez kilkanaście ostatnich lat umiędzynarodowienie kształcenia gwałtownie się rozwijało. „Perspektywy” co roku ogłaszały, o ile wzrosła liczba studentów zagranicznych w Polsce. Jak w tym kontekście odcisnę się pandemia na internacjonalizacji?**

Tego jeszcze nie wiemy, bo statystyki też mają swoje ograniczenia i należy je właściwie interpretować. W liczbach wygląda to tak, że w 2019 roku mieliśmy 78.259 studentów obcokrajowców, w 2020 roku 82.194, a w 2021 – 84.689. Trend wzrostowy utrzymuje się więc, choć tempo przyrostu maleje. Ale nie zapominajmy, że w obu latach pandemii wydłużeniu uległa, z różnych powodów, terminowość kończenia studiów przez obcokrajowców. Nie dochodząc do dyplomu, odnotowywani oni byli cały czas w uczelnianych rejestrach jako studenci obcokrajowcy. W statystyce istnieje pojęcie fal i gdy ta fala osób z przedłużonymi obronami opuści ostatecznie uczelnie, możemy zanotować gwałtowne pogorszenie wyników. Na ostateczne wnioski musimy jeszcze poczekać.

### **Po co i dla kogo umiędzynarodawiamy kształcenie?**

To jedno z zasadniczych pytań, na które powinniśmy sobie wreszcie odpowiedzieć. Jeśli zostawimy na boku powody wyłącznie finansowe, traktowanie studentów zagranicznych jako „cash cow”, czyli dojne krowy, które mają uzupełniać braki w uczelnianym budżecie, to jedyną racjonalną odpowiedzią będą potrzeby naszych studentów. Celem uczelni, i na to jako podatnicy płacimy, jest wykształcenie jak najlepszych kadr na potrzeby rozwoju kraju. Można nazwać to podejście „nacionalizacją internacjonalizacji” w tym sensie, że w pierwszym rzędzie zależy nam na pożytkach dla kraju. Z tego punktu widzenia zapewnienie polskim studentom w trakcie nauki niezbędnego doświadczenia międzynarodowego (international experience) powinno być w centrum uwagi. Można to robić na różne sposoby, poprzez obecność w grupach studenckich pewnego procenta obcokrajowców (bo to daje szansę na interkulturowość), poprzez wysyłanie naszych studentów na uczelnie zagraniczne, na dobrze przygotowane wymiany krótkoterminowe czy też poprzez wbudowanie umiędzynarodowienia we wszystkie możliwe segmenty i aspekty studiów, czyli „internationalization at home”.

### **Czy „nacionalizacja internacjonalizacji” to nie jest za duże uproszczenie?**

Nie. Musimy zadbać, żeby nasi studenci nabyli doświadczenia międzynarodowego już w trakcie studiów, żeby skutecznie dotknęli świata akademickiego innych krajów. To ważniejsze od masowego kształcenia kiepskich studentów zagranicznych na kiepskich programach (których nikt zresztą nie kontroluje) za małe pieniądze. Tak naprawdę nigdy nie zabiegaliśmy o najlep-

szych studentów (nie dotyczy to Akademii Koźmińskiego i kilku czołowych uczelni publicznych). Z tego wynikają ważne konsekwencje, na przykład takie, że aby dać jak największej liczbie studentów szansę na obycie międzynarodowe, musimy ich wysłać na krótko, bo chodzi o masowość i systematyczność takiego doświadczenia.

### Czy polskie uczelnie poradziły sobie ze stworzeniem dobrej oferty anglojęzycznych programów studiów?

Uczelniom medycznym stworzenie programów anglojęzycznych poszło najszybciej, gdyż było na nie zapotrzebowanie zewnętrzne. Kraje skandynawskie, USA, Kanada, a potem także Arabia Saudyjska szukały miejsc do kształcenia kadr medycznych, bo z różnych względów nie mogły tego robić w odpowiednio szerokim zakresie u siebie. Ulokowały więc programy stypendialne w zakresie studiów medycznych w krajach Europy Środkowo-Wschodniej, w których odpowiednio wysoka jakość kształcenia szła w parze z odpowiednio niskimi kosztami. Polska nie jest w tym regionie wyjątkiem. Jeśli chodzi o inne kierunki, w miarę szybko weszły w umiędzynarodowienie uczelnie biznesowe, a to dzięki programom MBA, z natury anglojęzycznym, które dają duże przychody. W przypadku politechnik pamiętajmy o genialnej intuicji prof. Jana Krysińskiego z Politechniki Łódzkiej, który rozpoczął w Polsce kształcenie międzynarodowe w czasach, gdy nikt inny – poza medykami – jeszcze o tym nie myślał. Na Politechnice Warszawskiej zapalił się do tego prof. Bohdan Macukow, który uruchomił anglojęzyczny makrokierunek na Wydziale Elektroniki. Do tego należy dodać Międzynarodową Szkołę Inżynierów na AGH. To były inicjatywy punktowe, ale uruchomione już w latach 90. ubiegłego wieku.

### A uniwersytety?

Tam było gorzej. Z natury rzeczy wiele dyscyplin humanistycznych i społecznych jest zanurzonych w języku i kulturze narodowej. Do tej pory mamy problem, w jakim języku publikować prace z zakresu humanistyki. Nie było też ssania międzynarodowego. Zainteresowanie polskimi kierunkami uniwersyteckimi było za granicą niewielkie. Pamiętam, jak tworzono program studiów anglojęzycznych na Uniwersytecie Warszawskim: najszybciej rozpoczęła to psychologia, czyli studia związane jednak ze zdrowiem. Potem długo wprowadzano program anglojęzyczny na politologii. W tej chwili nikt do końca nie wie, ile w Polsce jest programów anglojęzycznych – nawet POL-on nie wie, bo do jego baz uczelnie wpisują często programy, które nigdy nie wystartowały, bo nie było studentów albo wykładowców. Nie wiemy też, jakiej jakości są programy anglojęzyczne. Nawet PKA się tym nie zajmuje.

### Skąd bierze się sukces uczelni niepublicznych w umiędzynarodowieniu: choćby uczelni w Józefowie k. Warszawy czy Krakowskiej Akademii Frycza Modrzewskiego?

Dla większości uczelni prywatnych studenci zagraniczni to była niemal wyłącznie kwestia pieniędzy, a w warunkach niżu demograficznego wręcz warunek przetrwania. Przy-



Fot. Krzysztof Wojciewski

**Waldemar Siwiński** (ur. w 1952 r.) jest założycielem Fundacji Edukacyjnej „Perspektywy”. Wiceprezydent *IREG Observatory on Academic Ranking and Excellence*. Inicjator działań na rzecz jakości edukacji w Polsce, w tym rankingów szkół wyższych i programu „Study in Poland”.

Były prezes Polskiej Agencji Prasowej, gdzie powołał serwis „Nauka w Polsce” i zainicjował konkurs „Popularyzator Nauki”. Pracę dziennikarza naukowego rozpoczął w tygodniku „Politechnik”, był redaktorem naczelnym „ITD.” oraz założycielem i redaktorem naczelnym „Bajtki”, pierwszego w Polsce czasopisma poświęconego komputerom. Autor książki o katastrofie w Czarnobylu. Założyciel i prezes wydawnictwa „Perspektywy Press” specjalizującego się w marketingu edukacji.

Absolwent Wydziału Elektroniki Politechniki Warszawskiej. Ukończył też podyplomowe studia dyplomatyczne. Posiada szereg odznaczeń i nagród, w tym Krzyż Oficerski Orderu Odrodzenia Polski, nagrodę rektorów Krakowa „Phil Epistemoni” i tytuł Honorowego Złotego Inżyniera NOT. Jest doktorem honoris causa Politechniki Kijowskiej.

znając z uznaniem, że skutecznie wykorzystwały one „premię” dostępności studentów z Ukrainy, którzy byli blisko i nie było wielkich barier językowych, dzięki czemu studiują głównie w języku polskim. Graliśmy wówczas wszyscy hasłem, że „w Polsce zdobędziesz dobry europejski dyplom za te same pieniądze, co na Ukrainie”. Dla Ukraińców to było atrakcyjne. Przyjmowano wszystkich, często na studia zaoczne. Równocześnie pojawiły się „wypadki przy pracy”. Wspomniana uczelnia w Józefowie miała kiedyś chyba z półtora tysiąca studentów z Indii. Podobno bazowało to na dobrych układach w jednym z konsulatów, który „swoim” studentom dawał wizy, a innym raczej nie bardzo... Ale to się skończyło, a w rezultacie liczba studentów z Indii zmalała w Polsce o połowę. Natomiast sukces Akademii Frycza Modrzewskiego polegał przede wszystkim na stworzeniu szerokiej sieci partnersko-rekrutacyjnej na Ukrainie.

## **Jak przygotowana była Polska do przyjmowania studentów zagranicznych? Słyszysz się o kłopotach z wizami, a potem z innymi sprawami, w tym ubezpieczeniami, już tu, na miejscu.**

Na poziomie wojewodów, czyli pozwoleń na pobyt i na prace, nie było raczej problemów, to funkcjonuje nieźle. Zwykle uczelnie mają dobre relacje z lokalnymi władzami, zatem łatwiej wyjaśnić problemy i znaczenie tych studentów dla Polski. Inaczej jest z ambasadami. Największym problemem zawsze były wizy. Problem polegał na tym, że nigdy nikt w Polsce nie powiedział konsułom, czy chcemy, czy nie chcemy studentów zagranicznych. Im pozostawiono podejmowanie decyzji. Decydowali więc według swojego rozeznania, raczej z dużą ostrożnością. Przy czym nie było nigdy problemów z przyjmowaniem studentów z takich krajów jak Ukraina, Białoruś czy Rosja. Ale już z krajami pozaeuropejskimi problemy były i są nadal. Dużo zależało też od agentów pracujących dla naszych uczelni. Niektórzy zdołali sobie wydeptać ścieżki w konsulatach i zdobyć zaufanie poparte przez władze polskich uczelni. Jednak podkreślam: nigdy nie było oficjalnej polityki państwa, która wskazywałaby, że na studentach obcokrajowcach nam zależy.

## **Czyli nadal nie mamy polityki otwartych drzwi dla studentów zagranicznych?**

Nie. Kiedyś przy MNiSW powstał z inicjatywy KRASP zespół, który miał wypracować transparentne reguły rekrutacji studentów zagranicznych. Rektorzy proponowali nawet wysyłanie komisji egzaminacyjnych za granicę, aby konsulowie mogli szybko dostawać listy osób zakwalifikowanych na studia przez uczelnie. To się jednak rozplynęło i rezultatów tych starań nie ma.

## **Mam z kilku miast informacje o zagranicznych studentach uczelni niepublicznych, którzy trafiają do szpitali i okazuje się, że nie mają odpowiednich ubezpieczeń.**

To tylko potwierdza, że bez uruchomienia w Polsce rządowego wsparcia dla umiędzynarodowienia dalej nic z tego w sensie systemowym nie będzie. Trzeba zdjąć z uczelni odpowiedzialność za ubezpieczenie zdrowotne studenta. Nie może też być tak, że student musi na czas studiów złożyć równoważność czesnego na lokacie na swoim koncie w banku. Jeśli państwo uważa, że umiędzynarodowienie studiów jest potrzebne, a jest, to muszą iść za tym określone państwowe gwarancje. Na razie udało się uzyskać tylko tyle, że jeśli obcokrajowiec skończy studia w Polsce, to może podjąć tu pracę bez dodatkowych formalności.

## **Fenomenem są studenci z Japonii, Korei, Chin na uczelniach muzycznych.**

Ten fenomen związany jest z szopenistyką. Mamy w tym obszarze znakomitą markę. Myślę, że nie wykorzystujemy wszystkich możliwości, co wynika zapewne z potrzeby bardzo specyficznego zaplecza: sal i fortepianów do ćwiczeń. Kadre mamy znakomitą, tradycje muzyczne i kształcenia też świetne. Ale brakuje nam tysiąca fortepianów. Statystycznie to jednak mała grupka studentów.

## **Półowa studentów uniwersytetów europejskich ma odbyć część kształcenia za granicą, to wymóg formalny.**

Uniwersytety Europejskie to przyznanie, że dotychczasowe koncepcje rozwoju europejskiego obszaru szkolnictwa wyższego – choćby system boloński – nie do końca nam się udały i wielu rzeczy nie załatwiły. Nasze uczelnie są generalnie gorsze od amerykańskich czy brytyjskich. Musimy zbudować uniwersytety równorzędne, bo bez tego nigdy nie będziemy konkurencyjni gospodarczo. Przegrywamy rywalizację w innowacyjności z Ameryką, a teraz już także z Azją. Pomysł Emmanuela

Macrona miał na celu przyspieszenie rozwoju Europy. Chodzi o skumulowanie dobrych cech i doświadczeń wielu uczelni z całej Europy w jednym bycie sieciowym. Wymiana studentów polega w takiej grupie na tym, że wysyłamy ich tam, gdzie są najlepsze programy z danej dziedziny czy przedmiotu. Poza tym to jest wymiana krótkoterminowa. Chodzi o to, by nabyć sensowne kompetencje międzynarodowe podczas krótkich wyjazdów. To realizacja programu umiędzynarodowienia, o którym już mówiłem, a który czeka także pozostałe uczelnie. Celem jest wyższa jakość kształcenia naszych studentów. Kiedyś w procesie bolońskim postawiono cel, aby 20% studentów uczelni europejskich wyjechało w trakcie nauki na Erasmusa. To się okazało niemożliwe do spełnienia i było kolejną fikcją w wykonaniu eurobiurokracji. Dziś już wiemy, że musimy przejść na wymiany krótkoterminowe. Odejść od rocznych pobyatów, na rzecz krótszych – miesiąc, półtora – ale lepiej przygotowanych. Oczywiście są z tym związane różne problemy, bo jak zaliczyć punkty ECTS za miesięczny kurs? Zatem będziemy używać microcredentials, czyli uznawać mikrokwifikacje. To słowo klucz na najbliższe lata.

## **Doktoranci i umiędzynarodowienie. Mówi się, że w niektórych dyscyplinach odsetek doktorantów zagranicznych jest tak wysoki – a wiemy, że większość z nich wyjedzie z Polski po doktoracie – że grozi nam utrata zastępowalności kadr.**

Właściwie powinniśmy odróżnić doktorantów od uczestników szkół doktorskich. To są dwie różne koncepcje kształcenia doktoratów. W pierwszym przypadku są to studenci trzeciego stopnia według systemu bolońskiego. W drugim, to są początkujący badacze, którzy mają robić naukę. Szkoły doktorskie z natury muszą być międzynarodowe, oparte na otwartych konkursach, w których pozyskamy z całego świata ludzi zdolnych do przesuwania granic nauki. W im bardziej międzynarodowym towarzystwie będą prowadzili badania, tym lepiej. Oczywiście to musi być jakoś monitorowane i racjonalne. Ale generalnie nie mamy jeszcze problemu z tym, że w szkole doktorskiej jest 90% słuchaczy z zagranicy.

## **O ile umiędzynarodowienie kształcenia zaczyna nam wychodzić, to znacznie gorzej jest z umiędzynarodowieniem kadry.**

Mamy mniej więcej stałą liczbę zagranicznej kadry, około 2,5-2,7 tysiąca, czyli blisko dwóch procent ogółu. Ten wskaźnik stoi w miejscu.

## **To mało? To źle?**

To mało i to niedobrze. Przede wszystkim kadra musi być międzynarodowa, gdyż za tym idą inne elementy, jak dobre granty badawcze, międzynarodowe programy studiów itp. Mamy jeszcze schedę po czasach, gdy o uprawnieniach do prowadzenia studiów, ale i nadawania stopni, decydowało „minimum kadrowe”. Aby je spełnić, przyjęto wówczas sporo pracowników z bliskiej zagranicy, często emerytów. Trzeba zatem teraz ściągać dobrych badaczy z zagranicy. Fundusze na to pojawiają się w grantach NCN, IDUB, NAWA. Mamy jednak poważne ograniczenia formalne, wynikające z systemu awansów nieprzystającego do tego, który obowiązuje na świecie: dobry badacz, który od dawna jest za granicą samodzielnym szefem zespołów naukowych, u nas musi udowadniać, że coś potrafi zrobić. Poza tym warunki finansowe i bytowe nie są u nas konkurencyjne.

## **Getta – ostre słowo, ale w zasadzie studenci zagraniczni i polscy się nie integrują. Dotyczy to także uczestników Erasmusa.**

To problem o dwóch obliczach: systemowym i kulturowym. Uczelnie przygotowywały dla erasmusowców osobne zajęcia,

a zatem ci studenci obracają się w swoim międzynarodowym towarzystwie, czasami zupełnie nie integrując się ze studentami miejscowymi. Integracja odbywa się ewentualnie w klubach, a nie w procesie dydaktycznym. Znacznie gorzej jest ze studentami studiów anglojęzycznych, którzy nie tylko mają osobno zajęcia, ale i mieszkają osobno, a także bawią się osobno, choć uczelnie podejmują starania o integrację, organizują dni kultury różnych narodów, eventy. To problem do rozwiązania, ale nie mam złotych pomysłów, jak to skutecznie zrobić.

### Umiejętności weszły do krwioobiegu szkolnictwa wyższego, a zatem także do ocen uczelni, rankingów.

Umiejętności jest ważne, dlatego w rankingach świadomie wprowadziliśmy taką kategorię oceny. Na początku rankingu „Perspektyw”, a pierwszy opublikowaliśmy w 2000 roku, nie było mowy o umiędzynarodowieniu, więc takie kryterium nie miało sensu. Teraz je mamy i świadomie utrzymujemy dość wysoką, bo piętnastoprocentową wagę dla tej kategorii, choć zmieniamy od czasu do czasu sposób liczenia niektórych wskaźników. Rankingi międzynarodowe też biorą pod uwagę studentów międzynarodowych, bo to wskaźnik, który łatwo policzyć.

### Kilka lat temu, po latach starań, powołaliśmy NAWA, specjalną agencję od finansowania umiędzynarodowienia. Czy pokusi się pan o komentarz?

Gdy uruchomiliśmy w 2005 roku program „Study in Poland”, zakładaliśmy, że będzie trwał krótko, gdyż rząd

powołał agencję, która zajmie się umiędzynarodowieniem. W roku 2008 na Zgromadzeniu Plenarnym KRASP w Koszalinie wystąpiono z uchwałą w tej sprawie po raz pierwszy, pomagałem zresztą przygotować jej projekt. Przez wiele lat środowisko akademickie lobbowało za utworzeniem takiej instytucji. Chodziło o zdobycie pieniędzy na umiędzynarodowienie, a ponieważ państwo polskie nie umie dawać środków na konkretne cele i programy, to trzeba było ostentacyjnie stworzyć instytucję, bo to oznacza konkretną pozycję w budżecie państwa i pieniądze muszą się znaleźć. Wreszcie w 2017 roku powstała NAWA jako kolejna, obok NCBR i NCN, rządowa agencja grantowa, która dysponuje obecnie prawie dwustumilionowym budżetem. Teraz, po prawie pięciu latach działalności, zapewne należałoby ocenić efekty jej pracy, a przede wszystkim w szerokiej debacie zaprojektować jej przyszłość.

### Studentów z Rosji jest w Polsce niewielu. Co z nimi po zerwaniu stosunków akademickich z Rosją?

Na pewno nie można przenosić skutków wojny i związanych z nią działań na studentów z Rosji, którzy kształcą się w naszych uczelniach. Trzeba ich chronić, żeby wynieśli stąd możliwie dobre wspomnienia. Wykopywanie kolejnych rowów nie jest nam potrzebne!

Rozmawiał Piotr Kieraciński

# Study in POLAND

## UMIĘDZYNARODOWIENIE W CZASACH NIEPEWNOŚCI

Agresja Rosji na Ukrainę, a wcześniej pandemia COVID-19 zmieniły radykalnie warunki, w jakich odbywać się będzie umiędzynarodowienie polskiego szkolnictwa wyższego w najbliższych latach. Wymaga to krytycznej refleksji nad dotychczasowymi osiągnięciami i sposobami działania, spojrzenia na możliwe scenariusze przyszłości, a także wskazania działań, które pozwolą zminimalizować zagrożenia i wykorzystać zarysowane szanse.

Konferencje z cyklu „Studenci zagraniczni w Polsce” zawsze były miejscem debaty nad strategią internacjonalizacji polskiego szkolnictwa wyższego i nauki, ale ze względu na okoliczności tegoroczne spotkanie, które odbędzie się w dniach 31 marca – 1 kwietnia we Wrocławiu, będzie miało wagę wyjątkową. Dlatego do udziału w nim zapraszamy wszystkich, którym sprawy umiędzynarodowienia leżą na sercu. Wydarzenie skorelowanie jest z posiedzeniem Prezydium KRASP.

### XV Konferencja

## STUDENCI ZAGRANICZNI w Polsce 2022

Wrocław, 31 marca - 1 kwietnia

Konferencja organizowana jest w ramach programu „Study in Poland”, a jej gospodarzami są wspólnie Konferencja Rektorów Akademickich Szkół Polskich, Fundacja Edukacyjna „Perspektywy” oraz Uniwersytet Przyrodniczy we Wrocławiu jako uczelnia-gospodarz.

Wśród mówców znajdują się liderzy polskiego środowiska akademickiego, w tym 17 rektorów i prorektorów najlepszych polskich uczelni, a także szeroka reprezentacja dyrektorów i ekspertów działów współpracy międzynarodowej, rozwoju i promocji szkół wyższych oraz instytucji i organizacji zaangażowanych w umiędzynarodowienie.

Wśród wydarzeń towarzyszących: koncert „Solidarni z Ukrainą”, wręczenie Nagrody „Gwiazdy Umiędzynarodowienia 2022” i rozstrzygnięcie konkursu na najlepszego studenta zagranicznego w Polsce „In-terstudent 2022”.

Zapraszamy do Wrocławia, onsite lub online!

Wydarzenia towarzyszące:

- Koncert SOLIDARNI z UKRAINĄ
- Wręczenie Nagrody Gwiazdy Umiędzynarodowienia 2022
- Finał Konkursu INTERSTUDENT 2022

[studyinpoland.pl/konferencja2022](http://studyinpoland.pl/konferencja2022)

[studyinpoland.pl/konferencja2022](http://studyinpoland.pl/konferencja2022)

#### PATRONAT HONOROWY



#### ORGANIZATORZY



#### PARTNERZY I PATRONI



# „Grantów pragniemy jak aksebantów!”

## O hiperprojektyzacji nauki

Projektyzacja nauki jest zjawiskiem ambiwalentnym. Z jednej strony charakteryzująca ją orientacja krótkoterminowa oraz przewidywalność wyników stoją w opozycji do otwartości nauki, nieograniczonej kreatywności i wolności akademickiej w prowadzeniu badań. Z drugiej – praca projektowa pozytywnie wpływa na redystrybucję władzy w uniwersytecie, pozwala efektywnie wykorzystywać zasoby, a także realizować ważne działania naukowe.

Projektyzacja, polegająca na instytucjonalizacji języka, metod i praktyk projektowych na wszystkich płaszczyznach życia społecznego, jest zjawiskiem powszechnym. Jako pierwszy opisał je Christopher Midler, który w 1995 roku pokazał, jak praca projektowa wpływała na fundamentalne przemiany w motoryzacyjnej firmie Renault. Midler skupiał się wyłącznie na organizacyjnym wymiarze projektyzacji, ale szybko zrozumiano, że zjawisko to jest dużo bardziej złożone i dotyczy nie tylko organizacji, ale również ludzi w nich pracujących, jak i całych społeczeństw.

Projektyzacja obecna jest również w obszarze nauki, stanowiąc jeden z kluczowych elementów metaprzemian zachodzących w szkolnictwie wyższym na świecie. Nie jest zjawiskiem odrębnym, wpisuje się w międzynarodowe procesy reformowania systemów akademickich w kierunku neoliberalnego menedżeryzmu, których rezultatem są m.in. systemy ewaluacyjne, owskaźnikowanie pracy naukowej czy rankingi szkół wyższych. Zmiany te, jak nazywa je Ulrike Felt, polegają w uproszczeniu na odejściu od „logiki odkrycia” w kierunku „logiki dostarczenia”.

W obszarze nauki projektyzacja następuje m.in. poprzez grantowy sposób dystrybucji środków na badania, praktyki codziennego zarządzania projektami, zasady raportowania, a także kształcenie naukowców na specjalistycznych kursach z zarządzania projektami. Wśród konsekwencji projektyzacji dla nauki wymienić można m.in. formalizację procesów badawczych poprzez różnorodne formy kontraktów: prawnych, finansowych, technicznych. Projektyzacja może wpływać też na metody prowadzenia badań poprzez narzucenie formy projektu procesom badawczym, dotychczas nieograniczanych tego typu formą organizowania działań. Projekty zmieniają jednak nie tylko system realizacji badań, ale wpływają też na indywidualnych naukowców poprzez ciągle zaangażowanie ich w zdobywanie i realizację, a także uczynienie faktu w procedu-

rze konkursowej finansowania projektu, kierowania nim i jego zrealizowania jednym z głównych kryteriów oceny dorobku naukowego. Projektyzacja dotyczy wszystkich procesów obecnych w szkolnictwie wyższym, nie tylko badań naukowych, ale również dydaktyki, współpracy z otoczeniem czy procesów inwestycyjnych.

Projekty, jako forma realizacji działań, były niejako zawsze obecne w nauce, ale ich obecność była niewspółmierna do aktualnego stanu. Umasowienie pracy projektowej i zależność od tej formy finansowania działań naukowych nie było dotychczas szeroko kontestowane i przyjmowano ten stan jako oczywistą konsekwencję przemian zachodzących w obszarze nauki. Od niedawna coraz częściej pojawiają się jednak głosy krytyczne wobec projektyzacji nauki. Pomimo tego, iż wiemy już dużo o negatywnych skutkach projektyzacji, można zauważyć, że aktualny sposób kształtowania polityk publicznych i dystrybucji środków na naukę pogłębia procesy projektyzacyjne, kierując nas w stronę hiperprojektyzacji nauki.

### Czym charakteryzuje się projektyzacja nauki?

Projekt, jako forma organizacji działań, ma swoją jednoznacznie określoną formę. Wśród pryncypiów pracy projektowej wymienić możemy jej ograniczenie czasem, budżetem i określonymi zasobami. Planując projekt, zawsze w jakimś stopniu antycypujemy jego przyszłe wyniki, a cele i planowane rezultaty projektu określamy już przed jego rozpoczęciem. Nietrudno więc zauważyć, że projektowa forma działania musi powodować napięcia w obszarze wartości charakteryzujących naukę, takich jak wolność akademicka, kreatywność, gotowość do eksperymentowania i akceptacji niepewności rezultatów badań. Główne napięcie między projektową formą działania a odkryciami naukowymi leży więc na linii przewidywalność – eksperymentowanie.

Projektizacja wpływa na to, jak rozumiane są zarówno role, jak i zadania wykonywane przez pracowników. Zakłada się, że każdy rodzaj pracy – naukowej, badawczej, dydaktycznej – podzielony może zostać na fragmenty, a następnie zamieniony w ograniczony czasowo projekt o konkretnych, mierzalnych celach. System grantowy opiera się na tym, że badacz lub badaczka powinni określić a priori, czego dotyczyć będzie badanie, w jaki sposób będzie przebiegało, jakie zasoby będą potrzebne i kiedy dokładnie zostanie ukończone. Oczekiwaniem jest również swoista antycypacja wyników – aplikując o grant musimy pokazać, co będzie efektem badania. Charakterystyczną projekty orientacja krótkoterminowa oraz przewidywalność wyników stoją w opozycji do otwartości nauki, nieograniczonej kreatywności oraz wolności akademickiej w prowadzeniu badań. Specyficzny sposób postrzegania projektu i jego sukcesu prowadzić może do wybierania mniej ryzykownych, za to dobrze rokujących pod względem możliwości ich wykonania, projektów naukowych, utrzymanych w mainstreamowych kierunkach i podejściach badawczych. Otrzymanie grantu, w sytuacji gdy autor nie określi jasno, do jakiego rezultatu zmierza, jakimi środkami go osiągnie i jakie zasoby do tego wykorzysta, jest właściwie niemożliwe.

Innym ryzykiem, jakie niesie projektizacja, jest tzw. balkanizacja badań. Krótkoterminowość projektów, jeśli nie są one łączone w dłuższe programy badawcze, powoduje fragmentaryzację wyników i skupienie się wokół mikroproblemów, a także brak dialogu między dyscyplinami. Ponieważ system oceny kariery akademickiej w Polsce wymusza deklarację przynależności do danej dyscypliny naukowej, badaczki i badacze często, zamiast przygotowywać inter- i transdyscyplinarne projekty, wybierają takie, które w klarowny sposób wpiszą ich dokonania w obręb danej dyscypliny naukowej. Pogłębia to tworzenie naukowych „mikroplemion”, o których pisze Mats Alvesson.

Badania naukowe bez udziału środków pochodzących od zewnętrznych instytucji przyznających je na zasadach konkursowych są obecnie właściwie niemożliwe. To, jak uniwersytet czy instytut badawczy radzi sobie z pozyskiwaniem środków na projekty, jest kluczowym elementem ich oceny i percepcji ich „sukcesu” w środowisku naukowym. W wyniku powszechnej projektizacji nauka jest kondensowana do 2-3-letnich projektów, podczas których należy natychmiast wykazać się (poprzez publikacje) efektami. Oznacza to, że zazwyczaj nie pisze się książek, tylko publikuje artykuły. Wynika to stąd, że artykuły bardziej przystają do tempa pracy projektowej i oczekiwań organizacji finansujących badania. Szybka konsumpcja dokonań jednego projektu w postaci serii artykułów prowadzi do tego, że badaczka lub badacz uzyskują szanse na zdobycie kolejnych środków. Pomimo iż pisanie monografii daje większą przestrzeń na podzielenie się wynikami badań, głębszą, poszerzoną refleksję nad problemem, projektizacja sprawia, że liczą się głównie artykuły. Ważne odkrycia komunikowane są przez artykuły, bo liczy się to, kto szybciej opublikuje nowe odkrycia. W projektizowanej akademii publikowanie monografii nie jest tak pożądane, jak szybka i efektywna produkcja artykułów.

Projektizacja nauki nie byłaby możliwa bez rozbudowanego systemu dystrybucji środków w trybie konkursowym. Aby można było wdrażać projektowy sposób realizacji działań naukowych, zbudowano, również w Polsce, rozbudowany system, w którym operuje wielu aktorów. Na poziomie kreowania i wdrażania polityki publicznych funkcjonują organizacje odpowiadające za dystrybucję środków na projekty. Są to zarówno krajowe, jak i międzynarodowe instytucje finansujące w procedurach konkursowych, które dokonują wyboru projektów, a także niejednokrotnie ustalają priorytety i wskazują problemy badawcze, jakich rozwiązania oczekują.

Aby dostosować się do projektowego sposobu dystrybucji środków, w ostatnich latach wprowadzono znaczące zmiany organizacyjne w uczelniach oraz ośrodkach badawczych. W organizacjach tych pojawiły się nowe komórki, które pełnią rolę Biur Zarządzania Projektami (ang. PMO). Komórki te mają różnorodne funkcje, ale ich podstawową rolą jest bycie hubem wiedzy projektowej. Gromadzą one informacje na temat dostępnych konkursów, możliwości aplikowania o granty. Wiedzę tę upowszechniają wśród pracowników, a następnie pomagają w przygotowaniu wniosków projektowych od strony formalnej. Im większy współczynnik sukcesu w liczbie pozyskanych grantów, tym lepsza percepcja takiej jednostki. Gdy powstały owe komórki, w wielu organizacjach pojawił się opór ze strony naukowców i naukowczyń. Kadra naukowa zazwyczaj nie akceptowała nowej roli projektów i zmian w strukturze, w ramach których naukowcy musieli zacząć konsultować projekty z pracownikami administracyjnymi. Początkowa niechęć przerodziła się jednak w większości przypadków we współpracę. W niektórych jednostkach naukowych w Polsce rola biur wspierających pracę projektową jest tak istotna, że zarządzający nimi pracownicy administracyjni znajdują się niezwykle wysoko w strukturze organizacyjnej, pełniąc np. funkcję dyrektorskie, na równi z naukowcami. Obserwować również możemy, że coraz częściej instytucje w sposób świadomy budują portfel swoich projektów, dywersyfikując działania na projekty naukowe, dydaktyczne, wdrożeniowe czy też infrastrukturalne. Coraz częściej możemy jednak zauważyć, że działania komórek wspierających pracę projektową mają też charakter dyscyplinujący wobec naukowców. Zdarzają się uczelnie, w których biura projektów przygotowują raporty dotyczące każdego pracownika naukowego z informacją, w jakich konkursach mógł wystartować, w których wystartował, a w których nie, czy odniósł sukces w aplikacji o środki projektowe, czy też nie udało mu się pozyskać grantu. Zestawienia takie są następnie kierowane do dziekanów i kierowników jednostek z informacją na temat efektywności pozyskiwania środków przez danego pracownika. Niewątpliwie gromadzenie i analizowanie informacji na temat pozyskiwania środków projektowych z zewnętrznych źródeł jest kolejnym narzędziem kontroli i zaczyna być istotnym elementem oceny pracowników naukowych.

Projektizacji w obszarze nauki towarzyszy cały entourage działań symbolicznych, widocznych również w fizycznej przestrzeni uczelni i laboratoriów. Symboliczne są liczne tablice z informacjami o finansowaniu projektów. Organizacje grantodawcze szeroko promują swoje działania, informując o liczbie przyznanych grantów, ich wartości finansowej. Projekty promowane są w mediach społecznościowych, podczas specjalnych konferencji. Nierzadko obserwujemy symboliczne przekazanie dofinansowania na nowy projekt, w którym decydent wręcza władzom uczelni papierową atrapę czeku, a wszystko odbywa się przy udziale mediów i prasy.

Należy dodać, że projektizacja nauki (jeszcze) nie ma istotnego wpływu na treść badań podstawowych (w przypadku badań wdrożeniowych są one niejednokrotnie zamawiane). Nie można jednoznacznie stwierdzić, że w wyniku projektizacji polskiej nauki narzuca się naukowcom, CO mają badać. Jednocześnie badaczki i badacze, chcący zdobyć środki na prowadzenie badań, muszą dostosować się do tego, JAK mają to robić. Jedyną możliwą formą jest projekt.

## Projektizacja a kariery akademickie

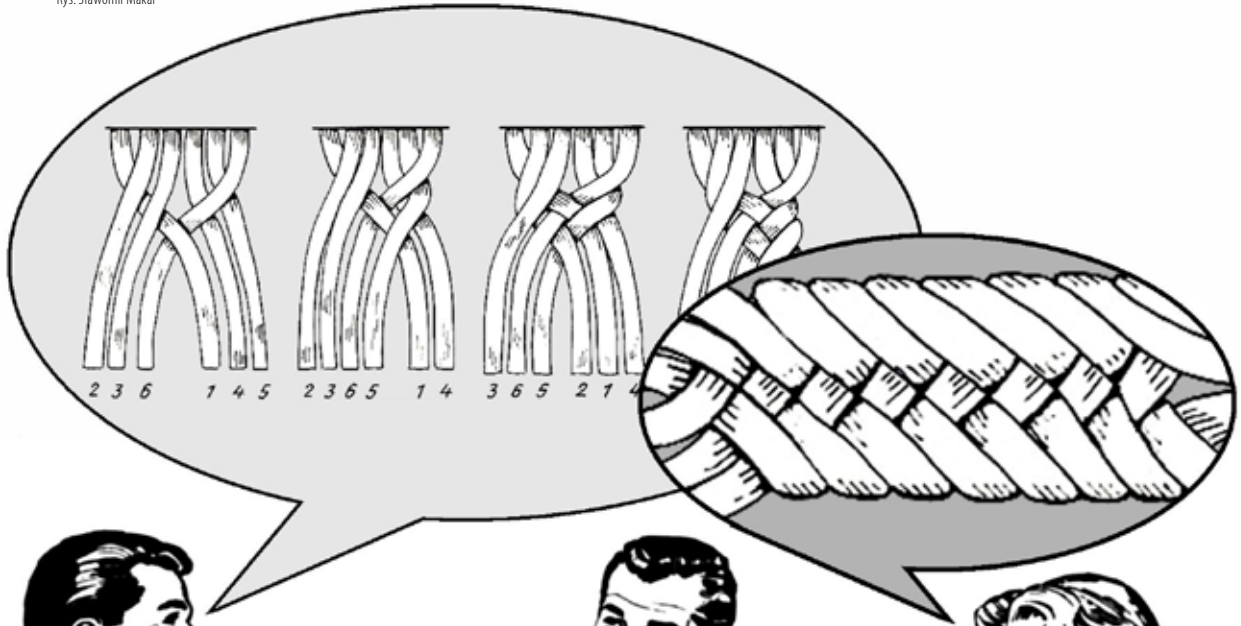
W cytowanym w tytule niniejszego artykułu fragmencie wiersza prof. Dorota Korwin-Piotrowska bardzo trafnie podsumowuje społeczną rolę grantów w rozwoju karier akademików. Przyjęło się powszechnie, że liczba i wielkość grantów

świadczą o potencjale danego naukowca. Projekty stały się swoistym narzędziem PR osobistego, zdobią CV naukowców niczym medale piersi generała.

Na różnych stopniach rozwoju kariery akademickiej projekty mają inne znaczenie. Projektowa gra rozpoczyna się bardzo wcześnie, już na etapie podjęcia prac nad doktoratem. System kształcenia doktorantów przybiera formę działań sformatowanych do projektu. Szkoły doktorskie zapewniają finansowanie projektu, który doktorant musi ukończyć w określonym czasie. Doktorant staje się kierownikiem swojego projektu. Oczekuje się, aby już na bardzo wczesnym etapie prac nad doktoratem miał jasność co do kształtu projektowanego bada-

nia oraz jego rezultatów. Marc Torka pokazuje, w jaki sposób przyszłe naukowczynie i naukowcy socjalizowani są do tego, aby w przyszłości jak najlepiej, najefektywniej brać udział w projektowej grze akademickiej. Socjalizacja ta polega nie tylko na tym, że program studiów zbudowany jest jak projekt. Doktoranci i doktorantki uczestniczą w licznych kursach, szkoleniach z zakresu planowania i zarządzania projektami. Przyjmuje się przede wszystkim, że realizacja doktoratu jako projektu jest najlepszą szkołą uczenia się fachu w nauce. Dlatego też młodych badaczy zachęca się do aplikacji o środki na projekty przeznaczone dla młodych naukowców. Następnie po obronie doktoratu postdocy rozpoczynają walkę o pracę w krótkotermino-

Rys. Sławomir Makal



wych projektach. Wiąże się to z tymczasowym zatrudnieniem i brakiem możliwości długofalowego planowania w obszarze życia prywatnego, często prekarnościami. Pojawiają się głosy, że wymuszona projektami mobilność ma negatywny wpływ na życie rodzinne lub wstrzymuje decyzje o założeniu rodziny. Na kolejnych etapach kariery akademickiej pozyskiwanie projektów również jest koniecznością. Obowiązujące przepisy jasno stanowią, że kierowanie oraz udział w projektach naukowych jest jednym z podstawowych kryteriów awansu.

Projektacja powiązana jest z innym zjawiskiem, hiperkonkurencją. Bruce Alberts, redaktor naczelny „Science”, w artykule napisanym wraz z innymi uznanymi badaczami zwraca uwagę, że hiperkonkurencja powoduje, iż ograniczana jest kreatywność, zniszczeniu ulega współpraca, a naukowcy nie podejmują się realizacji wysoce ryzykownych projektów, dających szansę na fundamentalne odkrycia, gdyż obawiają się braku możliwości otrzymania grantu na takie badania. Alberts pokazuje, że w naukach przyrodniczych i medycznych naukowcy poświęcają o wiele za dużo czasu na przygotowanie wniosków o granty, a za mało czasu na myślenie o nauce i prowadzenie eksperymentów. Ogromna konkurencja, skutkująca tym, że bardzo niewiele wniosków otrzymuje finansowanie, powoduje, że naukowcy myślą w kategoriach krótkoterminowych, ich horyzont myślenia o nauce ograniczają terminy nadchodzących naborów. Sprojektyzowany system dystrybucji środków na naukę powoduje, że do finansowania wybierane są te wnioski, które gwarantują osiągnięcie konkretnych rezultatów, a nie takie, które potencjalnie mogłyby być przełomowe, ale trudno w nich udowodnić, że odniosą sukces.

Można podejrzewać, że hiperkonkurencja negatywnie wpływa na relacje między naukowcami, nie pozwalając na budowę atmosfery zaufania, troski, współpracy. Gdy wszyscy muszą walczyć między sobą o środki, są zbyt skupieni na indywidualnym poszukiwaniu sukcesu, aby budować wspierające się zespoły badawcze, które przetrwają dłużej niż projekt. Odkrycia naukowe, jak wiemy, nie wydarzają się przypadkiem. Są zazwyczaj efektem wieloletniej pracy: myślenia, testowania, a także dialogu prowadzonego z innymi badaczami. Projekty ograniczają zazwyczaj czas na pogłębioną refleksję do minimum. Czas na spotkania naukowe, długie dyskusje, spokojne poszukiwanie rozwiązań staje się luksusem dla sprojektyzowanych naukowców.

Inne problemy związane z projektowym trybem pracy naukowej dotyczą dobrostanu naukowczyń i naukowców. Jak pokazują badania, naukowcy zaangażowani w pracę projektową pozostają często w stanie permanentnej gotowości i napięcia. Pracują poza godzinami pracy, również w dni wolne i doświadczają zaburzenia równowagi między pracą i życiem prywatnym. Zwraca również uwagę język, jakim posługują się naukowcy. Często wtrącają oni w swoich wypowiedziach sformułowania przynależne do „języka projektów”. Używają zwrotów charakterystycznych dla metodyk zarządzania projektem. Ich wypowiedzi pełne są zwrotów „beneficjenci”, „instytucja pośrednicząca”, „kwalifikowalność środków”, „koszty pośrednie i bezpośrednie” itp. Pokazuje to adaptację języka, którego nie można uznać za przynależny naukowcom. Pojawienie się projektów spowodowało konieczność nabycia nowych kompetencji, bez których trudne jest odnalezienie się na ścieżce awansu w sprojektyzowanej akademii.

### Ambiwalentny charakter zjawiska

Obserwując negatywne skutki projektacji i jej opresyjny charakter, nie można jednak zapomnieć, że projekty wnoszą też wiele dobrego. Po pierwsze, pozytywnym aspektem pracy projektowej w nauce jest demokratyzacja procesów badawczych.

W zespole projektowym najważniejszą osobą jest jego kierownik lub kierowniczką. Pozwala to młodszemu stażem naukowcom przejąć kontrolę nad realizowanym procesem badawczym. Projekt idzie w poprzek liniowych, hierarchicznych struktur uczelnianych i coraz częściej zdarza się, że zespołem, w skład którego wchodzi profesorowie, zarządza adiunkt. Zabrurza to feudalny, blokujący rozwój karier młodych naukowców, sposób prowadzenia badań. Projekty naukowe wpływają poniekąd na proces redystrybucji władzy na uniwersytecie. Wymuszają one bowiem pracę macierzową, czasem zaburzającą istniejącą hierarchię, kiedy podwładni przyjmują na czas trwania projektu rolę osób zarządzających. Po drugie, projektowa forma organizacji pracy daje szansę na lepsze zarządzanie zespołem, bardziej przewidywalny przebieg działań, wymusza lepsze planowanie pracy i zasobów, zapobiegając marnotrawieniu środków. Dzięki jasnemu podziałowi pracy i przypisaniu zadań pomaga w podejmowaniu decyzji o tym, które działania są potrzebne, które zbędne i za co dokładnie dany pracownik jest odpowiedzialny. Po trzecie, projekty są nieraz jedyną szansą na to, aby zdobyć środki na działania, na które uczelnia nie mogłaby sobie nigdy pozwolić w ramach posiadanego budżetu.

W jaki więc sposób możemy sprawić, by projektacja nauki nie miała tak destruktywnego charakteru? Odpowiedź na to pytanie nie jest prosta. Pojawiają się radykalne opinie zachęcające do całkowitego odejścia od grantowego systemu dystrybucji środków na naukę. Ten scenariusz, gdy popatrzeć racjonalnie na obecną sytuację, wydaje się jednak utopijny. Nie zmienia to faktu, że konieczne są zmiany, które zapobiegą dalszej patologizacji działań projektowych w nauce.

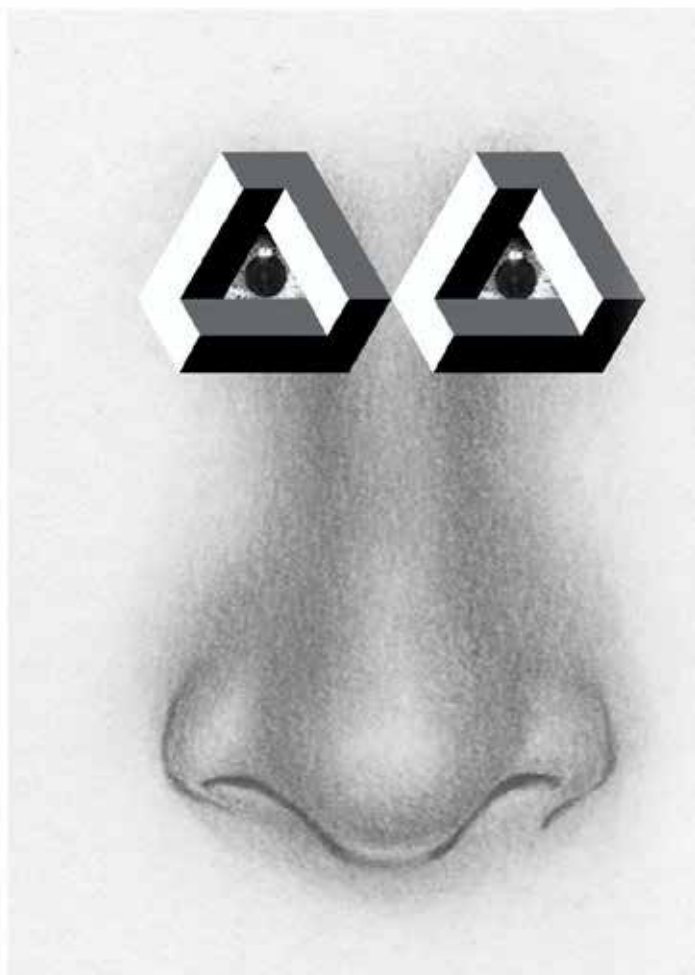
Myślenie o pracy naukowej nie powinno być przede wszystkim nakierowane na „myślenie projektami”. Zupełnie inną jakość oferuje perspektywa programowa zakładająca długofalowość badań, brak ograniczenia konkretnym terminem realizacji, dająca większą przestrzeń na twórcze myślenie i oddech naukowej wolności. Badacze powinni być zachęceni (również poprzez system finansowania nauki) do budowania programów badawczych, a nie dzielenia naukowego życia na krótkie odcinki „od projektu do projektu”. Ważne jest również stworzenie mechanizmów zachęcających do podejmowania ryzyka, wchodzenia w zupełnie nowe obszary, odwagi w podejmowaniu badań, które wcale nie gwarantują osiągnięcia z góry założonych celów. Zarówno agencje finansujące naukę, jak i uniwersytety powinny tworzyć warunki do realizacji takich działań. Wspierane powinny być nie tylko zespoły tymczasowe, tworzone na rzecz projektów, ale zespoły katedralne, które zapewniają kontynuację badań w dłuższym horyzoncie czasowym. Niemniej ważnym elementem, choć powszechnie ignorowanym w neoliberalnym uniwersytecie, jest dbanie o dobrostan pracowników. Już na wczesnym etapie kariery naukowej młodzi badacze, oprócz uczenia się harmonogramowania i budżetowania projektów, powinni rozumieć, z jakimi zagrożeniami wiąże się praca projektowa i jak unikać pułapek projektacji. Higiena pracy projektowej – zwracanie uwagi na troskę o zachowanie równowagi praca – życie prywatne, umiejętności radzenia sobie ze stresogennym charakterem pracy w szybkim i angażującym środowisku projektu – może długofalowo okazać się dla naukowczyń i naukowców bardziej istotna niż umiejętność projektowania wykresów Gantta.

*Dr Beata Jalocho zajmuje się badaniami nad projektami i projektacją oraz badaniami w działaniu. Pracowniczką naukową Uniwersytetu Jagiellońskiego, kierowniczką i wykonawczynią w krajowych i międzynarodowych projektach badawczych. Stypendystką programu dla wybitnych młodych naukowców MEIN. Autorka monografii na temat projektacji sektora publicznego w Polsce.*

# Blaski i cienie projektyzacji uniwersytetów

Uniwersytety powinny stanowić ośrodki rozwoju nowej wiedzy o świecie, która mogłaby wspierać rozwój społeczeństwa i gospodarki. Można podjąć refleksję, czy postępująca projektyzacja uniwersytetów pozwala im przygotować się do coraz lepszego pełnienia tej roli?

W 2020 r., jak powszechnie się uznaje, minęło 25 lat od zaistnienia w terminologii zarządzania pojęcia „projektyzacja”. Wówczas pojawiła się słynna praca Ch. Midler poświęcona temu zjawisku w firmie Renault, która rozpoczęła „zawrotną” karierę projectification. Ostatnie lata to również dynamiczny rozwój zainteresowania naukowego zagadnieniem projektyzacji. Szczególnie w ostatnich 5-7 latach pojawiło się wiele publikacji, wyników badań, raportów. Z perspektywy praktyki gospodarczej projektyzacja stale się nasila i nic nie wskazuje na zatrzymanie lub choćby spowolnienie tej tendencji. W efekcie obserwujemy dziś powszechność „pracy w projekcie”, „kierowania projektem”, „bycia zaangażowanym w projekty” we wszystkich dziedzinach życia gospodarczego. Projektyzacja dotarła również na uniwersytety i jednostki badawcze, trwale zmieniając kulturę pracy, relacje międzyludzkie, sposoby zarządzania zespołami i całymi organizacjami oraz profile kompetencji pracowników naukowych. Można zatem zaryzykować stwierdzenie, że tak znaczne zmiany wpłynęły również na rolę uniwersytetów w gospodarce i społeczeństwie. Beata Jałocha i Michał Zawadzki w artykule *Projektyzacja uniwersytetu. Podejście krytyczne* (w: B. Nierenberg, R. Batko, Ł. Sułkowski (red.), *Zarządzanie humanistyczne*, 2015) sformułowali niezwykle istotne pytania: Czy finansowanie badań naukowych z grantów to szansa na rozwój nauki i grantobiorców, czy może kaganiec skazujący na brak swobody i odtworczość opakowaną w nośne hasła innowacyjności, kreatywności i postępu? Czy kształcenie podporządkowane projektowi zawodowemu to szansa na rozwój dydaktyków, studentów i całego społeczeństwa, czy fikcja prowadząca do rytualizacji pozorów wykształcenia? Pytania te pozostają aktualne, warto zatem



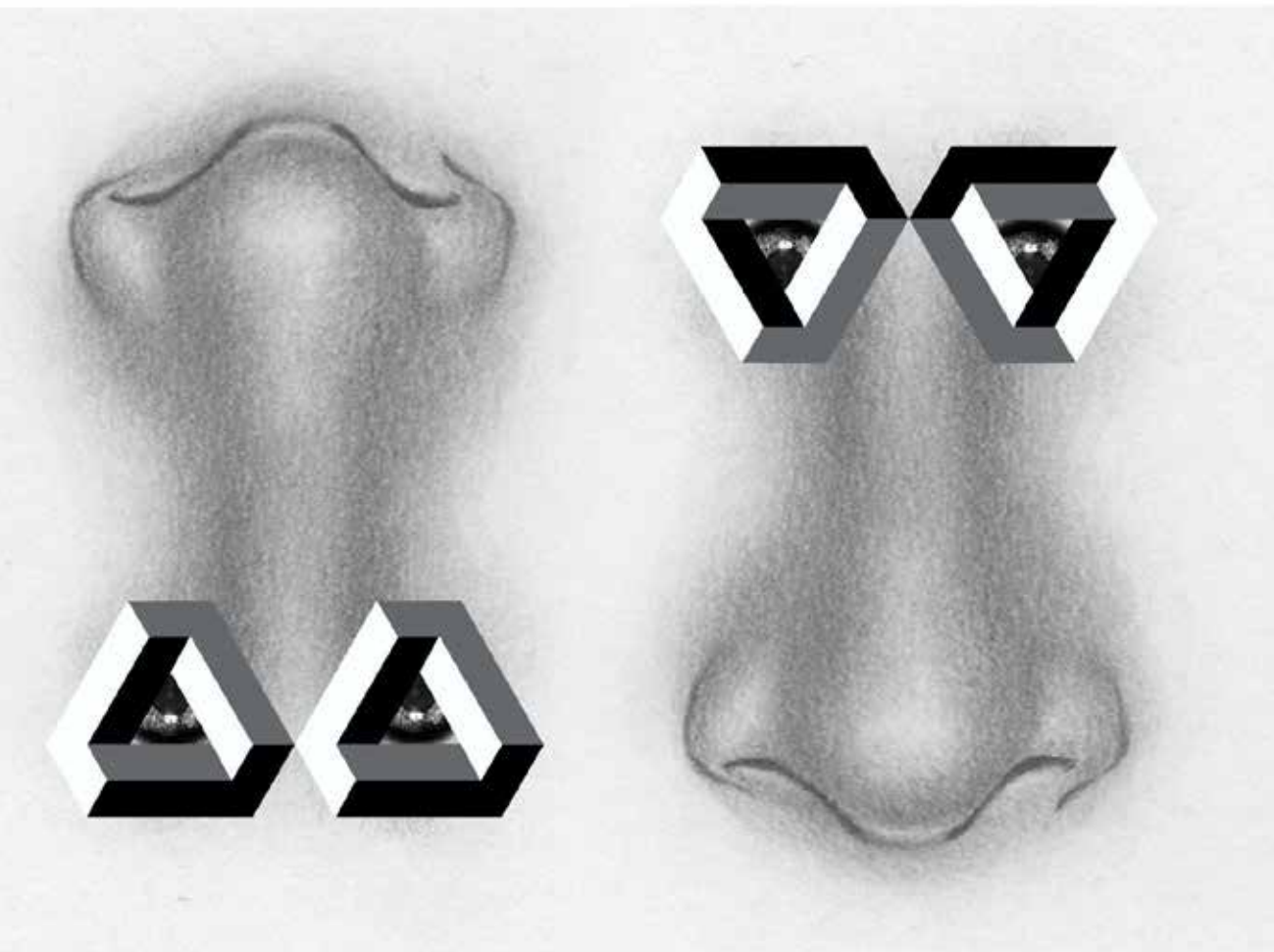
przyrzeć się obecnym tendencjom i podjąć refleksję nad przyszłością, która czeka uniwersytety w większości krajów świata.

Posługując się klasyfikacją zaproponowaną przez A. Kuura, postanowiłem przyrzeć się projektizacji uniwersytetów w trzech wymiarach – personalnym, instytucjonalnym i ogólnogospodarczym.

### Anonimowość i tymczasowość

Projektizacja w ujęciu personalnym bez cienia wątpliwości burzy (gdyż chyba jeszcze nie zburzyła całkowicie) utrwalaony przez wieki obraz naukowca poświęcającego swój czas na różne zajęcia intelektualne – podejmowane najczęściej w pojedynkę – które mają doprowadzić do wynalazku, nowej myśli czy innego odkrycia. Obecnie naukowcy postrzegani są jako elementy składowe wielkich mechanizmów, jakimi są zespoły badawcze, korzystające z niezwykle rozbudowanej, zaawansowanej aparatury lub (w przypadku np. badań społecznych) prowadzące obserwacje w wielu zakątkach świata równoległe. Prowadzi to zatem niechybnie do swego rodzaju anonimowości czy raczej bezosobowości badań. Niezwykle trudno o wskazanie „wielkich” nazwisk w wielu dziedzinach nauki. Drugi ważny aspekt projektizacji na poziomie personalnym to tymczasowość. Projekty z definicji są ograniczone w czasie, co rodzi naturalne pytania: „co ze mną będzie po skończonym

projekcie?”, „jak zdobyć kolejny projekt?”. Podpierając się nieco badaniami z zakresu psychologii, można zaryzykować hipotezę, że projektizacja silnie negatywnie wpływa na twórczość, kreatywność, innowacyjność – postawy wręcz niezbędne przy pracy naukowej. Nie skupiamy się na szukaniu niekonwencjonalnych rozwiązań, ponieważ one wiążą się z ryzykiem. Znacznie więcej energii poświęcamy na zapewnienie sobie podstawowych warunków do funkcjonowania. Czy jest to środowisko, w którym można oczekiwać przełomowych myśli? Wątpię. Ostatnie zagadnienie, które dostrzegam w kontekście projektizacji w ujęciu personalnym, to problem motywacji. Praca w tymczasowym zespole projektowym może działać stymulująco na motywację – mamy przecież sytuację z jasno (przynajmniej w teorii) określonym celem, ramami czasowymi i zasobowymi. Jest więc wyraźnie nakreślony rezultat końcowy. Czy jednak nie oznacza to ryzyka zaniedbywania „nieprojektowych” obszarów działalności pracowników? Przecież praca na uczelni to poza badaniami również dydaktyka i działalność organizacyjna. Osobną kwestią jest to, w jakiej skali projektizacja dotyczy pracowników naukowych, a w jakiej administracyjnych. Obecnie w wielu środowiskach można zaobserwować znaczny przyrost zadań administracyjnych u pracowników naukowych, obciążanych zadaniami o tym charakterze w związku z realizacją projektów.



Rys. Sławomir Makal

## Ryzyko wpisywania się w oczekiwania sponsorów

Obserwacja zjawiska projektyzacji z poziomu drugiego, czyli instytucjonalnego, prowadzi do wniosków w sposób naturalny powiązanych z projektyzacją personalną. Powszechnie uważa się, że zarządzanie organizacjami, w których kluczowym zasobem są pracownicy o wysokim poziomie wiedzy, należy do bardzo trudnych. Często „tradycyjne” formy pełnienia funkcji zarządczych (wyznaczenie celów, planowanie, organizowanie, kontrola i motywacja) nie są skuteczne w tego typu środowiskach. Już na początku lat dziewięćdziesiątych XX wieku upatrywano w podejściu projektowym szansę na zwiększenie efektywności funkcjonowania uniwersytetów i jednostek badawczych (pisali o tym m.in. Kim Clark i Steven Wheelwright w 1992 r.). Podkreślano przede wszystkim prosty fakt, że rozwiązania z zakresu zarządzania projektami są uniwersalne – sprawdzają się w każdej dziedzinie działalności ludzkiej, tworzą jasne podstawy formułowania celów i ich egzekwowania. Można zatem powiedzieć, że jest to bardzo dobry mechanizm do przekształcania środków w efekty. Jak jednak pokazuje praktyka, są również „ciemne” strony podejścia projektowego (cudzość jest tu celowy, bowiem trudno jednoznacznie ocenić charakter danego zjawiska). To, czego w największym stopniu można się obawiać, to zmiana relacji między uniwersytetem, a jego sponsorami. W obliczu projektyzacji istnieje ryzyko naturalnego dążenia do wpisywania się w oczekiwania sponsorów. Stanowi to bowiem podstawę sukcesu mierzzonego pozyskaniem środków. To sponsor, jako dysponent zasobów, definiuje swoje wymagania, cele, kierunki. Jeśli uniwersytety, w obliczu projektyzacji, będą pozyskiwać coraz większą część środków na sfinansowanie swojej działalności właśnie z tego typu projektów, może ulegać zmniejszeniu rola kierownictwa uczelni w zarządzaniu strategicznym na rzecz sponsora, zarówno krajowego, jak i zagranicznego. Wyznaczanie wątków badawczych, określanie kierunków kształcenia, formułowanie roli uniwersytetu w dyskusji publicznej – wszystko to może zostać w niezwykle wysokim stopniu podporządkowane grantodawcom, projektodawcom itp. Trudno dziś ocenić, czy zjawisko to wystąpi (oraz w jakim stopniu stanowiło problem już wcześniej) i czy można je ocenić jednoznacznie negatywnie. Niemniej stanowi potencjalnie istotne zakłócenie procesów kierowniczych w uniwersytetach. Idealną sytuacją byłaby pełna zgodność interesów, zamierzeń sponsorów i kierownictwa uniwersytetów. Postulat ten wydaje się jednak nadto optymistyczny.

Ostatnim zjawiskiem powiązanim z projektyzacją, które można zaobserwować w wielu przedsiębiorstwach i instytucjach, w tym również na uniwersytetach, jest tworzenie i pogłębianie podziałów między organizacją projektową i nieprojektową. Dochodzi do wyraźnego rozróżnienia między projektem a procesami/operacjami powtarzalnymi, często o charakterze pomocniczym. W skrajnych przypadkach osoby zaangażowane w projekty czują swego rodzaju wyższość nad „tymi nie z projektów”. Wielokrotnie byłem świadkiem tego typu zachowań, w sposób oczywisty prowadzą one do trwałych konfliktów, które po wielu latach często są niemożliwe do rozwiązania.

## Kultura korporacyjna na uniwersytecie

Ostatnia perspektywa projektyzacji to gospodarka. Zasadne byłoby zatem fundamentalne pytanie o rolę uniwersytetów we współczesnym społeczeństwie i rynku. Nie rozwijając nadmiernie tego wątku, można ostrożnie stwierdzić, że

uniwersytety powinny stanowić ośrodki rozwoju nowej wiedzy o świecie, która mogłaby wspierać rozwój społeczeństwa i gospodarki. Można podjąć refleksję, czy postępująca projektyzacja uniwersytetów pozwala im przygotować się do coraz lepszego pełnienia tej roli? Czy możemy mieć pewność, że zjawiska opisane wcześniej, dotyczące zmian w sposobie pracy na uniwersytetach, rzeczywiście prowadzą do wzmocnienia ich roli we wspieraniu rozwoju społeczeństw? Jeśli spojrzymy na tendencje, które często opisywane są jako „high-speed society”, przejawiające się jako wzrost tempa życia, zmian, komunikacji i dostępu do informacji, projektyzacja uniwersytetów może pomóc im przebudować modele działania na bardziej elastyczne, zdolne do reagowania na dynamiczne zmiany i szybszego transferu wiedzy z ośrodków akademickich do społeczeństwa. Oczywiście wątpliwości budzi faktyczna zdolność do tak radykalnych zmian sięgających wręcz DNA tych instytucji oraz czy w ogóle jest to pożądany kierunek. Podsumowując, moje podstawowe obawy związane z projektyzacją na tym poziomie dotyczą trwałej utraty roli/miejsca/znaczenia uniwersytetów w życiu społeczeństwa. Można się spodziewać, że będą ją przejmować organizacje znacznie lepiej przygotowane do „życia” w projektach i z projektów. Może zatem budowanie kultury „korporacyjnej”, której jednym z przejawów jest projektyzacja, niekoniecznie jest właściwym kierunkiem zmian?

W dyskusji o projektyzacji uniwersytetów wyróżniłbym dwa kierunki zmian, nie zawsze idące w parze. Pierwszy z nich to wzrost znaczenia pracy projektowej, wynikający z potrzeby organizacji zespołów badawczych, przestrzegania ram czasowych i zasobowych, rozliczania postępów prac. W wielu aspektach oceniam to zjawisko pozytywnie – prowadzi do wzrostu efektywności zespołów, poprawy jakości prowadzonych prac, mobilizacji i motywacji. Drugi kierunek, określan przez niektórych autorów jako Project Management – ification, oznacza rozbudowanie procedur i metodyk zarządzania projektami na uniwersytetach. W tym przypadku istnieje znacznie więcej zagrożeń i potencjalnych negatywnych efektów niż w pierwszym opisanym zjawisku. Możliwe jest bowiem nadmierne formalizowanie poszczególnych faz i procesów decyzyjnych, prowadzące do przytłoczenia pracą administracyjną, ale również i skłaniające do „manipulacji” opisami np. spodziewanych efektów prac (lub spełnieniem czynników pobocznych), co ma prowadzić do zwiększenia szans na przejście do kolejnego etapu lub przyznanie środków. To bardzo niebezpieczne zjawisko – nie sprzyja rozwojowi twórczego myślenia i dyskusji naukowej.

Czy zatem projektyzacja uniwersytetów to zjawisko jednoznacznie niekorzystne? Z pewnością nie, z różnych względów stanowi nieodłączny element krajobrazu pracy na uniwersytetach. Nie można też ignorować oczywistych korzyści wynikających z uporządkowanego podejścia do realizacji złożonych przedsięwzięć. Władze uniwersytetów oraz regulatorzy działalności naukowej powinni jednak mieć na uwadze ryzyka związane z nadmiernym „uprojektowaniem” badań i nauki. Jak zwykle zatem kluczem do sukcesu jest zdrowy rozsądek i czerpanie z dorobku zarządzania projektami w sposób adekwatny do potrzeb i specyfiki świata nauki.

*Dr hab. Mateusz Juchniewicz, profesor SGH, Katedra Zarządzania Projektami,  
Instytut Zarządzania, Kolegium Zarządzania i Finansów  
Szkoły Głównej Handlowej w Warszawie*

Wojciech Czakon

# Szybka nauka, makdonaldyzacja i drogi na skróty

Ujemne efekty szybkiej nauki są pod wieloma względami podobne do ujemnych efektów fast-foodów. Pierwszym z nich jest poszukiwanie ilości, a warunkiem trafienia do szerokiego grona odbiorców jest trafianie w przeciętne gusta. Słowem, wyrafinowanie, komplikacja, zaawansowane modele i nowe koncepcje mają niższe szanse trafić do szerokiego grona odbiorców (recenzentów, wydawców i czytelników).

Badania naukowe to zajęcie długotrwałe, trudne, związane z wielokrotnie licznymi porażkami niż sukcesami, kosztowne zarówno pod względem materialnym, jak i emocjonalnym. Ogłaszanie sukcesów, tj. publikowanie uzyskanych wyników, również jest procesem o podobnej charakterystyce. Reguła double-blind peer-review, wielokrotne tury poprawek manuskryptów, zwłaszcza w naukach społecznych, prowadzą do wydłużania się cyklu publikacyjnego do wielu miesięcy, a nie rzadko i lat. A może nie trzeba tak długo czekać, może da się ten proces przyspieszyć?

Właśnie to pytanie doprowadziło do powstania fast-food w gastronomii. Historia McDonalds, globalnej ikony szybkiego jedzenia, przedstawiona m.in. w filmie *The Founder*, ujawnia podstawową zasadę tego systemu: otóż podanie posiłku powinno zająć nie 20-30 minut, jak w tradycyjnej restauracji, ale dokładnie 29 sekund. Aby to było możliwe, niezbędne okazało się sięgnięcie po wiedzę z zakresu nauk o zarządzaniu: standaryzacja menu, specjalizacja stanowisk pracy, harmonogramowanie, projektowanie przepływu procesu produkcji, likwidacja wszystkich kosztownych składników i produktów, wykorzystanie efektu skali przy zaopatrzeniu, rozbudowana logistyka i agresywny marketing. Bardzo niewiele miejsc na świecie pozbawionych jest obecności McDonalda, a nawet jeśli tej firmy nie ma w jakimś miejscu, to system funkcjonowania znajduje wielu lokalnych naśladowców.

Słowo fast-food bywa różnie tłumaczone na język polski, jako „szybkie jedzenie”, ale też „śmieciowe jedzenie”. Jest zjawiskiem gastronomicznym, gospodarczym, organizacyjnym i kulturowym. Ma tyłu zwolenników, ilu zażartych przeciwników. Wprawdzie osiąga wielką popularność, ale dzieje się to kosztem zjawisk negatywnych, budzących gorącą debatę publiczną, m.in.

o: ujemnych skutkach zdrowotnych ze względu na wysoki stopień przetworzenia; zanieczyszczeniu środowiska przez dostawców masowo produkujących wołowinę, frytki, napoje; zanieczyszczeniu środowiska powszechnym użyciem plastiku; zanieczyszczeniu miast powszechnym śmieciem wokół punktów sprzedaży; wykształcaniu szkodliwych nawyków żywieniowych zwłaszcza wśród młodej klienteli. Szybkość fast-food kojarzy się z taniością, a nie z jakością czy pożytkiem publicznym.

Pożytki naukowe, społeczne, ekonomiczne i emocjonalne szybkiej nauki, analogicznie do szybkiego jedzenia, powinny być znaczące. Chyba że szybka nauka to droga na skróty, wówczas zamiast pożytków spodziewać się należy raczej znaczących strat. Tymczasem w instytucjach naukowych wielu badaczy, wiele zespołów czy całych ośrodków ochoczo wdraża makdonaldyzację. To pojęcie zawdzięczamy Ritzerowi (*The McDonaldization thesis: Is expansion inevitable?*, „International sociology”, 11(3)1996), który krytycznie odnosił się do ślepego pędu ku efektywności, policzalności, przewidywalności i kontroli, towarzyszących makdonaldyzacji społeczeństwa. Do nauki również przenika makdonaldyzacja, towarzyszy presji instytucjonalnej ewaluacji jednostek, o której pisałem w tekście *Krótkowzroczność badacza* (FA 4/2021). Zjawisko fast science jest tak powszechne, że zasługuje na analizę. Budzi niepokój i krytykę, a manifest „slow science”, zgłoszony w prestiżowym „Nature” w roku 2006, jest coraz bardziej aktualnym sprzeciwem wobec szybkiej nauki, wymuszanej instytucjonalnie, ale też chętnie podejmowanej przez pracowników uczelni (Leite, L., & Diele-Viegas, L. M. (2021). *Juggling slow and fast science*. „Nature Human Behaviour”, 5(4)). Tym bardziej że lapidarne prawo Kopernika-Greshama, mówiące, iż „pieniądz gorszy wypiera pieniądź lepszy”, ma ponurą sprawdzalność. Obawiać się więc

można, że całą przestrzeń aktywności naukowej wypełni fast-science, spychając tradycyjne standardy w niebyt.

### Wzorce fast science

Szybka nauka podporządkowana jest kryterium czasu, a nastawiona wyłącznie na maksymalizację liczby publikacji w jednostce czasu. Typowymi jednostkami czasu są: rok, bowiem w takim cyklu przyznawane są zwykle nagrody wydawnicze czy uczelniane; terminy rozliczenia grantów badawczych; ewentualnie okres czteroletni, bowiem pokrywa się z okresem ewaluacji. Dla początkujących naukowców jednostkę czasu wyznacza umowa o pracę na czas określony, czyli popularny post-doc (2-5 lat), lub okres studiów doktoranckich (3-4 lat). Typowym efektem szybkiej nauki są publikacje w czasopiśmie uznawanych w danym środowisku za liczące się. Uroda określenia „liczące się” sprowadza się do policzalności wyrażonej punktami (MEiN), gwiazdkami (ABS), liczbą (IF czy citescore). Innymi słowy, szybka nauka porusza się wyłącznie w instytucjonalnie sparametryzowanej przestrzeni publikacyjnej, ignorując całkowicie odbiorcę, tj. czytelnika. Celem jest bowiem publikować dużo, a droga do tego celu to publikować szybko.

Tradycyjnie nauka to proces wyrażony sekwencją etapów: projektowanie badania, realizacja badania (gromadzenie i analiza danych), interpretacja wyników, redagowanie artykułu/rozdziału/monografii, złożenie do czasopisma/wydawcy, uzyskanie recenzji, poprawki (wielokrotne), akceptacja i publika-

cja. Aby skrócić czas do publikacji, szybka nauka podejmuje typowe wyzwania optymalizacyjne, tj. polegające na poszukiwaniu takich rozwiązań, które zminimalizują czas publikacji. Uwagę obserwatorów przyciągają takie szeroko stosowane rozwiązania jak: ograniczanie czasu trwania każdego etapu, pomijanie niektórych etapów, równoległa realizacja niektórych z nich, równoległa realizacja wielu projektów badawczych. Najbardziej spektakularne efekty daje kombinacja tych wzorców zachowań.

Optymalizując tradycyjną naukę, fast-science unika wszystkiego, co długo trwa: konceptualizacji, pogłębionych badań literaturowych, projektowania badania, gromadzenia danych, redagowania, wielokrotnych iteracji recenzja – poprawki, czasopism z długim czasem oczekiwania na recenzje i decyzje. Skuteczny wzorzec szybkiej nauki polega na tworzeniu zespołów czy dołączaniu do zespołów dysponujących gotowym projektem badania, ewentualnie bazą danych, ewentualnie draftem publikacji. Ten wzorzec działania jest korzystny, pod warunkiem że przyspieszenia pozostałych etapów pracy. Standaryzacja tekstów, kompetencji badacza, technik analitycznych – te wszystkie standaryzacje sprzyjają pierwszemu wzorcowi szybkiej nauki. Idealnym przejawem tego wzorca jest „lego-nauka”, w której ograniczoną liczbę standardowych klocków łączyć można w nieskończenie wiele zestawów. W wymiarze organizacyjnym oznacza to specjalizację pracowników i zespołów, szkolenie się w zakresie wybranych kompe-

Rys. Sławomir Makal



I'm lovin' it too<sup>®</sup>

tencji oraz wybór liderów zespołów. Słowem, makdonaldyzacja nauki w wymiarze organizacyjnym.

Drugi wzorzec szybkiej nauki to poszukiwanie tych wydawnictw, które realizują szybki cykl publikacyjny, a unikanie wszystkich tych, które realizują długi cykl publikacyjny. Idealną postacią tego wzorca jest „nauka instant” – złożenie tekstu prowadzi do natychmiastowej i pewnej publikacji. W tradycyjnej nauce długość cyklu publikacyjnego zależy w największym stopniu od procesu recenzji: im dłuższy czas oczekiwania na recenzję i im większa liczba iteracji recenzja – poprawki, tym dłuższy cykl publikacyjny. Mimo donośnej krytyki, ironicznie uosabianej negatywną postacią „reviewer 2”, model peer-review znacząco poprawia jakość publikacji, ożywczo wpływa na dyskusję naukową i przyczynia się do rozwoju dyscypliny. Tymczasem pojawiło się wiele „drapieżnych” czasopism, które oferują bardzo szybki, jednokrotny proces recenzji, liczony w dniach. Trudno uwierzyć, że czasopisma te są w stanie zgromadzić i zmotywować tysiące kompetentnych recenzentów, podczas gdy tradycyjne wydawnictwa tego wcale nie potrafią. Wskazuje to raczej na organizacyjne różnice, w których standard recenzji znaczy co innego dla czasopism szybko publikujących, a co innego dla tradycyjnych. Słowem, szybka nauka to makdonaldyzacja w wymiarze standardów jakości.

Trzeci wzorzec szybkiej nauki to udział w wielu różnych zespołach badawczych, realizujących jednocześnie różne projekty. Pozwala to równolegle prowadzić proces badawczy, zamiast przechodzić do kolejnego badania dopiero po zakończeniu poprzedniego. Wymaga to zwykle skupienia się na pojedynczych etapach procesu badawczego, a nie na całości. Wymogiem jest specjalizacja i standaryzacja, ale także zdolność współdziałania w większej skali, międzyorganizacyjnej. Zaletą tego wzorca działań jest rozproszenie ryzyka odrzucenia tekstów, czyli aktywne zarządzanie ryzykiem publikacyjnym. Idealnym przejawem tego wzorca fast-science jest „nauka nomadów”, nieprzwiązanych do żadnego tematu, programu czy zespołu, a jedynie poszukujących miejsc do koczowania. Słowem, makdonaldyzacja w wymiarze sieciowym, bowiem razem osiągamy znacznie więcej niż osobno.

Czwarty wzorzec polega na tym, aby podejmować się badania wyłącznie tematów „modnych”, tj. takich, na które istnieje pilne zapotrzebowanie, bowiem przekłada się ono na skłonność redaktorów czasopism do szybkiego procedowania artykułów, a dalej szybkiego znajdowania im miejsca w wydaniach online czy tradycyjnych czasopism. Podobnie jak na rynku dóbr konsumpcyjnych, w nauce istnieją mody, charakteryzujące się szybkim przyrostem zainteresowania, wyrażonym liczbą publikacji, ale także nietrwałością. Szybka gastronomia ma swoje mody, które to mody trzeba maksymalnie wykorzystać. Idealna postać tego wzorca fast-science to „nauka-ścianka”, polegająca – analogicznie do świata celebrytów – na obecności w przestrzeni medialnej wyrażonej pozowaniem do fotografii na tzw. ściankach. Słowem, makdonaldyzacja w wymiarze mody trwa krótko, dlatego należy maksymalnie wykorzystać przejściową modę, zanim samoistnie wygaśnie, a następnie przejść do kolejnej.

Piąty wzorzec polega na unikaniu ryzykownych, kosztownych i długotrwałych procesów badawczych, ponieważ absorbują one znaczne zasoby oraz koncentrują ryzyko w pojedynczym, nierozpoznanym kierunku aktywności naukowej. Jak podpowiada ekonomia behawioralna, awersja do ryzyka jest naturalną skłonnością człowieka przy podejmowaniu decyzji o alokacji zasobów. Kieruje to uwagę szybkiej nauki na łatwo dostępne dane, gotowe bazy danych, meta-analizy, analizowane pod kątem znanych kategorii i solidnie ugruntowanych w literaturze hipotez. Idealna postać tego wzorca fast-science to „zbie-

raństwo”, polegające na gromadzeniu łatwo dostępnych owoców. Ryzyka procesu badawczego i publikacyjnego są w ten sposób znacząco ograniczone. Makdonaldyzacja oznacza w tym przypadku niechęć do eksperymentowania, skupienie się na znanych smakach i pozycjach jadłospisu, a także trwałość w długim okresie.

## Dwa oblicza makdonaldyzacji

Dodatnie skutki szybkiej nauki są widoczne na wszystkich poziomach analizy: pojedynczego badacza, zespołu, jednostki, a nawet kraju. Pojedynczy badacz, wykazując liczne publikacje, uzyskuje mierzalny, ilościowy poklask wszędzie tam, gdzie wyłącznie naukometyczna ocena ma znaczenie. Zespół uzyskuje prestiż i atrakcyjność, ponieważ staje się miejscem intensywnej aktywności publikacyjnej, daje obietnicę łatwiejszego publikowania. Jednostka awansuje w rankingach i ewaluacjach, otrzymuje nagrody wydawnictw, jej widoczność w określonym środowisku rośnie. W skali kraju szybka nauka daje szybkie awanse w rankingach, budując wiarygodność reform podejmowanych przez polityków w szybkim terminie. Szybka nauka to nie tylko szybkie publikacje, to także zdolność mobilizacji wielkich zasobów i koncentracji wysiłku na wąskim problemie, dzięki standaryzacji i specjalizacji. Pokazała to dokładnie mobilizacja środowisk farmaceutycznych i medycznych przy okazji prac nad szczepionką na COVID-19. Pokazują to także przełomowe postępy prac nad sztuczną inteligencją, technologiami kosmicznymi czy półprzewodnikami. Szybka nauka otwiera także rynek pracy przed talentami z całego świata, bo makdonaldyzacja to także standardy profesjonalne, wzajemne uznanie kompetencji, szybka weryfikacja umiejętności czy szybka rotacja na stanowiskach pracy.

Urok makdonaldyzacji wzmacniany jest agresywnym marketingiem, widocznością i obecnością tej korporacji w dziesiątkach tysięcy lokalizacji. Gdyby jednak bliżej przyjrzeć się tej firmie, to okaże się, że odnotowywała wzrost przez ponad 50 lat, aż do 2013 roku. Później ten wzrost zatrzymał się ze względu na nasyconie rynku, dojrzałość modelu biznesu, a także zmianę preferencji klientów. Społeczne zainteresowanie przyciągnęły filmy i reportaże podejmujące problem szkodliwości szybkiego jedzenia. Nawet o lojalność klientów jest trudno. To przestroga dla zwolenników szybkiej nauki: żadna strategia nie jest wiecznie skuteczna, potrzeby odbiorców się zmieniają, kryteria oceny strategii ulegają modyfikacjom, a kompromisy niezbędne do uzyskania szybkości w nauce mogą wywoływać oburzenie.

Ujemne efekty szybkiej nauki są pod wieloma względami podobne do ujemnych efektów fast-foodów. Pierwszym z nich jest poszukiwanie ilości, a warunkiem trafienia do szerokiego grona odbiorców jest trafianie w przeciętne gusta. Słowem, wyrafinowanie, komplikacja, zaawansowane modele i nowe koncepcje mają niższe szanse trafić do szerokiego grona odbiorców (recenzentów, wydawców i czytelników). Dobitnie dowodzą tego ścieżki kariery laureatów Nagrody Nobla, bowiem cytawalność ich prac jest zwykle niska do momentu ogłoszenia przyznania tego najwyższego wyróżnienia naukowego. Wobec tego mozolne i ryzykowne dążenie do przełomowych odkryć w ogóle nie mieści się w polu zainteresowania szybkiej nauki. Natomiast podążanie za tematami modnymi, chwilowo atrakcyjnymi, w centrum bieżącej debaty, jest wskazane. Zwolennicy szybkiej nauki wskazują, że opracowanie szczepionki na covid-19 odbyło się w rekordowym tempie. Zapominają jednak przy tym, że przełomowe odkrycia dla rozwoju technologii mRNA były udziałem Katalin Kariko już 40 lat temu, a brak sukcesu w pozyskiwaniu grantów spowodował zahamowanie jej kariery naukowej. Droga do przełomowych odkryć jest zwykle bardzo długa, poprzedzona licznymi porażkami, zwykle też niezrozu-

mieniem otoczenia. Jednocześnie jednak trudno nie zauważyć, że bez przełomów sama strategia fast-science szybko prowadzi do wyeksploatowania znanych kierunków badań.

### Strategia w nauce

Uprawianie szybkiej nauki to decyzja strategiczna, ma swoje skutki, nie jest uniwersalnie najlepsza, a już na pewno nie jest jedyną opcją. Niewiele jest normatywnych praw w zarządzaniu strategicznym, ale potrzeba dostosowania się do wymogów otoczenia jest jednym z nich. Oznacza to wielkie wyzwanie dla każdego naukowca, polegające na zrozumieniu wymogów otoczenia: charakterystyki zmienności tych wymogów, ewentualnych regularności tej zmienności oraz jej tempa. Trudno zakładać, że jeden wzorzec nauki jest najlepszy bez względu na okoliczności, świadczy o tym choćby ewolucja organizacji uniwersytetów w ostatnich trzystu latach. Dzisiejsze wymogi zdają się premiować szybką naukę, podobnie jak makdonaldyzacja miała swój okres świetności. Krótkowzroczne byłoby jednak przekonanie, że inaczej niż w przypadku szybkiej gastronomii, szybka nauka jest rozwiązaniem idealnym, bez skazy i powszechnie akceptowanym społecznie.

Dostrzegam regularność w zmienności stawianych nauce oczekiwań, a obecne parcie do szybkiej nauki odbieram jako wyraz uznawanych obecnie za ważne wymogów, które jednak w średnim okresie przeminą. Szybka nauka sprzyja niektórym standardowym produktom publikacyjnym, ale nie sprzyja przełomowym odkryciom, pogłębionej refleksji czy rozwijaniu programów badawczych. Maraton wymaga innego przygotowania niż sekwencja sprintów, to dwie różne konkurencje,

choć w tej samej dyscyplinie. Gdyby odbierać obecną popularność szybkiej nauki pozytywnie, to można w niej dostrzec poszukiwanie nowego modelu uprawiania nauki. Taki zamysł byłby chwalebny i społecznie potrzebny, bo wiele problemów wymaga pilnego rozwiązania. Czas się bardzo liczy dla potrzebujących, liczy się także dla rozwoju społeczno-gospodarczego. Stąd zyskujące na zainteresowaniu w niektórych dyscyplinach nauki platformy publikowania wyników badań bez formalnego procesu recenzji, oparte na natychmiastowym dostępie całej społeczności badaczy do uzyskanych wyników, cedujące na nich krytykę, replikację i testowanie uzyskanych postępów. Istotne jest to, by zachować rygor, kontrolę wiarygodności oraz poziomu etycznego w tym procesie. Droga do przełomów i odkryć nie może być drogą na skróty.

Jednocześnie warto tworzyć warunki instytucjonalne, m.in. ewaluacji, finansowania i awansów do nauki wolnej, ponieważ to ona prowadzi do skokowego rozwoju ludzkiej wiedzy. Wbrew idealistycznym przekonaniom zwolenników wolnego rynku brak regulacji prowadzi do prawa silniejszego, któremu towarzyszą liczne społecznie szkodliwe zjawiska. Dlatego potrzebna jest regulacja uwzględniająca rozbieżne interesy wielu stron, a także dobro wspólne. Obecne regulacje nauki, nie tylko w naszym kraju, premiuje szybką naukę. Warto uczestniczyć w debacie o lepszych rozwiązaniach. Wszak niewielu z nas chciałoby codziennie żywić się w fast-foodach, trudno więc uwierzyć, że wielu pragnie uprawiać szybką naukę.

*Prof. dr hab. Wojciech Czakon, kierownik Katedry Zarządzania Strategicznego Uniwersytetu Jagiellońskiego w Krakowie*



Z głębokim żalem żegnamy  
śp.

**Prof. dra hab. Zygmunta Woźniczkę**

wybitnego historyka, autora wielu publikacji naukowych,  
członka Rady Naukowej Instytutu De Republica,  
dyrektora Instytutu Myśli Polskiej im. Wojciecha Korfantego w Katowicach,  
członka Komisji Historycznej PAN – Oddział w Katowicach,  
członka Rady Stacji Naukowej PAU w Katowicach,  
przewodniczącego Komisji Historii Śląska PAU.  
Człowieka niezwykłej skromności, życzliwości i rzetelności.  
Rodzinie składamy najszczerze wyrazy współczucia

**Dyrektor, Rada Naukowa i pracownicy  
Instytutu De Republica**

Jolanta Szczepaniak

# Problemy z cytowaniami

Rozporządzenie MNiSW z dnia 22 lutego 2019 r. w sprawie ewaluacji jakości działalności naukowej definiuje artykuł naukowy i monografię naukową jako recenzowane publikacje „opatrzone aparatem naukowym”. Czym jest rzeczony aparat naukowy i jakie wiążą się z nim etyczne problemy?

Z punktu widzenia wydawnictwa praca nad aparatem naukowym – czyli wykazem źródłowych materiałów, które cytował, omawiał lub wykorzystywał autor podczas pisania danej publikacji – często stanowi spore wyzwanie. Sprawdzanie przypisów i bibliografii załącznikowej oraz weryfikowanie wiarygodności i poprawności odnośników do innych tekstów jest często czasochłonne, ale nieodzowne podczas pracy nad każdym tekstem naukowym.

## Kilka tysięcy sposobów cytowań

Cytat nie tylko wskazuje na prace, które autor wykorzystał do wsparcia swoich badań i potwierdza, że nie dopuścił się plagiatu. Poprzez odsyłacze pomaga czytelnikom w odnalezieniu oryginalnego źródła, aby dowiedzieć się więcej na temat idei lub badań przedstawionych w tekście. Dostarcza odpowiedniej literatury do bieżących badań i odgrywa ważną rolę w interpretacji znaczenia i oryginalności tekstu. W prostszym ujęciu jest to przede wszystkim sposób lokalizowania określonych źródeł wiedzy – i z tego względu przypis powinien zawierać ściśle określone elementy, które pozwolą na zidentyfikowanie danego materiału – drukowanego i elektronicznego.

Problem pojawia się wtedy, gdy dochodzi do wyboru jednego ze stylów (konwencji) cytowań, czyli sposobu cytowania cudzych prac w tekście naukowym. Obejmuje m.in. usytuowanie i budowę odsyłacza oraz noty bibliograficznej. Jeden dokument można zacytować na kilka tysięcy sposobów, a ich lista zdaje się wciąż wydłużać. Co więcej, każdy wydawca lub każde czasopismo naukowe może opracować własny format cytowań i narzucać go autorom.

Dlatego można postawić pytanie: po co istnieje tyle różnych sposobów zapisu w zasadzie tej samej informacji? Przecież nie ma znaczenia, który styl zostanie użyty, dokumentuje tę samą informację i ma ten sam cel: dostarczyć wystarczających danych o materiale, by czytelnik bez problemu mógł zlokalizować jego źródło. Na dodatek pomiędzy poszczególnymi stylami bywają tak nieznaczne różnice (opierają się przede wszystkim na kroju czcionek, interpunkcji, zapisie w tekście lub poza nim oraz sposobie ułożenia pozycji w bibliografii), że istnienie ich w tak dużej liczbie nie znajduje uzasadnienia. Wydawać by się mogło, że jeden uniwersalny styl cytowań ograniczyłby to zamieszanie i pozwolił badaczom skupić się na tekstach, a nie na poprawności przypisów i bibliografii.

## Konwencja uzależniona od dyscypliny

Jednak istnieją powody, dla których w różnych naukach stosowane są różne style cytowania, więc wybrana konwencja

będzie w dużej mierze podyktowana rodzajem tekstu oraz dziedziną, o której pisze autor. Większość stylów cytowań zalicza się do jednej z dwóch grup: cytowania umieszczone w nawiasach (w tekście), wykorzystywane głównie w naukach ścisłych, przyrodniczych i społecznych, oraz cytowania numerowane (przypisy dolne), które najchętniej wykorzystują humaniści.

Cytowania w tekście (autor – data – strona lub autor – data) obejmują takie style jak Harvard, APA, Chicago Author-Date czy CSE Name-Year. Używane są w dyscyplinach, które kładą szczególny nacisk na aktualność informacji, tu na pierwszym planie jest nazwisko cytowanego autora oraz data publikacji. W psychologii, edukacji i innych naukach socjologicznych wykorzystywany jest przede wszystkim styl APA (American Psychological Association), podczas gdy nauki humanistyczne zdominował styl MLA (Modern Language Association).

W drugiej grupie umieścić można style takie jak Oxford i Chicago Notes, używające przypisów o źródle umieszczonych na dole strony. Stosowane są głównie w publikacjach historycznych oraz innych dyscyplinach, które intensywnie korzystają ze źródeł. Wyróżnia się tu też system Vancouver, stosowany w naukach przyrodniczych, zwłaszcza w medycynie.

## Cytowania a etyka publikacyjna

Niewątpliwie cytowania są podstawą wydawnictw naukowych. Jednak i w tym aspekcie może pojawić się zjawisko, łatwe do przeoczenia przez redaktorów, mogące stanowić nadużycie z punktu widzenia etyki publikacyjnej. Zjawiskiem tym jest manipulowanie cytatami, które ma na celu zwiększenie liczby cytowań badacza lub czasopisma. Nie jest ono czymś nowym w nauce, w połowie ubiegłego wieku przed potencjalnymi nadużyciami przestrzegali Eugene Garfield, który zaproponował wówczas utworzenie indeksu cytowań (Science Citation Index).

Współcześnie na proceder ten zwraca uwagę Komitet ds. Etyki Publikacyjnej (COPE), który citation manipulation określa jako fałszywe cytowania, które nie przyczyniają się do naukowej wartości, nigdy nie zostały wykorzystane w treści artykułu i są zamieszczane wyłącznie dla osobistych korzyści – zwiększenia liczby cytowań albo innych pozanaukowych powodów. Chodzi na przykład o: nadmierne cytowanie własnej pracy autora (tj. autopromocję); nadmierne cytowanie prac innego autora (cytowania „honorowe”), np. redaktora naczelnego czasopisma, do którego składa się tekst; wymóg cytowania artykułów z danego czasopisma jako warunek publikacji, niezależnie od ich znaczenia dla danego tematu; nadmierne

cytowanie między grupami autorów (tzw. farmy cytowań lub citation rings) i czasopismami (współpraca w celu zwiększenia liczby cytowań i wpływu czasopism poprzez wzajemne zwiększanie cytowań z każdego z nich, tzw. citation stacking); przymusowe cytowanie (polecenie umieszczenia określonych cytowań jako warunek akceptacji tekstu stawiany przez recenzentów, a także wymóg cytowania opublikowanych badań redaktorów lub członków redakcji jako warunek przyjęcia artykułu).

Manipulowanie cytowaniami jest ewidentnym naruszeniem etyki publikacyjnej i w konsekwencji świadczyć może o jakości pracy redaktorów i czasopism. Te, które nie przestrzegają zasad etyki, nie określają progów autocytowań i nie reagują na potencjalnie niewłaściwe zachowania, mogą nawet zostać wyłączone z indeksowania w najważniejszych bazach.

Odrębnie należałoby opisać inne nieprawidłowości związane z cytowaniami, ale niewynikające z chęci osiągnięcia korzyści, lecz ze stronniczości autora. Przede wszystkim chodzi o cytowanie tylko tych tekstów, które potwierdzają własne teorie i badania (np. w artykułach o nowych terapiach cytowane będą wyniki, które wspierają nowe terapie, a nie te, które tego nie robią), a także częstsze cytowanie artykułów publikowanych w czasopismach w tym samym języku, w którym mówi naukowiec. Autorzy mogą też umieszczać więcej odwołań do publikacji autorów bardziej medialnych i docenionych w świecie nauki (tzw. efekt św. Mateusza). Nie można pominąć kwestii płci, tutaj chodzi przede wszystkim o ignorowanie osiągnięć kobiet w nauce i skupianie się na tekstach pisanych przez mężczyzn (tzw. efekt Matyldy).

## Autocytowania w badaniach

Najbardziej ewidentnym przykładem manipulowania cytowaniami są autocytowania, które nie raz analizowano pod kątem nadużyć. Analiza dorobku 100 tys. najczęściej cytowanych naukowców w latach 1996-2017, wykonana przez Johna Ioannidisa ze Stanford University, wykazała pewną grupę badaczy ze skrajnie wysokim odsetkiem autocytowań. Wyróżnia się tu zwłaszcza Sundarapandian Vaidyanathan z Vel Tech R&D Institute of Technology w Chennai w Indiach: do 2017 roku otrzymał aż 94% cytowań od siebie lub swoich współpracowników, a także matematyk Theodore Simos (76% autocytowań) z King Saud University w Arabii Saudyjskiej czy Claudiu Supuran (62%) z Uniwersytetu Florenckiego. Około 1000 naukowców miało ponad 40%, a ponad 8500 badaczy ponad 25% autocytowań – za medianę autocytowań przyjęto 12,7%. Badanie ujawniło też zjawisko określane jako „farmy cytowań” (citation farms), stosunkowo małe grupy autorów masowo cytujących swoje prace. Według autora badań nie jest ono wcale marginalne.

Inne, nieopublikowane badanie autorstwa Jeroena Baasa, analizujące szerszy zbiór danych z bazy Scopus (7 milionów autorów, którzy mają minimum 5 artykułów), wykazało, że około 7% badaczy ma odsetek autocytowań wynoszący ponad 40% (mediana to 15,5%). Przy podziale na państwa najczęściej autocytowań mają autorzy z Rosji, Ukrainy oraz Indonezji. Polscy badacze „osiągają” około 25%. Oczywiście nie znaczy to, że autorzy powinni być automatycznie posądzani o nieetyczne zachowania, niemniej wysoki odsetek autocytowań może zapo-



Fot. Stefan Ciechan

wiadać inne etyczne (i nie tylko) problemy z tekstami, a całość kształt zjawiska, razem z „farmami cytowań”, może podważać sens tworzenia analiz bibliometrycznych.

Problem ten nie jest nowy w nauce, choć czasem po prostu mocniej się zaznacza. Badanie z 2017 roku, skupiające się na włoskich badaczach, wykazało, że odsetek autocytowań znacząco wzrósł po wprowadzeniu we Włoszech w 2010 roku kontrowersyjnej polityki, według której naukowcy musieli spełnić pewne progi produktywności, aby zakwalifikować się do awansu. Z kolei naukowcy w Indonezji manipulowali cytowaniami – stosowali nadmiernie autocytowania i cytowali się nawzajem – aby uzyskać fundusze na badania i stypendia. Przydzielało je ministerstwo, bazując na formule opartej na cytowaniach, w konsekwencji kilkunastu badaczy straciło dofinansowanie.

Oczywiście są zupełnie uzasadnione przypadki, w których autor może i powinien powoływać się na swoje wcześniejsze prace, na przykład wtedy, gdy stanowią one część długoterminowego programu badań albo gdy mogłoby zająć podejrzenie popełnienia autoplagiatu.

### Cytowania a recenzji

W styczniowym numerze „Forum Akademickiego” dr inż. Adam Sulich poruszył kwestie związane z cytowaniami i etyką publikacyjną, wskazując na nierzetelne recenzje. W tym przypadku manipulowanie cytatami występuje w sytuacji, gdy recenzent wymaga cytowania własnych prac i informuje o tym bezpośrednio w przedstawionej autorowi i redaktorom recenzji.

Praktyka polegająca na manipulowaniu cytowaniami przez recenzentów poprzez dodawanie niepotrzebnych odniesień do artykułów, określana jest jako przymus cytowania. Dotyka wielu autorów, według badania z 2017 roku spośród 12 tys. naukowców około 14% respondentów zgłosiło przypadki przymusowego cytowania.

Na większe liczby wskazuje „Nature”. Według czytelników tego czasopisma z presją cytowania niepotrzebnych badań spotkała się w zasadzie większość respondentów. Tak przynajmniej wynika z internetowej ankiety, na którą odpowiedziało 4300 osób. Na pytanie, czy kiedykolwiek odczuwali presję ze strony recenzentów, aby cytować pozornie zbędne badania w swojej pracy, aż 66% odpowiedziało pozytywnie (choć niekoniecznie wiązało się to z cytowaniem badań recenzentów). Ankieta ta została przeprowadzona po badaniu, które objęło zestaw danych składający się z 69 tys. recenzentów, ich recenzji na rzecz czasopism publikowanych przez Elsevier w okresie trzech lat (2015-2017) oraz bazy danych Scopus z ponad 12 mln profili autorów. Zanalizowano częstość cytowań związanych z publikacjami recenzentów: około 98,5% recenzentów jest cytowanych w mniej niż dziesięciu pracach, które recenzowali. Zidentyfikowano jednak pewną grupę recenzentów – 433 naukowców (0,79% spośród badanej grupy) – którzy mogli dopuścić się manipulowania cytatami. Analiza wykazała, że konsekwentnie pojawiają się odniesienia do ich prac w recenzowanych przez nich badaniach.

Warto dodać, że nie zawsze zamieszczanie odniesień do prac recenzenta można określić jako przymus. M. Biagioli opisuje w „Nature” działania autorów, które mają na celu zapewnienie odpowiedniego wpływu swoich publikacji, a także powiązania autorów i recenzentów, w których następuje wymiana korzystnych fałszywych recenzji na cytaty z prac recenzenta. Autor dodaje, że takie zachowania prowokuje system parametryzacji w szkolnictwie wyższym, który zbyt mocno opiera się na wskaźnikach, wpływie czasopism, analizach cytowań i rankingach.

### Bonus za cytowanie

Pojawia się tu też kolejny problem, gdy autor otrzymuje wynagrodzenie za cytowanie określonych źródeł, zaś rekompensata finansowa dla autora ma przełożyć się na zwiększenie wpływu czasopisma. W 2015 roku taki model finansowania zupełnie jawnie stosowała firma Cyagen Biosciences. Na stronie Citation Reward Program (którą można teraz obejrzeć wyłącznie w archiwach internetu) firma w nagrodę za każde cytowanie odnoszące się do produktów Cyagena w artykule w dowolnym czasopiśmie naukowym oferowała voucher, który mógł być wykorzystany na dowolne produkty lub usługi firmy Cyagen. Jego wartość wynosiła co najmniej 100 dolarów i wzrastała w zależności od IF czasopisma (mnożono wartość IF razy 100). Na przykład za artykuł w „Science” (IF = 30) autor mógł otrzymać voucher o wartości 3000 dolarów. Kilka miesięcy później zmieniono zasady, oferując voucher o stałej wartości 250 dolarów i w takiej postaci program działał przez co najmniej dwa lata. Cytowania odnoszące się do produktów Cyagen pojawiły się w 164 artykułach i w żadnym z nich autorzy nie wspomnieli o tym dodatkowym finansowaniu. Pozostaje tylko pytanie, czy to jest jeszcze jedna z form manipulowania cytowaniami, czy już korupcja.

Cytowania są niezbędnym elementem prac naukowych, ale relatywnie łatwo można nimi manipulować. A to nie rokuje dobrze dla nauki, zwłaszcza w kontekście nadmiernego polegania na wskaźnikach cytowań przy podejmowaniu decyzji o zatrudnianiu, awansach czy finansowaniu badań.

*Jolanta Szczepaniak, redaktor i kierownik zespołu Wydawnictwa Politechniki Łódzkiej*



# Uczony i menedżer

W Polsce studia MBA pojawiły się po przełomie 1989 r. i w latach 90. minionego stulecia stały się jedną z wizytówek tych uczelni, które zabiegały o możliwie największą liczbę studentów. Rzecz jasna nie zabiegały o to bezinteresownie, bowiem studia podyplomowe są płatne (również na uczelniach publicznych).

Jest raczej kwestią bezdyskusyjną nie tylko realne występowanie zapotrzebowania na fachowców, którzy posiadają menedżerskie kwalifikacje, jak i zyskiwanie przez nich coraz bardziej znaczącej pozycji w tych krajach, które mają rozwiniętą gospodarkę i odgrywają wiodące role w świecie zachodnim. Takie zapotrzebowanie występuje również na uczelniach. Jednak niełatwo było i jest pogodzić na nich obowiązki uczonego z obowiązkami menedżera.

## Zastrzeżenia

Jednym z uczonych zgłaszających zastrzeżenia do uczelnianego menedżeryzmu był Max Weber. W wygłoszonym w 1917 r. na Uniwersytecie w Monachium wykładzie, zatytułowanym *Zawód jako powołanie (Wissenschaft also Beruf)*, wskazywał m.in. na pojawienie się na uniwersytetach niemieckich modelu amerykańskiego zarządzenia uczelnią, sprowadzającego się do traktowania jej tak jak kapitalistycznego przedsiębiorstwa. „Mamy tutaj do czynienia z sytuacją identyczną jak ta, która cechuje zakład kapitalistyczny: z «oddzieleniem robotnika od środków produkcji» (...) W rezultacie jest on w równym stopniu zależny od dyrektora instytutu, co pracownik w fabryce (dyrektor instytutu uważa bowiem w całkiem dobrej wierze, że ów instytut jest «jego» i że to on w nim rządzi”. Zdaniem M. Webera, zawód autentycznego uczonego należy do kategorii zawodów, które nie mogą być należycie wykonywane bez powołania, które się wyraża m.in. w pasji badawczej, a czasami również w takiej formie swoistego szaleństwa, jakim może być matematyczna fantazja, natchnienie czy wiara w to, że ślęczenie latami nad rozszyfrowaniem kilku linijek starożytnego tekstu stanie się zbawieniem dla całej ludzkości. Jeśli ktoś zapyta takiego uczonego, czy z jego umysłem jest wszystko w porządku lub przynajmniej, czy na jego naukowej pasji nie ucierpiała rodzina, to będzie miał prawo odpowiedzieć, że bez pasji i swoistego szaleństwa nauka w gruncie rzeczy nie ma sensu. Można oczywiście z tym polemizować. Jednak w każdym liczącym się środowisku akademickim znajdują się tak myślący i tak funkcjonujący na co dzień uczeni. Inna sprawa, że nie jest im łatwo żyć i współżyć z tymi, którzy uważają, iż ich głównym zadaniem jest „produkowanie” kolejnych publikacji na jakiś temat, rzecz jasna możliwie najwyżej punktowanych i możliwie najczęściej przywoływanych w innych publikacjach.

Takie prokapitalistyczne podejście do zawodu uczonego było przedmiotem analizy Krystiana Szadkowskiego, autora książki *Uniwersytet jako dobro wspólne*. Przywołana jest w niej

m.in. wizja uniwersytetu Clarka Kerra („autora Kalifornijskiego Planu dla Szkolnictwa Wyższego i rektora Uniwersytetu Kalifornijskiego w latach poprzedzających wybuch fali protestów studenckich z 1968 roku”). W jej świetle nowoczesny uniwersytet jest „instytucją akademicką, która zarządzana administracyjnie jest niczym «miasto intelektu», przy czym „jako nowa instytucja nie jest ani rzeczywiście prywatny, ani rzeczywiście publiczny”, lecz jest hybrydą, która łączy prywatne z publicznym. Wyraża się to zarówno w hybrydowym zarządzaniu uniwersytetem, jak i w hybrydowym finansowaniu prowadzonych na nim badań i kształcenia studentów. Takie pojmowanie uniwersytetu jako nowoczesnej instytucji spotykało się z różnego rodzaju zastrzeżeniami (autor publikacji przywołuje niektóre z nich). Jednak „człony opozycji tego, co publiczne i tego, co prywatne stanowią bieguny konkretnego pola sił, pomiędzy którymi rozgrywa się codzienność systemów szkolnictwa wyższego”. W realiach życia akademickiego łączenie prywatnego z publicznym nie jest niczym nowym. Nowe są natomiast „lokalne i instytucjonalne procesy sprzyjające hybrydyzacji”, w tym wzrastający wpływ na funkcjonowanie uniwersytetów „wydawców akademickich, przedsiębiorców sektora przemysłowego czy informatycznego, a także lokalnych wspólnot, w których przyszło im funkcjonować”.

Zasadne jest postawienie pytania: czy taką hybrydą są, a przynajmniej powinni być uczeni, którzy chcą się liczyć w nauce i osiągać w niej znaczące wyniki? K. Szadkowski udziela w jakiejś mierze odpowiedzi twierdzącej, wskazując m.in. na wysokie miejsca w globalnych rankingach uniwersytetów, na których uczeni potrafili pozyskać ogromne środki finansowe na swoje badania oraz wykorzystać je zgodnie z przeznaczeniem. W rankingach od lat dominują amerykańskie uniwersytety oraz instytuty badawcze. Traktowane są one niejednokrotnie jako wzory do naśladowania przez europejskie uczelnie. W krajach zrzeszonych w Unii Europejskiej to wdrażanie amerykańskich wzorców nazywane jest procesem bolońskim. Na pytanie postawione przez Andrzeja Kraśniewskiego w tytule publikacji *Proces Boloński: dokąd zmierza europejskie szkolnictwo wyższe?* skłonny jestem odpowiedzieć, że zmierza ono w kierunku amerykańskiej, do której zgłaszał zasadnicze zastrzeżenia M. Weber w swoim wykładzie, a jej modyfikacje wynikają głównie z konieczności dostosowania do istniejących potrzeb i możliwości ich zaspokajania. Jest przy tym kwestią bezdyskusyjną to, że w niejednym kraju unijnym te pierwsze są znacznie większe niż drugie.



rys. Sławomir Mętal

## Sprostac wyzwaniom

W szkolnictwie wyższym krajów UE próby naśladowania amerykańskich rozwiązań występują również w kształceniu menedżerów. Za najlepsze programy tego kształcenia uznaje się te opracowane przez Amerykanów na początku lat pięćdziesiątych XX w. Występują one pod nazwą Master of Business Administration (MBA) i mają charakter studiów podyplomowych trwających dwa lub cztery semestry. W ich skład wchodzi m.in. kształcenie w zakresie księgowości, marketingu, zarządzania przedsiębiorstwem, zasobami ludzkimi i kryzysem, systemów informatycznych i prawa. Prowadzone są światowe rankingi tych studiów. Również w tej kategorii czołowe miejsca zajmują amerykańskie uczelnie.

W Polsce takie studia pojawiły się po przełomie 1989 r. i w latach 90. minionego stulecia stały się jedną z wizytówek uczelni, które zabiegały o możliwie największą liczbę studentów. Rzecz jasna nie starały się o to bezinteresownie, bowiem studia podyplomowe są płatne (również na uczelniach publicznych). Wielki wyścig o studenta wygrywały niejednokrotnie uczelnie prywatne, które miały nie tyle niższe czesne, ile stawiały mniejsze wymagania przy uzyskiwaniu dyplomu menedżera. Taki dyplom w USA przekłada się m.in. na wyższe uposażenie pracownicze. Natomiast w naszym kraju przekładał się w pierwszej kolejności na samozadowolenie menedżera, a w następnych na oferowanie przez niego swoich usług pracodawcom, którzy zgłaszali zapotrzebowanie na nowoczesne zarządzanie w ich firmach. Zapewne niejedynemu pracodawca przekonał się, jak mało znaczy w praktyce dyplom tych studiów podyplomowych. Problem nie tylko w tym, że z założenia miały one jedynym stanowić uzupełnienie zawodowego doświadczenia, ale także w tym, że to „cudowne” rozmnożenie się studiów menedżerskich nie przełożyło się na równie „cudowne” rozmnożenie wykładów, którzy mogliby dać ich słuchaczom wiedzę i umiejętności na odpowiednio wysokim poziomie.

Nie twierdzą, że „biznesowe” studia były i są w gruncie rzeczy niezłym biznesem dla prowadzących je uczelni oraz innego rodzaju instytucji oferujących kształcenie w tym zakresie. Nie ulega jednak dla mnie wątpliwości, że do takich studiów nie tylko trzeba podejść równie poważnie jak do każdego innego, ale także trzeba mieć odpowiednio wysoko kwalifikowaną kadrę akademicką i – co nie mniej istotne – trzeba potrafić pogodzić przy ich prowadzeniu prywatne z publicznym. Zapewne łatwiej to godzić publicznym uczelniom, które korzystają z państwowych dotacji (nazywanej dzisiaj subwencją), niż uczelniom prywatnym, których trwanie i przetrwanie zależy od studenckich opłat za studia. Nie oznacza to jednak, że na uczelniach publicznych nie ma żadnych problemów z tym godzeniem. Ich wykładowcy również potrafią liczyć swoje dochody ze świadczonych usług edukacyjnych i trzeba im zaoferować takie stawki za wykłady na studiach menedżerskich, aby były one nie tylko atrakcyjne, ale także konkurencyjne w stosunku do tych związanych z innego rodzaju akademickimi obowiązkami.

Studia MBA (z dodatkiem: zarządzanie szkołami wyższymi) prowadzone były i są na mojej uczelni (UAM). Adresowane są zarówno do osób pełniących funkcje kierownicze, jak i tych, którzy chcieliby je pełnić w przyszłości. Problemem było i pozostaje stosunkowo wysokie czesne za to dwuletnie kształcenie. W okresie, w którym pełniłem funkcję dziekana, duże koszty dokształcania pracowników pokrywane były z funduszy wydziałowych. Nawet mój wydział, zaliczany do „bogaty”, nie mógł sobie pozwolić na skierowanie wielu osób. Oceniając z perspektywy czasu opłacalność tej finansowej inwestycji, mogę jednak powiedzieć, że była ona w jakiejś mierze trafiona. Studia te ukończyła m.in. osoba, która później pełniła obowiązki kierownicze dziekanatu i sprawdzała się w nich bez

zarzutu. Inna sprawa, czy przyczyniły się do tego jej naturalne uzdolnienia, czy też to menedżerskie dokształcanie.

## Osobiste doświadczenia

Związane są one z moim wieloletnim funkcjonowaniem na uczelni i podleganiem władzy różnych dyrektorów instytutów, dziekanów i rektorów. Niejedynemu dyrektorowi potrafił czasami na swoim stanowisku trwać „wieki” i przetrwać niejedną krytykę za błędy popełniane w zarządzaniu. Jednak nawet on musiał liczyć się z tym, że w którymś momencie to nie on będzie mógł powiedzieć swoim krytykom: „jeśli wam się coś nie podoba w moim instytucie, to fora ze dwora”. Nawiązuję tutaj do wspomnianego wcześniej wykładu M. Webera. Jednak nie tylko, bowiem faktycznie miałem do czynienia z dyrektorem, który zachowywał się tak, jakby instytut był jego własnością. Efekt był taki, że odchodzili z niego pracownicy, którzy znacząco przyczyniali się do wzmocnienia pozycji naukowej i dydaktycznej innych uczelnianych jednostek. Mam jednak spore wątpliwości co do tego, że wiele zmieniłoby w jego postępowaniu ukończenie studiów MBA. Sądzę, że był to problem nie tyle braku odpowiedniego wykształcenia, co cech osobowościowych; a nie od dzisiaj wiadomo, że wraz z długim trwaniem na tym samym stanowisku coraz bardziej uwytłaniają się cechy negatywne. Można oczywiście postawić pytanie, dlaczego pracownicy tego instytutu głosowali w wyborach na osobę, po której raczej można było się spodziewać więcej złego niż dobrego. Nie będę wchodził w zawilosci „kuchni” wyborczej. Powiem jedynie, że czasami oportunistą i przyzwyczajeniem do człowieka, którego zalety i wady są już znane, bierze górę nad wspólnym dobrem, jakim jest właściwe zarządzanie uczelnianą jednostką.

Trudniej przetrwać osobom na stanowisku dziekańskim. Dwie kadencje to jednak też coś znaczy. Znam przypadki dziekanów, którzy zaliczyli obie, mimo że moim zdaniem nie wyróżniali się ani menedżerskimi kwalifikacjami, ani dokonaniami, które przeszłyby do historii kierowanych przez nich wydziałów. Sposobów na to jest wiele. Jednym z nich jest bycie miłym i przyjaznym dla podwładnych, a oni w zamian będą skłonni tolerować u takiego dziekana nie tylko braki w osiągnięciach naukowych (o nie zresztą tym trudniej, im więcej ma on obowiązków administracyjnych), ale także jego traktowanie z daleko idącą wyrozumiałością tych, którzy dosyć lekko podchodzą do akademickich obowiązków. Byłem dwukadencyjnym dziekanem. Jednak raczej nie należałem do tak tolerancyjnych osób. Rzecz jasna przysporzyło mi to zapamiętałych krytyków. Mam nadzieję, że nawet oni w końcu będą skłonni zgodzić się z tym, że na mojej pryncypialności wydział coś zyskał.

Nielatwo mi krótko wypowiedzieć się o osobach, które w okresie mojej pracy na uczelni pełniły funkcje rektorskie. Rzecz nie w tym, że nie mam w tej kwestii opinii, raczej w tym, że jest ona mocno zróżnicowana, a nie chciałbym być postrzegany ani jako bezkrytyczny pochlebca, ani też krytyk, który dostrzega jedynie negatywne zachowania. Powiem jednak, że najlepiej wspominam kadencje rektorów, dla których dobrem wspólnym były wszystkie dziedziny i dyscypliny naukowe. Natomiast najgorzej tych, którzy na pierwszym miejscu stawiali swoją dyscyplinę i jej podobne. Wyrażało się to m.in. w dbaniu o zaspokojenie ich potrzeb, w tym potrzeb inwestycyjnych. Niestety dyscypliny realizowane na moim wydziale do nich nie należały. Jeśli nawet pojawiały się jakieś próby tłumaczenia takiej osobie, że uniwersytet to różnorodność i różnorodność prowadzonych badań i kształcenia studentów, a potrzeby są na wielu wydziałach, to raczej nie przynosiły one widocznych efektów. Być może w takim podejściu coś zmieniłoby dokształcanie menedżerskie. Trudno jednak na tak krótkim kursie radykalnie zmienić czyjeś cechy osobowościowe.

Konrad Pfeiffer

# Z indeksem po medale

Studenci, którzy w trakcie nauki chcą kontynuować karierę sportową, mogą dołączyć do Narodowej Reprezentacji Akademickiej. W tym roku odbyła się już trzecia edycja programu.

Zimowe igrzyska olimpijskie w Pekinie zakończyły się przed miesiącem, ale Nikola Mazur jeszcze nie odwiesiła łyżew. Przed nią druga najważniejsza impreza sezonu – mistrzostwa świata w short tracku. Całe szczęście, że między zgrupowaniami, wyjazdami, treningami udało się zaliczyć sesję zimową. Średnia 4,2.

– Całkiem przyzwoita jak na te okoliczności, prawda? – śmieje się studentka ekonomii na Uniwersytecie Gdańskim i zarazem zawodniczka miejscowego Stoczniowca.

Żeby unaocznic, z jakim wyzwaniem się mierzy, wystarczy spojrzeć w jej kalendarz. Rano zajęcia na uczelni, około południa trening – na lodzie spędza ponad trzy godziny, po nim zdarza się, że wraca jeszcze na zajęcia. Bywa i tak, że w ciągu dnia są dwa treningi, co jeszcze bardziej komplikuje sprawę. Tym niemniej, jeśli tylko jest na miejscu, stara się wpadać do Sopotu, gdzie swoją siedzibę ma Wydział Ekonomiczny UG. Nikola jest na drugim roku.

– Trafiłam na bardzo fajny wydział i mam wrażenie, że studia tutaj bardzo mnie rozwijają. Jest dużo ludzi z otwartą głową, od których można się wielu rzeczy dowiedzieć, podyskutować z nimi. To nie tylko uczenie się formułek czy definicji – zapewnia.

I dodaje, że nie wszędzie sytuacja wygląda tak kolorowo. „Ale jak to, nie będziesz na egzaminie?” – słyszeli wielokrotnie jej koledzy i koleżanki z innych miast. Ona sama nie wie, czy dałaby radę bez Narodowej Reprezentacji Akademickiej.

– Ten program spadł mi z nieba. Jestem w nim od początku i dziś nie wyobrażam sobie, żeby go nie było. Tym bardziej że nie wybrałam uczelni stricte sportowej. Znając siebie, pewnie próbowałabym i tak pójść na studia, ale czy to by się wówczas powiodło? – zastanawia się.

NRA zakłada m.in. indywidualne konsultacje z prowadzącymi zajęcia. U Nikoli w zdecydowanej większości były to spotkania online. Gdy jest się na zawodach w Chinach czy Japo-

Nikola Mazur



Fot. Kasper Losiak

nii, przeszkodę może stanowić różnica czasu, ale – jak mówi – wszystko jest do dogadania. Tym bardziej jeśli wykładowcy wykazują zrozumienie. Choć woli się uczyć systematycznie, a nie od sesji do sesji, to przyznaje jednocześnie, że z uwagi na przygotowania do wielkich imprez, intensywniejsze treningi, liczne obozy było to ostatnio praktycznie niemożliwe. Za to zaraz po marcowych mistrzostwach będzie mogła już w pełni poświęcić się nauce. Studia traktuje nie tylko jako zabezpieczenie na przyszłość, ale też szansę na osobisty rozwój.

– Naprawdę dużo mi dają. Widzę po sobie, że mózg lepiej pracuje, poprawiły się funkcje poznawcze, łatwiej mi się skupić. Poza tym zyskałam większe poczucie sprawczości, choćby wtedy, gdy zdaję kolejne egzaminy. Odczuwam wtedy dużą satysfakcję – podkreśla.

Zdecydowała się na ekonomię, bo to dziedzina obecna w codziennym życiu, w pewien sposób tłumacząca, jak funkcjonuje świat. Nikoli wydawało się, że ze wszystkich przedmiotów najtrudniej będzie przebrnąć przez matematykę. Okazało się, że nawet na poziomie akademickim nie jest wcale taka straszna. W nowym semestrze spodziewa się za to problemów z ekonometrią. Nie poddaje się jednak, traktuje to jako kolejne, tym razem pozasportowe, wyzwanie.

### Nie tylko w sportowym środowisku

Pech chciał, że jeszcze przed pierwszym meczem styczniowych mistrzostw Europy Maciej Zarzycki złapał koronawirusa. Z głównej imprezy tego sezonu wrócił więc z niedosytem, ale z bagażem doświadczeń, które za rok, na mistrzostwach świata w Polsce, bardzo się przydadzą. W reprezentacji zagra już jako magister wychowania fizycznego.

– Jestem właśnie w trakcie pisania pracy na temat urazów w piłce ręcznej na przykładzie zawodników Superligi – mówi student Politechniki Opolskiej i szczypiornista tamtejszej Gwardii.

Na licencjacie musiał ciągle pamiętać o usprawiedliwianiu swoich nieobecności. Było ich sporo, bo zaliczenia czy zajęcia pokrywały się zwykle z treningami, a do tego dochodziły wyjazdy na mecze bądź zgrupowania kadry. Trzeba było za każdym razem iść do klubu, brać świstek papieru i przedkładać go na uczelni. Inaczej oceny leciały w dół. Jemu zależało, by tego uniknąć. Kiedy więc już na studiach magisterskich uruchomiono NRA, a uczelnia zaproponowała, że go zgłosi, nie wahał się ani chwili.

– Już nie muszę się martwić o nieobecności, usprawiedliwienia, mam ponadto możliwość udziału w dodatkowych zajęciach, a formę zaliczenia mogę wybrać w porozumieniu z prowadzącym – wyjaśnia.

Politechnika Opolska z 31 reprezentującymi ją sportowcami była jednym z liderów drugiej edycji programu. Do pomocy w załatwianiu spraw organizacyjnych wyznaczono konkretną osobę, ale na poziomie poszczególnych przedmiotów kontakt – czy to mailowy, czy telefoniczny – odbywa się już bezpośrednio między studentami a wykładowcami. Paradoksalnie sportowcom pomogła też pandemia. Choć zdalne zajęcia z... koszykówki mogą wyglądać komicznie, to sportowcy jednak doceniają taką formę.

– Kiedy kończę poranny trening i kilka minut później mam zaplanowane wykłady, nie muszę gnać na uczelnię, tylko wystarczy połączyć się na telefonie. Podobnie na zgrupowaniu – też mogę być online. Oczywiście to nie taka sama nauka jak stacjonarnie, jest wiele czynników, które rozpraszają, ale jeśli tylko chce się coś wynieść ze studiów, nie powinno przeszkadzać – przyznaje Zarzycki, który poprzedni semestr ukończył ze średnią 4,55.

Choć zawodowi sportowcy, narażeni często na urazy czy kontuzje, powinni być szczególnie zaznajomieni z partiami mięśniowymi, układem kostnym, to anatomia sprawiła jed-



Maciej Zarzycki

Fot. FCHiG Superliga



Antoni Kałużński

nak trochę kłopotów. Do dydaktyki wychowania fizycznego też musiał przysiąść. Za to na zajęciach z dietetyki czy psychologii sportu mógł pogłębić wiedzę, którą już posiadał w trakcie kariery. Z zajęciami praktycznymi, w tym nie lubianą przez większość sportowców gimnastyką, poszło mu jak z płatka.

Wytrwałość, cierpliwość, nieustępliwość – te cechy w jego ocenie najbardziej przydają się w łączeniu nauki z wyczynowym uprawianiem sportu. Szczególnie wtedy, gdy po forsownym treningu w klubie trzeba jeszcze przygotować się do zaliczenia lub, co gorsza, na uczelni czekają zajęcia na siłowni albo basenie. Pod koniec dnia można wtedy paść ze zmęczenia. W kryzysowych momentach pomaga wyznaczenie celu. Chciałby być w przyszłości instruktorem piłki ręcznej, może nawet szkolić seniorów, a do tego potrzebne są i kwalifikacje, i wykształcenie. Ale nie tylko to przyswierało mu, gdy decydował się na kontynuowanie nauki.

– W liceum, w Szkole Mistrzostwa Sportowego, obracałem się tylko wśród piłkarzy ręcznych, tak samo jest w moim zawodowym życiu. Chciałem wyjść poza środowisko, poznać ludzi o innych niż sportowe zainteresowaniach. Poza tym dobrze jest, gdy człowiek rozwija się wielokierunkowo. To pomaga w życiu, nie jest się ograniczonym tylko do jednej rzeczy – podkreśla.

### Magister z doktorem?

Antoni Kałużński był już finalistą mistrzostw świata, wicemistrzem globu do lat 18 i mistrzem Europy w tej samej kategorii, a także najlepszym na krajowym podwórku. Trenując pływanie od ponad dziesięciu lat, coraz częściej dostrzega wzajemne oddziaływanie sportu i nauki.

– Gdybym nie był sportowcem, myślę że nie miałbym w sobie takiej dyscypliny, trudniej byłoby zabrać się np. do uczenia się przed sesją. W drugą stronę też to działa, jeśli jestem w dołku albo w momencie jakiegoś kryzysu, pływanie stanowi odskocznnię, pozwala zapomnieć – mówi zawodnik Warszawianki i student III roku prawa.

Dodaje, że podobnie jest z nauką. To swego rodzaju lek na niepowodzenia w basenie. Do wyjazdu na igrzyska w Pekinie zabrakło mu ledwie dziesiątych części sekundy. Musiał obejść się smakiem. Książki, kolokwia, zaliczenia spowodowały, że nie

rozmyślał długo o utraconej szansie. No i jeszcze jedna zaleta: kiedy obserwuje, jak wszyscy przed egzaminem się stresują, on zachowuje chłodną głowę. Starty na najważniejszych sportowych zawodach nauczyły go radzić sobie z presją.

Nic zatem dziwnego, że ostatnią „kampanię” zdał jak z nut. I nie były to same trójki. Jest żywym przykładem, że NRA działa także w uczelniach niepublicznych. Kluczowe przy wyborze Akademii Leona Koźmińskiego było zapewnienie indywidualnej organizacji studiów. Przywołuje swoich kolegów, którzy właśnie między liceum a studiami musieli zrezygnować z wyczynowego sportu. Godziny wykładów i treningów często się pokrywają, a nie sposób osiągnąć dobrych wyników, przygotowując się na pół gwizdka.

– Na szczęście załapałem się do NRA i dzięki temu, jeśli w terminie egzaminu czy kolokwium jestem na zawodach lub obozie, zaliczenie mogę mieć później niż wszyscy. Zawsze mam czas do końca sesji poprawkowej. To spore ułatwienie, choć nadrabianie materiału bywa kłopotliwe – zaznacza i dodaje, że może liczyć w tym względzie na pomoc koleżanek i kolegów.

Najwięcej komplikacji jest latem, gdy sesja i zawody kolidują ze sobą. Tak właśnie będzie w tym roku z mistrzostwami świata. Jako sportowiec z indeksem musi więc nie tylko się do nich przygotować, ale i odpowiednio rozplanować egzaminy.

Ma nadzieję, że możliwość uczestniczenia w zajęciach online zostanie także po pandemii. Sam zaoszczędził sporo czasu, nieraz słuchając wykładu na słuchawkach w drodze na basen. Na prawo poszedł z pełną świadomością. Interesuje się tą dziedziną, choć przyznaje, że jeszcze nie wszystkie jej obszary zdążył odkryć, a niektóre, jak informatyka prawnicza, pasjonują go w mniejszym stopniu. Czy wiąże z nią swoją przyszłość? Wie na pewno, że po zakończeniu kariery chciałby wyjść z basenu, zając się czymś innym. Na decyzję daje sobie jeszcze czas. Na horyzoncie widzi już jednak rok 2024. Jak wszystko dobrze pójdzie, na igrzyskach w Paryżu może wystąpić już jako magister. Dla zawodowego sportowca olimpijska rywalizacja to jednak coś więcej. Można ją chyba porównać z obroną doktoratu.

# Nagroda dla naszego grafika

Sławomir Makal, autor okładek i ilustracji artykułów w „Forum Akademickim”, został laureatem IV ogólnopolskiego konkursu na rysunek prasowy im. Aleksandra Wołosa. Jego organizatorem jest Warmińsko-Mazurski Oddział Stowarzyszenia Dziennikarzy Polskich, a celem docenienie autorów najlepszych prac i zwrócenie uwagi na znaczenie rysunku prasowego, który może stanowić zarówno komentarz polityczny, społeczny bądź sportowy, jak również tworzyć opowieść w postaci krótkiego komiksu czy być rysunkiem-ilustracją artykułu.

Do konkursu, który obejmował prace opublikowane między 1 stycznia a 31 grudnia 2021 roku w prasie i mediach elektronicznych, zgłoszono 196 rysunków 42 twórców z całej Polski. Wśród laureatów znalazł się Sławomir Makal, spod którego ręki wychodzą okładki i grafiki wewnątrz każdego numeru „Forum Akademickiego”. Otrzymał on pozaregulaminową Nagrodę Muzeum Karykatury im. Eryka Lipińskiego w Warszawie. Wyróżniona praca ilustrowała tekst pt. *Nie tylko łagodzi obyczaje*, opisujący badania naukowców z Instytutu Filozofii i Socjologii PAN dotyczące gustów muzycznych Polaków (FA 9/2021).

To nie pierwszy laur Sławka w tym konkursie. Przed rokiem Nagrodę Honorową zdobyła jego praca zatytułowana *Pandemic*

*Time*, będąca jedną z pierwszych odpowiedzi środowiska grafików na problem rozpoczynającej się pandemii koronawirusa.

Sławomir Makal współpracuje z nami od czterech lat. Jest absolwentem Wydziału Architektury Wnętrz Akademii Sztuk Pięknych w Warszawie. Zajmuje się projektowaniem wnętrz, konserwacją dzieł sztuki, malarstwem i grafiką. Uczestniczy w wielu wystawach grafiki. Oprócz Polski jego prace prezentowane były także m.in. w Turcji, Indiach, Korei Południowej, Brazylii, Argentynie, Niemczech, Belgii, Luksemburgu, Danii, Chorwacji, Węgrzech, Słowacji, Czechach, Rosji i Ukrainie. Za swoje dzieła otrzymał wiele krajowych i zagranicznych nagród i wyróżnień, m.in. I nagrodę w konkursie Stowarzyszenia Polskich Artystów Karykatury „Cztery Pory Karykatury. Rysunki Roku 2017” (2017), II nagrodę w International Cartoon Contest „Politics & Sex” w Izraelu (2015), III nagrodę w prestiżowym konkursie Międzynarodowego Stowarzyszenia Rysowników MIKS w Sisaku (2018), nagrodę specjalną XXII Otwartego Międzynarodowego Konkursu na Rysunek Satyryczny w Zielonej Górze (2020), wyróżnienie w ramach Międzynarodowego Konkursu Rysunku Satyrycznego „KARPIK” (2020).

KP



Rys. Sławomir Makal

Krystyna Matuszewska

# Studia z kirkutem w tle

Spod zalanego betonem parkingu, spod luksusowych karoserii samochodów wykładowców prawa i marketingu zaczęła wyłaniać się inna rzeczywistość.

*Artyści i policjanci* to tytuł artykułu (FA 7-8/2014), w którym opisałam zaskakujące konfiguracje wątków edukacyjnych w uczelniach niepublicznych. „Przykłady można by mnożyć – okazuje się, że (...) grafika może sąsiadować z chemią, pielęgniarstwem, wychowaniem fizycznym, ekonomią, matematyką, ochroną środowiska i innymi kierunkami, które trudno byłoby nawet logicznie pogrupować (...)”. Niż demograficzny nieco zwerifikował ambicje rektorów, którzy pragnęli zmieścić w swojej ofercie edukacyjnej jak największą ilość kierunków. Po prostu zaczęło brakować kandydatów na studia. Niektóre przedziwne konfiguracje oparły się jednak upływowi czasu. Tytułowi artyści i policjanci nadal spotykają się w murach jednej poznańskiej uczelni, położonej w dodatku na terenie dawnego cmentarza żydowskiego. Wyższa Szkoła Umiejętności Społecznych, utworzona w 1997 roku uczelnia niepubliczna, od początku przyjmowała w swoje progi funkcjonariuszy służb mundurowych, którzy musieli uzupełniać wykształcenie, aby po transformacji ustrojowej zachować dotychczasowe stanowiska. W 2006 roku dołączyli do nich artyści z likwidowanej Scholi Posnaniensis – Wyższej Szkoły Sztuki Stosowanej. Odważna decyzja ówczesnego rektora, prof. Michała Iwaszkiewicza, o przyjęciu artystów okazała się jednocześnie świetnym przedsięwzięciem biznesowym. Na nowo otwartych kierunkach: wzornictwie i architekturze wnętrz, rozpoczęli naukę studenci wszystkich roczników, przeniesieni ze Scholi wraz z pełną poświęcenia kadrą artystyczną, dla której los studentów okazał się ważniejszy niż gratyfikacje finansowe. Uznani artyści – profesorowie tytularni pracujący za minimalną pensję krajową w uczelni o charakterze biznesowym – są z pewnością unikatowym zjawiskiem w skali całego szkolnictwa wyższego.

## Na podwórzu nic nadzwyczajnego

I jakby mało było tych egzotycznych wątków, w tle mamy jeszcze żydowski cmentarz. Początkowo nic w otoczeniu nie zwiastowało jego istnienia. Teren, na którym znajduje się szkoła, należy do Międzynarodowych Targów Poznańskich. Studenci, idąc ulicą Głogowską w kierunku uczelni, mijali niepozorną, zdewastowaną bramę. Widać było przez nią podwórze kamienicy, na które wychodziły okna biblioteki i sal wykładowych rozmieszczonych w budynku szkoły. Na podwórzu nic nadzwyczajnego: blaszane garaże, nieutwardzona, po deszczu błotnista nawierzchnia, zaparkowane samochody lokatorów. W pewnym momencie nieefektywne miejsce zaczęło jednak przyciągać uwagę. Trudno w tej chwili odtworzyć, która z wirtualnych ścieżek doprowadziła do artykułu pt. *Kirkut przy ulicy Głogowskiej*, w każdym razie obok zwykłego zainteresowania tekst dotknął jakichś głębszych, trudnych do określenia obszarów.

Spod szkolnego, zalanego betonem parkingu, spod luksusowych karoserii samochodów wykładowców prawa i marketingu zaczęła wyłaniać się inna rzeczywistość. Przecież cmentarz jest dla Żydów miejscem świętym.

Kirkut założony w 1803 r. miał ok 4 ha powierzchni, pochówki odbywały się do roku 1939. W czasie wojny Niemcy zdewastowali cmentarz, macewy wykorzystali do budowy dróg i przepustów wodnych, a wiele z nich utwardziło dna sztucznych, budowanych przez jeńców jezior – Maltańskiego i Rusalki. Do dziś ocalał tylko fragment muru cmentarnego od strony wspomnianego już podwórza. Pod ziemią wciąż jednak znajdowały się groby, wśród nich grób wybitnego uczonego rabina Akivy Egera. W końcu, z inicjatywy lokalnej gminy żydowskiej i Eliakima Schlesingera, przewodniczącego Komitetu Ochrony Cmentarzy Żydowskich, rozpoczęły się prace nad rekonstrukcją fragmentu kirkutu oraz macewy nad grobem rabina.

Akiva Eger urodził się w 1761 roku w miasteczku Eisenstadt, leżącym wówczas na terenie Węgier. Po studiach we wrocławskiej jesziwie, ślubie i przeprowadzce do Leszna poświęcił się studiowaniu Tory i kształceniu uczniów. Z zachowanych przekazów wynika, że jako młody nauczyciel nie narzucał swoim uczniom jednego schematu studiów, pozostawiając czasami ważne pytania bez odpowiedzi i pozwalając na własne poszukiwania. Po pewnym czasie Akiva Eger z oporami odpowiedział na zaproszenie gminy żydowskiej w Mirosławcu do przyjęcia godności rabina. Jak wyznał w liście do przyjaciela, wolałby sam utrzymywać rodzinę, pełniąc obowiązki stróża nocnego lub szamarza, niż pozostawać na utrzymaniu członków ubogiej gminy. Wkrótce jednak stał się znany jako sprawiedliwy, uczony, dbający o ubogich przywódca gminy religijnej. Jego sława dotarła do Poznania, skąd niebawem przyszło kolejne zaproszenie. W 1815 roku Egerowi powierzono urząd rabina poznańskiej gminy. Podobnie jak w Mirosławcu rabin Eger prowadził intensywną działalność nauczycielską, kształcił kolejne pokolenia późniejszych rabinów, studiował Torę, pisał komentarze, przy czym nie ograniczał się tylko do spraw związanych z religią. W 1831 roku, w czasie epidemii cholery, z ogromną energią nadzorował pracę szpitali, troszczył się o środki finansowe na opiekę medyczną i o potrzeby rodzin zmarłych. Brak osobistych wymagań, bardzo skromny tryb życia, rosnąca wciąż i przekraczająca granice Wielkopolski sława uczonego przyniosły Egerowi honorowy tytuł wielkiego gaona Poznania. Akiva Eger zmarł 12 października 1837 roku. Liczny kon-

dukt pogrzebowy, do którego dołączyli także chrześcijańscy mieszkańcy miasta, odprowadził go na miejsce ostatniego spoczynku. Nad grobem umieszczono skromną macewę z napisem: „Tu spoczywa Rabin, nasz rabin Akiva Eger. Odszedł do sług Bożych w świętej gminie Markisch Friedland i w świętej gminie Poznań. I został zabrany do swego ludu w czwartek 13 dnia Tiszri w roku (5)598 według krótkiej rachuby”. Wizerunek rabina Akivy Egera możemy obejrzeć na obrazie Juliusa Knorra, znajdującym się w Muzeum Historii Miasta Poznania.

### Jak książki w starej bibliotece

Z autorem projektu upamiętnienia miejsca pochówku Akivy Egera, śp. Jackiem Wilczakiem, artystą plastykiem i architektem, absolwentem poznańskiej ASP, spotkałam się przed kilku laty, przed bramą prowadzącą na teren podwórka-cmentarza. Jacek Wilczak przyjął wówczas rolę przewodnika, wyjaśniając szczegóły realizacji: „Widzimy tutaj bramę ze stalowych prętów, ażurową, przez którą można zobaczyć wnętrze podwórza. Nowa brama zawiera elementy oznaczające istnienie pewnych sił, które emanują z dołu, i wykwitają w postaci gwiazdy Dawida. W 2002 roku otrzymałem propozycję zaprojektowania swoistego miejsca pamięci. Rabin Schlesinger nie chciał, aby powstało w tym miejscu muzeum, proponował odtworzenie fragmentu cmentarza. Pojawiła się pierwsza trudność: gmina nie posiadała szczegółowej dokumentacji cmentarza, dysponowała jedynie zdjęciem lotniczym, bardzo ogólnym. Kolejna trudność architektoniczna i projektowa – trzeba było pomyśleć

o tym, aby przy wszystkich zmianach zostały zachowane funkcje podwórza, z którego mogą korzystać mieszkańcy kamienicy.

W tej chwili znajdujemy się w jedynym fragmencie cmentarza, który nie został rozkopany w czasie stawiania budynków targowych. Według rabina Schlesingera, który posługiwał się metodami radiestezyjnymi, mieści on ok. 200-300 grobów. Profesor Janusz Marciniak z UAP opowiadał mi, że obserwował działania Schlesingera z okna sąsiedniej kamienicy. Zrobiły na nim duże wrażenie. Profesor namalował później obraz nawiązujący do tej sytuacji. Muszę dodać, że rabin Eliakim Schlesinger przypomina postać Żyda znanego z polskiej literatury: długa siwa broda, kapelusz, charakterystyczny długi surdut.

W czasie ustalania ilości i lokalizacji poszczególnych grobów wydarzyła się ciekawa historia:

Rabin, posługując się różdżką, odkrył także groby w odległości 3-4 metrów przed dawnym ogrodzeniem cmentarnym. Dopiero po pewnym czasie, na podstawie informacji od mieszkańców, dowiedzieliśmy się, że w oficynach sąsiadujących z cmentarzem w okresie walk o wyzwolenie Poznania znajdował się radziecki szpital. Ranni żołnierze, którzy umierali, byli chowani na miejscu, pod płotem cmentarza.

Wracając do podwórka, chodziło o to, aby zagospodarować jego przestrzeń przy użyciu jak najprostszyc środków. Rabin Schlesinger sugerował, by wykorzystać fragment dawnego ogrodzenia cmentarza, czyli mur z łukami i niszami, który został częściowo wyremontowany a częściowo odbudowany i przykryty dachówką. Stanowi on granicę cmentarza i jednocześnie



Lapidarium na podwórku przy ul. Głogowskiej

Eugeniusz Matejko, *Autoportret*

jest pewnym ekranem – tłem dla kamiennych macew. Targi zdemontowały wcześniej dawne ogrodzenie ażurowe, jego przesłania chciałem wykorzystać w jednej z wersji projektu, lecz rabini stwierdzili, że obecność stalowych przęseł nad grobami nie jest korzystna dla spoczywających szczątków. W czasie projektowania starałem się uwzględniać życzenia rabinów, a także wnuków Akivy Egera mieszkających w Manchesterze i w znacznej części finansujących prace.

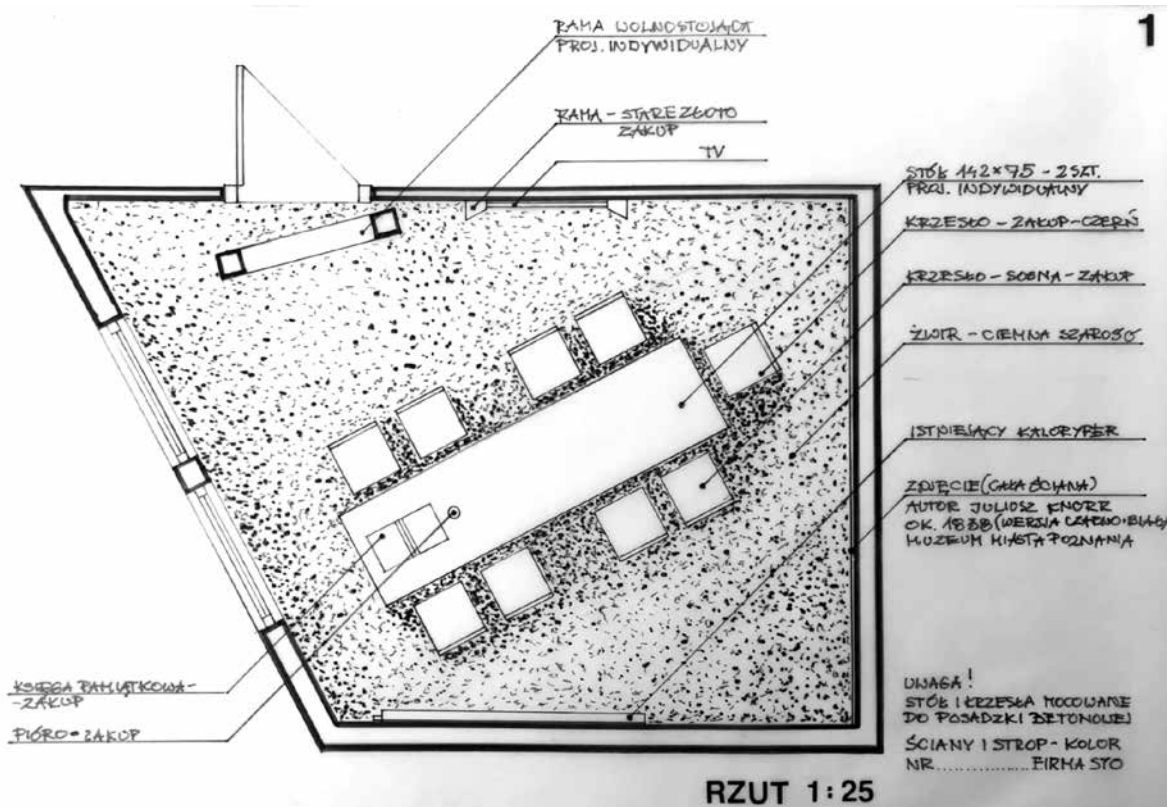
Projekty macew... po pierwsze są symboliczne, forma jak najbardziej skrótowa. Jeżeli chodzi o napisy, w przypadku Akivy Egera został odtworzony oryginalny tekst. Liternictwo – hebrajskie. Każdą z liter trzeba było poddać „obróbce” komputerowej, potem na podstawie projektu wszystkie prace wykonał kamieniarz. Czarny granit został zaproponowany przez sponsorów, pierwotnie proponowałem szary – polski, ze Strzegomia bardziej zbliżony do oryginału.

W części cmentarza, zgodnie z życzeniem rabina Schlesingera, posiano trawę i poukładano na niej fragmenty starych, przedwojennych macew. Chciałbym, aby w przyszłości podwórze pełniło rolę lapidarium. Projekt zakłada poukładanie odzyskanych macew jedna obok drugiej, jak ksiąg w starej bibliotece. Kilka oryginalnych macew, wykonanych z glazów polnych, odnalazłem w piwnicznych studzienkach budynków targowych.

Osobiście uważam, że sama idea upamiętnienia kilkusetletniej obecności Żydów w Poznaniu z ich oryginalną kulturą jest tak istotna, iż na pewno warto cierpliwie do niej dochodzić. Wszystkie formalności zajęły nam cztery lata.

W międzybramiu od strony ul. Głogowskiej wiszą trzy zaprojektowane przeze mnie tablice w trzech językach: polskim, angielskim i hebrajskim, które w największym skrócie opowiadają historię tego miejsca. Zaproponowałem umieszczenie napisu: »Dzięki życzliwości mieszkańców...«. Bo w istocie, pośród różnych trudności, spotykaliśmy się także z życzliwością i zrozumieniem. W czasie przygotowań odbyły się przynajmniej dwa spotkania z mieszkańcami dzielnicy Łazarz z udziałem rabina Schlesingera. Rozmawialiśmy o projektach przedstawionych w postaci rysunków i zdjęć. Reakcje mieszkańców były różne. Po wystąpieniu rabina, który charakteryzując postać Akivy Egera, wspominał, że to szczególne miejsce będzie promieniować błogosławieństwem i przynosić powodzenie, pewna osoba ostentacyjnie prychnęła i wyszła z sali. Natychmiast jednak inni uczestnicy spotkania zaczęli przepraszać Schlesingera za jej zachowanie. Jeżeli chodzi o głosy krytyczne, nie wszystkim podobała się idea odtworzenia cmentarza pod ich oknami. Spokojnie tłumaczyliśmy, że teren będzie zielony, uporządkowany, a ogólny widok na pewno korzystniejszy niż obecny. Zarejestrowany przez „Gazetę Wyborczą” wątek antysemitki w wypowiedziach mieszkańców był raczej odosobniony.

Chcę powiedzieć, że jestem wierzącym i praktykującym katolikiem. Prace rozpoczynaliśmy akurat wtedy, gdy wybuchła sprawa książki napisanej przez Grossa. W pewnym momencie wydawało się, że zepsuje nam wszystko, co z trudem budowaliśmy. Na szczęście wzajemne relacje dosyć szybko się uspokoiły.



Projekt Izby Pamięci Akivy Egera



Portret Akivy Egera w Izbie Pamięci

W czasie rozmów z członkami gminy żydowskiej z Polski czy zagranicą miałem okazję słyszeć jakiś żal do świata. Zawsze odpowiadałem: wierzę w to szczerze, że jesteście narodem wybranym do różnych sukcesów na niwie nauki – ilu noblistów, muzyków, wspaniałych artystów ma korzenie żydowskie. Ale również wybranym do największej próby, do cierpienia. Jak napisał Gombrowicz w dziennikach: »Ktoś, kto uświadamia sobie, że jest Żydem, musi mieć pełną świadomość co to znaczy, w czym bierze udział...«.

### Skromność posadzki

Lapidarium zaprojektowane przez Jacka Wilczaka zostało otwarte w 2008 roku. W uroczystościach wzięł udział prof. Eugeniusz Matejko z UAP, który jest także wykładowcą uczelni położonej na terenie kirkutu. Nie spodziewał się wówczas, że kilkanaście lat później rozpocznie pracę nad projektem uczelnianej Izby Pamięci poświęconej Akivie Egerowi.

„Propozycja przygotowania projektu, którą otrzymałem od władz uczelni, była dla mnie ogromnym zaskoczeniem. Miejsce w sensie wnętrza było raczej marne: strop i ściany nadwyższone eksploatacją. Nie wiedziałem, jakie środki finansowe przeznaczono na ten cel, ale zarzykowałem, postanowiłem pójść na całość i wykonać projekt, do którego w stu procentach będę przekonany. Koncepcja rodziła się długo, ponieważ nie wiedziałem do końca, co w tej izbie pamięci powinno się znaleźć, nie było żadnych artefaktów. Postanowiłem więc zrobić wewnątrz symboliczne, wręcz plakatowe. Zaczęłem czytać opracowania na temat kultury żydowskiej, przeglądać informacje dotyczące Akivy Egera. Szukałem znaków, znaczeń, symboli. Wcześniej w projektowaniu nie posługiwałem się takimi środkami, preferowałem zabiegi czysto formalne i byłem raczej przeciwnikiem narracyjnego projektowania. Tym razem skorzystałem z pewnej narracji, która jednak nie musi być dla każdego oczywista. Wydawało mi się ważne, żeby w przestrzeni

pojawił się wizerunek Akivy Egera, dlatego dokonałem wyboru fragmentu obrazu Knorra, ukazującego rabina na poznańskim rynku, w otoczeniu innych Żydów. Dziekan, prof. Grzegorz Nowicki, opracował ten fragment, nadając mu postać czarno-białego zgrafizowanego zdjęcia. Wprowadziłem do wnętrza pewne elementy, które wydawały mi się dosyć oczywiste, a więc stół i krzesła. Jesteśmy przecież na uczelni, prowadzimy zajęcia dydaktyczne, akurat ja uczę projektowania nie przy sztalugach tylko przy stole, dookoła którego siedzą studenci. Akiva Eger także zajmował się pedagogiką, a uczniowie przyjeżdżali do niego nawet z innych krajów. Tak więc pojawił się znak w postaci stołu i dziewięciu krzeseł: jednego w kolorze czarnym, symbolicznie przeznaczony dla rabina, i ośmiu zrobionych z szarzonego drewna sosnowego. Krzesła zostały na stałe przymocowane do posadzki, żeby utrzymać jakiś porządek we wnętrzu, a po drugie, aby pokazać pewien stały kontekst kształcenia, szkoły, uczelni. Zresztą można to sobie różnie interpretować. Następnym bardzo ważnym elementem w tym wnętrzu jest brama, która ma bogatą symbolikę: wejście, przejście – może też w inną czasoprzestrzeń. Jest to symbolika otwarta, można o niej dużo mówić, ale nie o to chodzi. Kolorystyka nawiązuje do ubioru żydów i do tałesu – szalu modlitewnego, choć jedna z moich studentek doszukała się tu nawiązań do twórczości Mario Botty. Jak widać, skojarzenia mogą być różne, a Mario Botta to akurat jeden z lepszych współczesnych architektów. Na ścianie bardzo dyskretnie pojawiła się gwiazda Dawida. Ważnym elementem jest posadzka, długo zastanawiałem się, z czego ją wykonać, w końcu postanowiłem wysypać istniejącą podłogę żwirem. Skromność posadzki odnosi się do osobowości Akivy Egera, ale też budzi skojarzenia z nawierzchnią cementarza. Oczywiście ryzykowałem, nigdy wcześniej nie zastosowałem we wnętrzu takiej posadzki, ale chodziło mi również o efekt dźwiękowy – szelest. Pojawił się także bardzo współczesny element w postaci monitora, na którym wyświetlono interesujący film na temat Akivy Egera, autorstwa prodziekana dr. Michała Woźniaka. Strop podwieszony został wymieniony na gipsowy z umieszczonym dookoła, ale ukrytym oświetleniem, wprowadzającym odpowiedni nastrój. Ważną rzeczą była również jednolita, oliwkowa kolorystyka. W kulturze żydowskiej drzewo oliwne jest symbolem trwałości i długowieczności, a kolor oliwki oznacza sprawiedliwość.

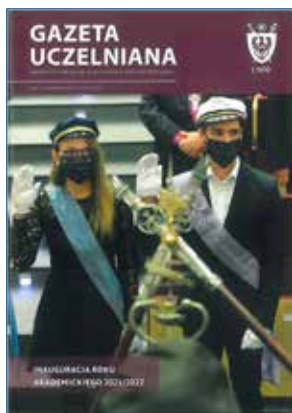
Przy okazji projektu brałem udział w bardzo interesujących spotkaniach i konsultacjach z prof. Rafałem Witkowskim z Wydziału Historii UAM, panią Alicją Kobus, przewodniczącą Gminy Żydowskiej w Poznaniu i ks. dr. Jerzym Stranzem, dyrektorem Muzeum Archidiecezjalnego w Poznaniu, zaangażowanym w działalność ekumeniczną. Gdy dyskutowaliśmy o moich koncepcjach, upewniałem się, że one mają jakiś sens. O dziwo trafiłem w pewne oczekiwania rozmówców, co było dla mnie miłym zaskoczeniem. Do końca nie byłem pewny, czy dojdzie do realizacji projektu, na szczęście znaleźli się sponsorzy. Gdy zapadła decyzja, ucieszyłem się, gdyż wiadomo, że projekt jest projektem, ale to realizacja stanowi istotę sprawy. Uroczyste otwarcie Izby Pamięci rabina Akivy Egera nastąpiło 17 stycznia 2022 w czasie obchodów Dni Judaizmu, które zbiegły się z ekumenicznym Tygodniem Modlitw o Jedność Chrześcijan. Byłem zaskoczony ilością znamienitych gości, po otwarciu odbywały się dalsze spotkania z udziałem duchownych różnych wyznań. To było dla mnie bardzo mocne przeżycie, nie spodziewałem się, że będzie aż tak mocne. Wnętrze jest niewielkie, ale ma dla mnie niesamowite znaczenie”.

Fragment Izby Pamięci z symboliczną bramą i stołem



### Usprawnienia mile widziane

Powodzenie każdego projektu uzależnione jest od wielu czynników. Odpowiednia metoda działania, szczegółowo opracowany plan ewaluacji poszczególnych etapów i dobrze dobrany zespół wdrożeniowy to elementy, które muszą się ze sobą zająć, by można było liczyć na osiągnięcie końcowego sukcesu. O tym, jak wiele wysiłku i pracy trzeba włożyć, by w praktyce zrealizować założone cele, opowiada „Gazecie Uczelnianej” (nr 6/2021) prof. dr hab. Agnieszka Piwowar, prorektor ds. studentów i dydaktyki Uniwersytetu Medycznego im. Piastów Śląskich we Wrocławiu.



Jako przykład skutecznie zrealizowanego pomysłu rozmówczyni podaje uruchomienie systemu elektronicznego planowania i rozliczania dydaktyki. Doprowadzenie do finalizacji projektu udało się w głównej mierze dzięki wysiłkowi i zaangażowaniu pracowników uczelni, którzy poświęcili mnóstwo energii i czasu, by sprostać postawionemu przed nimi zadaniu. To zupełnie nowe rozwiązanie

ułatwić ma prowadzenie wielu spraw, przynosząc wymierne korzyści zarówno nauczycielom akademickim, jak i studentom. Na liście wprowadzonych udogodnień, o których wspomina prof. Piwowar, znalazł się także proces inwentaryzacji. Opisanie sal wraz z wyposażeniem, a następnie wskazanie ich potencjału w połączeniu z wprowadzeniem tych ujednoczonych danych do systemu, w znaczny sposób przyczynić się ma do usprawnienia działalności obejmującej zakres planowania zajęć dydaktycznych.

Jako iż wszystkie podejmowane działania mają na celu podniesienie jakości oraz uporządkowanie wykonywanych codziennie czynności, ważne jest, podkreśla rozmówczyni, by każdy z uczestników procesu kształcenia, aktywnie włączył się w realizację prowadzonych prac.

### Niezwykłe zbiory dostępne dla wszystkich

Z poczynionych obserwacji wynika, że w naszym kraju wzrosło w ostatnim czasie zainteresowanie cyfrowym dostępem do obiektów z obszaru dziedzictwa nauki. Ukłon w kierunku osób zajmujących się poszukiwaniem dziejowej spu-



ścizny poczynił Uniwersytet Papieski Jana Pawła II w Krakowie, którego naukowcy zaangażowali się w prace nad stworzeniem portalu internetowego Cyfrowe Archiwum Archidiecezji Krakowskiej.

Jak informuje biuletyn „Vita Academica” (nr 3-4/2021), prace nad opracowaniem i digitalizacją do tej pory dostępnych dla nielicznej grupy odbiorców, a niezwykle cenny

archiwaliów potrwają do końca 2022 r. Po tym czasie szerokie grono zainteresowanych – w tym badacze, nauczyciele, uczniowie, a także przewodnicy turystyczni i pasjonaci zafascynowani przeszłością – uzyska dostęp do zbiorów zgromadzonych w Archiwum Kurii Metropolitalnej w Krakowie, Archiwum Diecezji Lwowskiej i w archiwach parafialnych znajdujących się na terenie diecezji bielsko-żywieckiej. Unikatowe pod względem naukowym, kulturowym oraz historycznym świadectwa minionych czasów, związane m.in. z sądownictwem, administracją, życiem duchowym czy obyczajowym, trafią w ten sposób do otwartego dostępu. Ogółem liczy się, że w Internecie udostępnionych będzie ponad tysiąc jednostek archiwalnych, a w całym okresie realizacji projektu uda się wykonać ponad pół miliona skanów, których wysoką jakość zapewni kupiony specjalnie w tym celu specjalistyczny sprzęt służący do skanowania dokumentów, rękopisów, a także starodruków oraz książek za pomocą metody fotograficznej.

Całe przedsięwzięcie realizuje Pracownia Inwentaryzacji i Digitalizacji Zabytków Uniwersytetu Papieskiego Jana Pawła II w Krakowie, a dofinansowanie projektu pochodzi z Programu Operacyjnego Polska Cyfrowa.

### Działają na ziemi i w kosmosie

Współpraca w zakresie technik i technologii kosmicznych – taki cel łączy podmioty, które weszły w skład Klastra Technologii Kosmicznych. Grono, złożone z dwudziestu czołowych polskich przedsiębiorstw i podmiotów eksperckich ma zadbać o rozwój techniki i technologii służących „dostarczeniu na rynek elementów systemów satelitarnych”, a w przyszłości chce stworzyć w pełni funkcjonalne systemy kosmiczne. Wojskowa Akademia Techniczna występuje w tym kręgu jako lider projektu „Nanosatelitarna konstelacja optoelektronicz-



nego rozpoznania obrazowego PIAST (Polish Imaging SaTellites)”.  
WAT jednak nie tylko kosmicznymi technologiami stoi. O tym, że warszawska uczelnia potrafi skutecznie działać także w przyziemnej atmosferze, świadczy fakt otrzymania wyróżnienia w konkursie organizowanym przez Narodowe Centrum Badań i Rozwoju *Uczelnia dostępna*. Realizowany

w ramach tego działania projekt „Akademia bez barier”, którego celem jest wsparcie osób z niepełnosprawnościami, przyczynił się do wdrożenia nowoczesnych rozwiązań informatycznych, stworzenia mobilnej aplikacji dla osób niewidzących i słabowidzących, a także odpowiedniego zmodyfikowania istniejącej infrastruktury, niwelując w ten sposób bariery architektoniczne. W ramach projektu udzielona została także, w formie bezpłatnych konsultacji, pomoc psychologiczna wszystkim tym, którzy zwłaszcza w okresie pandemii wyjątkowo jej potrzebowali.

Więcej informacji na temat zaangażowania WAT w różnego rodzaju praktyczne aktywności znaleźć można na łamach pisma „Głos Akademicki” (nr 9-10/2021).

Aneta Zawadzka

Marek Misiak

# Bez złych intencji

To ważne, że coraz więcej badaczy zleca fachowcom pracę nad szatą językową manuskryptów jeszcze przed ich złożeniem w czasopiśmie. Tak przygotowane teksty są z reguły na naprawdę dobrym poziomie poprawnościowym, co nie znaczy jednak, że są wolne od błędów.

Praca redaktora w wydawnictwie naukowym uczy pokory. Pracuje się na tekstach będących rezultatem złożonych badań prowadzonych przez ludzi, którzy nabywają trudną wiedzę i umiejętności od wielu lat, aby móc realizować takie projekty. Niektórzy z tych badaczy znają angielski na tyle dobrze, że mogliby mnie zastąpić, natomiast ja w żadnym razie nie mógłbym zastąpić żadnej z tych osób. Moim zadaniem jest doszlifować szatę językową, czyli sposób, w jaki autorzy wyrazili swoje myśli. Nie mam natomiast i nigdy nie będę posiadał kompetencji pozwalających na merytoryczną ingerencję w artykuł. Jeśli zatem zdarza się, że któryś autor czegoś w procesie redakcji nie rozumie albo ma o czymś błędne wyobrażenie, nigdy nie jest to dla mnie pretekstem do czucia się od kogokolwiek mądrzejszym. Umiejętności związane z redagowaniem oraz z organizacją pracy redakcji czasopisma naukowego są częścią mojego profesjonalnego przygotowania i doświadczenia, a nie dowodem na jakieś szczególne wybraństwo. Dlatego omówione poniżej nieporozumienia wyjaśniam za każdym razem wyczerpująco i cierpliwie. Autorzy mają prawo nie wiedzieć tych rzeczy, a częścią mojej pracy jest pomaganie im, również w taki sposób. Często moi rozmówcy są zawstyżeni swoją niewiedzą. Zapewniam, że gdyby niewiedza wśród ludzi w ogóle ograniczała się do takich kwestii, to żylibyśmy w (prawie) idealnym świecie.

Dość częstym nieporozumieniem jest tzw. aktywny numer DOI (digital object identifier). Od kilku lat jest on podstawowym sposobem oznaczania w cyberprzestrzeni opublikowanych w formie elektronicznej (lub także w taki sposób, obok wersji papierowej) artykułów naukowych, książek, ale także pojedynczych ilustracji, tabel i zbiorów surowych danych. DOI, w odróżnieniu od identyfikatora URL, nie zależy od fizycznej lokalizacji dokumentu, lecz jest do niego na stałe przypisany, umożliwia zatem odnalezienie go nawet wówczas, gdy zmieni się jego lokalizacja w sieci, a stary adres URL po prostu przestał działać i nie odsyła do nowego. Identyfikator przestaje być aktywny tylko wtedy, gdy dany dokument (w naszym przypadku artykuł naukowy) całkowicie zniknie z internetu. Jeśli artykuł jest dostępny jedynie za opłatą, DOI odsyła do jego bezpłatnie dostępnego abstraktu.

Czego dotyczy nieporozumienie? Momentu, od którego numer DOI staje się aktywny, tzn. jego wklejenie do zwykłej wyszukiwarki internetowej umożliwia odnalezienie publikacji. Żeby zaś artykuł był w taki sposób dostępny, wymaga to po prostu jego publikacji. Zatem aktywny numer DOI to numer

DOI opublikowanego artykułu. Ponieważ od zaakceptowania artykułu do publikacji po zakończeniu procesu peer review do momentu jego opublikowania mija od kilku tygodni do kilku miesięcy, a weryfikacja dorobku naukowego czy rozliczenie grantu nie może czekać, większość czasopism wystawia na żądanie autorów zaświadczenie, że manuskrypt został przyjęty do publikacji. Wprowadzenie publikacji w trybie ahead of print, gdzie artykuł jest publikowany od razu, gdy tylko jest gotowy (tzn. przejdzie ostatnią korektę redakcyjną po korekcie autorskiej), niezależnie od tego, do jak odległego zeszytu czasopisma został przypisany, pozwoliło skrócić czas oczekiwania, ale jeśli liczy się każdy tydzień, to prawem autora jest otrzymać taki dokument i na jego podstawie określać w bibliografiach swój artykuł jako in press (w druku).

Taki dokument nie zawiera numeru DOI danego artykułu. Wprowadzie identyfikator ten jest już umieszczony na wersji przysłanej do korekty autorskiej, ale jest to wciąż jedynie proponowany numer DOI. Nieporozumienia biorą się stąd, że systemy służące do zgłaszania artykułów do czasopism naukowych z reguły współpracują z serwerami którejs z organizacji uprawnionych do nadawania DOI i już w momencie akceptacji artykułu do druku w systemie przypisują mu ten identyfikator. Zostanie on jednak aktywowany przez organizację nadającą DOI dopiero w momencie publikacji. Podanie proponowanego numeru DOI w zaświadczeniu o przyjęciu artykułu do druku mija się z celem, gdyż stanowi on jedynie wewnętrzną propozycję między redakcją a organizacją nadającą te identyfikatory. Ponadto redakcja wystawia wprawdzie zaświadczenie o przyjęciu do druku, ale nie oznacza to, wbrew pozorom, gwarancji publikacji. Odrzucenie artykułu na tym etapie jest już mało prawdopodobne, ale autor może doprowadzić do wpadnięcia manuskryptu do tzw. limbo. Tak redaktorzy określają artykuły, które pozostają w stanie wiecznego oczekiwania, ponieważ autorzy nie odesłali korekty autorskiej albo ignorowali ważne wątpliwości redaktorów językowych.

## Natychmiast pozbyć się kompleksów

Warto wiedzieć, że artykuł niespełniający wymogów co do poprawnego języka i klarowności wyводу nie może zostać opublikowany w cieszącym się renomą czasopiśmie, gdyż wpływałoby to na wiarygodność zarówno tytułu, jak i tych, którzy tekst napisali. Redaktorzy ponawiają co jakiś czas próby kontaktu z autorami takich tekstów, ale sam mam w swoim limbo

kilka artykułów czekających – z winy autorów – na publikację od dwóch-trzech lat. Proponowane numery DOI tych artykułów jak dotąd nie stały się aktywne.

Znakomita większość autorów traktuje jednak poprawność językową swoich tekstów z należytą powagą. Nierzadko tłumaczą się ze swojej rzekomej przeciętnej znajomości angielszczyzny (w tym języku pracuję), podczas gdy zarówno sam artykuł, jak i wyjaśnianie wątpliwości redaktorów jednoznacznie pokazują, że powinni natychmiast pozbyć się jakichkolwiek kompleksów. Redaktor jest wyłącznie po to, żeby pomóc, a nie po to, by oceniać czyjejkolwiek kompetencje językowe, zwłaszcza na tak małej próbce. Niestety zdarzają się także sytuacje, gdy autorzy chcą w swoisty sposób zabezpieczyć się przed głęboką weryfikacją językową. Załączają do artykułu informacje, że tekst został już sprawdzony przez fachowców (tłumaczy, wynajętych redaktorów lub firmy zajmujące się scientific writing) i są zdziwieni, że materiał podlega normalnej redakcji językowej. Chciałbym zostać dobrze zrozumiany: to ważne, że coraz więcej badaczy zleca fachowcom pracę nad szatą językową manuskryptów jeszcze przed ich złożeniem w czasopiśmie. Tak przygotowane teksty są z reguły na naprawdę dobrym poziomie poprawnościowym, co nie znaczy jednak, że są wolne od błędów. Po pierwsze, wszyscy jesteśmy tylko ludźmi i także fachowcy mogą się pomylić lub coś przeoczyć. Zdarzało mi się niestety sprawdzać artykuły opatrzone poważnie wyglądającymi potwierdzeniami poprawności z poważnie wyglądającymi firm, które roily się od błędów. Po drugie, angielszczyzna

pozwała na znacznie większą niż wiele innych języków swobodę (ale nie dowolność) w pisowni, interpunkcji i stylistyce, a moim zadaniem jest również dostosowanie każdego artykułu do obowiązującej w danym czasopiśmie konwencji wydawniczej. Takie potwierdzenia można zatem załączyć do zgłaszanego artykułu, ale ze świadomością, że nie będzie to miało na nic wpływu. Są trzy rzeczy, przed którymi nie ma ucieczki: śmierć, podatki i weryfikacja językowa.

Powyżej wspomniałem zaświadczenia o przyjęciu artykułu do publikacji. Bywa, że autorzy proszą o takie zaświadczenie jeszcze w trakcie procesu recenzyjnego. Wiem, że wynika to z goniących terminów, ale recenzenci zawsze mogą zarekomendować odrzucenie artykułu, a wtedy wystawiony przeze mnie dokument poświadczalby nieprawdę, więc muszę odmówić. Częściej zdarza się jednak coś innego: autorzy proszą o wystawienie zaświadczenia o zgłoszeniu artykułu do czasopisma albo o przyjęciu go do recenzji. Teoretycznie mógłbym sporządzać takie dokumenty, tyle że nie poświadczaliby one niczego konkretnego. Nie bez powodu w bibliografiach uwzględnia się artykuły przyjęte już do publikacji, lecz jeszcze nieopublikowane, ale nie manuskrypty dopiero nadesłane lub recenzowane. To, że materiał został wysłany do recenzentów, oznacza tylko tyle, że przeszedł wstępną weryfikację formalną (czyli np. pasuje do profilu czasopisma), a redaktor naczelny lub tematyczny nie dokonał tzw. desk rejection, czyli odrzucenia bez recenzji. Nie ma jednak żadnej gwarancji, że recenzje będą pozytywne. W wielu renomowanych czasopismach



Fot. Stefan Ciechan

współczynnik odrzucania manuskryptów przekracza 75% wszystkich nadesłanych.

### Oczekują weryfikacji wstępnej

Niektórzy autorzy chcieliby uzyskać jakiś poziom pewności na samym początku, a nawet jeszcze wcześniej, na etapie, który można by nazwać zerowym. Co jakiś czas otrzymuję pocztą elektroniczną artykuły z pytaniem, czy czasopismo byłoby nimi zainteresowane, podczas gdy jedyną formą zgłaszania manuskryptów jest wspomniany już służący do tego specjalny system informatyczny. Badacze ci nie chcą najwyraźniej angażować się w kilkuetapowy proces rejestracji manuskryptu bez wstępnej deklaracji zainteresowania publikacją ze strony redakcji, oczekują zatem przeprowadzenia czegoś w rodzaju weryfikacji przedwstępnej. Rozumiem chęć ekonomizacji wysiłku i oszczędzania czasu, ale warto pamiętać o dwóch kwestiach. Po pierwsze, takiej przedwstępnej weryfikacji nie mogą dokonać ani ja (jestem filologiem, nie naukowcem), ani redaktor naczelny, który jest specjalistą w konkretnej dziedzinie i opiekę nad artykułami spoza niej zleca redaktorom tematycznym o odpowiedniej specjalności, a wciąganie w tę nieformalną procedurę innych osób prowadziłoby do dezorganizacji pracy redakcji. Po drugie, prowadzi to do pojawienia się kolejnego, nieformalnego etapu weryfikacji i jeśli zgodzę się raz, a wieść się rozniesie, zadziała efekt stopy w drzwiach i po kilku miesiącach pewna część autorów nie będzie zgłaszać prac drogą wskazaną przez redakcję w oficjalnych wytycznych, tylko szukać tyl-

nego wejścia. Artykuły należy zgłaszać tak, jak wskazuje to dana redakcja. Rozsyłanie ich w kilka miejsc i szukanie nieformalnej oceny nic nie da. Rozumiem, że w obliczu silnej konkurencji i surowych wymogów ewaluacyjnych na uczelniach badacze mogą szukać dróg optymalizacji wysiłku, ale jako redaktor niestety nie mogę przyłączyć się do tych poszukiwań.

Redaktor może mieć wobec niektórych próśb autorów związane ręce, choć technicznie spełnienie takich wniosków byłoby możliwe. Ograniczają go bowiem umowy z bazami danych, w których indeksowane są publikowane artykuły, a także z organizacjami branżowymi, takimi jak zajmujący się kontrolą standardów etycznych Committee on Publication Ethics (COPE). Złamanie zasad, na jakie zgodziła się redakcja, nawiązując współpracę z danym podmiotem, często wiąże się z wykluczeniem z danej inicjatywy. W praktyce chodzi tu przede wszystkim o korygowanie już opublikowanych artykułów, a raczej brak takiej opcji. Gdy czasopisma były rozpowszechniane w formie papierowej, jasne było, że po wydrukowaniu danego zeszytu poprawki są możliwe tylko w formie wkładanych lub wklejanych errat, co było kłopotliwe, a nierzadko także kosztowne oraz realne tylko wówczas, gdy egzemplarze nie zostały jeszcze rozesłane do bibliotek i prenumeratorów. Współcześnie wiele periodyków naukowych wychodzi tylko w formie elektronicznej, co zdaje się wywoływać u niektórych autorów przekonanie, że skoro ich artykuł wisi po prostu na stronie internetowej czasopisma, to nic prostszego jak podmienić PDF, jeśli już po publikacji ujawniono jakiś błąd. Niestety, to nie takie proste.

Po pierwsze, z reguły artykuł jest nie tylko umieszczany na stronie WWW pisma, ale także wysyłany w celu indeksacji do szeregu baz, a nie we wszystkich z nich możliwe jest poprawianie raz zdeponowanego materiału. Zatem redakcja mogłaby skorygować wersję na swojej stronie, ale w wielu innych i często odwiedzanych miejscach cyberprzestrzeni będzie już krążyć wersja pierwotna. Po drugie, zbyt częste takie poprawianie bez ważnego powodu może się skończyć utratą przez czasopismo wiarygodności i usunięciem z danej bazy. Po trzecie, niektóre czasopisma, choć ich wersją podstawową (zwaną też pierwotną; ang. primary) jest ta elektroniczna, wciąż drukują też kilkanaście-kilkadziesiąt egzemplarzy papierowych, gdyż wymagają ich niektóre biblioteki i inne instytucje – i tych egzemplarzy też nie będzie się już dało zmienić. Po czwarte zaś i najważniejsze, niektóre bazy danych wprost stawiają warunek, że raz opublikowany jako ahead of print artykuł nie może być już potem modyfikowany; publikacja oznacza, że materiał przyjął ostateczną formę, jak w przypadku papierowego egzemplarza. Płonne mogą się też okazać nadzieje, że zmiany nikt nie wykryje. Niektóre podmioty przeprowadzają kontrole czasopism członkowskich pod tym kątem. Zatem zmiana na stronie WWW czasopisma byłaby możliwa, ale jej ewentualne konsekwencje na tyle poważne, że jest mało realne, by redakcja podjęła takie ryzyko. Wyjście jest tylko jedno: redaktorzy powinni maksymalnie przykładać się do pracy, a autorzy starannie wykonywać korektę autorską. Wówczas jest duża szansa, że po publikacji nie zostaną już wykryte żadne (poważne) błędy.

Gdy pojawi się któreś z powyższych nieporozumień (lub inne), autorzy często wylewnie dziękują mi za wyrozumiałość. Jestem przekonany, że przez wielu z nich nie przemawia kurtuazja – naprawdę są przekonani, że w jakimś sensie zależą od mojej życzliwości. Tymczasem redaktor nie zasiada w wieży z kości słoniowej, co jakiś czas obdarzając kogoś niezastudzoną łaską. Celem mojej pracy jest doprowadzenie do możliwie szybkiej publikacji artykułów ocenionych i zakwalifikowanych do druku przez specjalistów w danej dziedzinie, zatem gram w tej samej drużynie, co autorzy. Mam być nie wyrozumiały, tylko pomocny.



# Miejsce na prawdę w wirtualnym świecie

## Kilka słów o dezinformacji i co możemy z nią zrobić

Kłamstwo! Nieprawda! Fałsz! Fake news! Te sformułowania odmiennie są niemal przez wszystkie przypadki, w dodatku w wielu językach świata. W ostatnim czasie pandemii wirusa Sars-Cov-2 zjawisko dezinformacji za pomocą fake newsów nabrało niespotykanego dotąd, realnego wymiaru. W tym kryzysowym momencie społeczeństwa na całym świecie doświadczyły wpływu fake newsów na decyzje polityczne, społeczne oraz zdrowotne. Pojawia się jedynie pytanie, czy potrafimy się przed tym szkodliwym wpływem obronić?

Z badań ilościowych wynika, że fake newsy są zjawiskiem powszechnym, znanym i postrzeganym jako wysoce niebezpieczne. Mimo licznych prób nie udało się jak dotąd opracować metody na tyle skutecznej, aby wyeliminować ten problem. Możliwe, że jednym z powodów jest fakt, że zjawisko to jest przede wszystkim analizowane metodami ilościowymi, które dostarczają wielu informacji o skali, wpływie społecznym czy sposobie funkcjonowania fałszywych wiadomości, ale nie dostarczają odpowiedzi na pytanie dotyczące przyczyny takiego stanu rzeczy. Dlatego w książce *Fake news. Geneza, istota, przeciwdziałanie* ukazuję to zjawisko jako element szerszych procesów związanych z przekazywaniem i odbiorem informacji, by zastanowić się nad jego przyczynami i sposobami zwalczania

skutków. Jednym z najważniejszych wniosków jest ten, że zarówno dziennikarze, jak i odbiorcy mają wpływ na funkcjonowanie i rosnącą liczbę fałszywych przekazów.

### Fake news czyli co?

Mimo iż sformułowanie „fake news” wzbudziło zainteresowanie i szybko stało się popularne w języku potocznym, to stało się ono tak wieloznaczne, że czasami trudno zrozumieć jego istotę. W literaturze istnieją liczne – węższe i szersze – definicje, które zwracają uwagę na różne aspekty tego zjawiska. W celu systematyzacji wiedzy w mojej książce sformułowałam definicję, która objaśnia, czym właściwie są fake newsy: są to nieprawdziwe przekazy medialne przedstawiane w mediach jako newsy, ale niebędące rzeczywistymi informacjami. Mogą być intencjonalnie tworzone przez autorów albo stać się fake newsami w procesie dystrybucji za pomocą mediów społecznościowych, poza kontrolą pierwotnego autora. Fake newsy mogą też różnić się od siebie stopniem nieprawdziwości. Będą nimi wiadomości całkowicie zmyślane, częściowo zmyślane lub te, które bazują na faktach, ale ich układ, a w związku z tym przekaz, jest fałszywy. Cel powstawania fake newsów także może być różny. Fałszywe wiadomości mogą powstawać z pobudek finansowych, politycznych, w celu skupienia lub rozproszenia uwagi odbiorców oraz dla żartu.

Oprócz zdefiniowania samego terminu „fake news” istotne jest umiejscowienie go w kontekście różnie pojętych zjawisk związanych ze szkodliwymi, złośliwymi (z ang. malinformation) bądź fałszywymi wiadomościami (z ang. misinformation, disinformation). Złośliwe wiadomości są zazwyczaj prawdziwe, ale zawierają treści niedozwolone lub pozyskane w nielegalny sposób np. prywatne maile czy rozmowy, tajne dokumenty lub raporty itp. Z powodu braku możliwości wery-



Rysunek 1. Fake news w kontekście większych zjawisk związanych z zakłóceniami w procesie przekazu informacji

Źródło: Opracowanie własne

fikacji tych treści tworzy się przestrzeń na niedopowiedzenia, półprawdy i manipulacje, a w efekcie dochodzi do dezinformacji. Z kolei fałszywe wiadomości zazwyczaj kojarzone są z celowym działaniem ich twórców i wówczas są one elementem celowej dezinformacji. Ich zasięgi bardzo często wzmacniają boty i cyborgi, ale istotną rolę pełnią także zwykli użytkownicy mediów społecznościowych, czyli większość z nas. Kiedy udostępniamy fałszywą wiadomość bez weryfikacji, naiwnie wierząc w jej prawdziwość, bierzemy udział w procesie niezamierzonej dezinformacji, która jednak jest równie niebezpieczna jak ta intencjonalna.

## Rodzaje nieprawdziwych treści w mediach

Fake newsy to bardzo różnorodne zjawisko. Dlatego klasyfikacje fałszywych wiadomości mogą dotyczyć wielu różnych perspektyw: od tych związanych ze stopniem nieprawdziwości aż po uwarunkowania ekonomiczne.

Fake newsy można podzielić:

### 1. ze względu na dystrybucję:

- media tradycyjne (czyli telewizja, radio, prasa),
- media internetowe (internetowe wydania dzienników oraz główne informacyjne strony internetowe np. Wirtualna Polska czy Onet),
- media społecznościowe, platformy mikroblogowe (np. Facebook, Instagram, YouTube oraz Twitter i TikTok, ale także mniejsze serwisy społecznościowe, np. Wykop),
- strony e-commerce (np. Allegro itp.);

### 2. ze względu na stopień nieprawdziwości:

- całkowicie zmyślane (fałszywe przekazy niemające żadnego odniesienia do faktów),
- zmyślane w części (fałszywe przekazy wykorzystujące poszczególne fakty do podbudowania fałszywej teorii lub wniosku),
- zmanipulowane (np. prawdziwe informacje podane w złej kolejności lub bez kontekstu oraz manipulacje związane z multimediami),
- clickbaity (sensacyjny tytuł, który nie odnosi się do treści wiadomości);

### 3. ze względu na intencję:

- intencjonalne (mające na celu oszukanie lub nabranie odbiorcy); można je podzielić ze względu na motywację powstania: dla żartu, dla zysków (finansowych, popularności), w celu zwrócenia uwagi na jakąś sprawę lub odwrócenia uwagi od czegoś, by wzbudzić skrajne emocje społeczne (strach, gniew), dla [uzyskania/wywarcia] wpływu politycznego/władzy, w celach propagandowych,
- nieintencjonalne (wynikające z błędu, niezrozumienia lub niedokładności),
- powstałe w procesie dystrybucji (czyli wiadomości, które poprzez udostępnianie zostały oderwane od kontekstu powstania, a w związku z tym ich odbiór uległ zafałszowaniu, np. żart lub newsy satyryczne);

### 4. ze względu na rodzaj treści:

- satyryczne (wiadomości humorystyczne, np. posty serwisu „AszDziennik” oraz wszelkie treści satyryczne, które oderwane od kontekstu mogą wydawać się poważne i wprowadzać odbiorców w błąd),
- mylące (wszelkie błędne lub pomyłkowo udostępnione treści na temat osób lub zdarzeń; zyskujące duże zasięgi w procesie dystrybucji),
- zwodnicze (treści, które zwodzą odbiorców np. tytułem, czyli niektóre clickbaity, lub intencjonalnie wykorzystujące fakty, by kogoś oczernić, a także powstałe w dobrej wierze),
- plotkarskie (newsy dotyczące celebrytów, sportowców itp., niemające żadnego pokrycia w faktach),

- pseudonaukowe (komunikaty powołujące się na rzekome badania naukowe lub instytucje o dużym autorytecie naukowym bez konkretnych źródeł lub manipulujące źródłami naukowymi w celu wykreowania fałszywej teorii; będą to też przekazy manipulujące metodami badań statystycznych oraz sondażami),

- konspiracyjne (wszelkie teorie konspiracyjne i spiskowe, nieoparte na faktach, a także te, które pisane są w konwencji spiskowej, ale oderwane od tej konwencji tworzą odrębny, fałszywy przekaz),

- ekstremalne (treści dotyczące ekstremalnych wydarzeń, np. zamachów terrorystycznych, wojny, tragicznej śmierci osób publicznych, publicznego okaleczenia i wszystkich tematów mających na celu zastraszenie odbiorcy lub zwrócenie jego uwagi na drastyczne zdarzenia),

- społeczne (wszelkie treści dotyczące wydarzeń społecznych, społeczników, organizacji pożytku publicznego lub mniejszości, a także niebezpieczeństwa lub zagrożenia zdrowia ludzi bądź zwierząt),

- historyczne (są to treści historyczne lub związane z regularnymi, rzeczywistymi wydarzeniami społeczno-historycznymi, przedstawiające nieprawdziwą wersję zdarzeń lub manipulujące faktami na dany temat),

- polityczno-gospodarcze (przekazy dotyczące spraw politycznych i gospodarczych, polityków lub biznesmanów, przedstawiające fałszywy obraz działań politycznych i gospodarczych lub prezentujące skrajnie jednostronny, a zatem zafałszowany obraz rzeczywistości politycznej bądź poszczególnych polityków),

- światopoglądowe (treści dotyczące religii oraz wszelkiego rodzaju światopoglądu).

Choć specyfika zastosowanych zabiegów manipulacyjnych w każdym z obszarów tematycznych jest nieco inna, to widoczna jest charakterystyczna tendencja związana ze sposobem tworzenia fake newsów. Najpopularniejszą metodą zwodzenia i manipulowania odbiorcami jest słowo pisane i zabiegi stylistyczne, a dopiero w drugiej kolejności jest to obraz. W związku z tym nasuwa się optymistyczny wniosek, że wciąż powstaje niewiele fake newsów, które w celu weryfikacji wymagają skomplikowanych umiejętności technicznych, dostępnych jedynie specjalistycznym redakcjom. Krytyczną analizę tekstu może przeprowadzić każdy użytkownik Internetu i jest to z pewnością pozytywna wiadomość. Z drugiej jednak strony, skoro każdy może dokonać takiej analizy, dlaczego tak się nie dzieje? Dlaczego krytyczne spojrzenie na dostępne przekazy sprawia ich odbiorcom taką trudność?

Wydaje się, że wzmózone występowanie manipulacji językowych i wizualnych w fałszywych wiadomościach może wynikać z niskiego poziomu znajomości tych środków w polskim społeczeństwie, spowodowanego niewystarczającą edukacją w obszarze kompetencji cyfrowych i informacyjnych. Kompetencje cyfrowe odnoszą się do technicznych umiejętności weryfikacji źródeł i informacji za pomocą narzędzi internetowych, na przykład: zaawansowane wyszukiwanie Google, wyszukiwanie obrazem, używanie narzędzi do sprawdzania powiązań stron i organizacji w celu oceny wiarygodności źródła itd. W książce *Fake news. Geneza, istota, przeciwdziałanie* wszystkie te narzędzia zostały wymienione i szczegółowo omówione. Rozwój kompetencji cyfrowych stanowi fundament, na którym należy budować skuteczny system odporności na przekazy dezinformacyjne. Niektórzy naukowcy wskazują, że zwłaszcza młodzi ludzie szybciej dostosowują się do rozwoju nowych technologii pod względem technicznym, ale trzeba podkreślić, że sama umiejętność technicznego posługiwania się nowymi technologiami nie jest wystarczająca w skutecznym przeciwdziałaniu

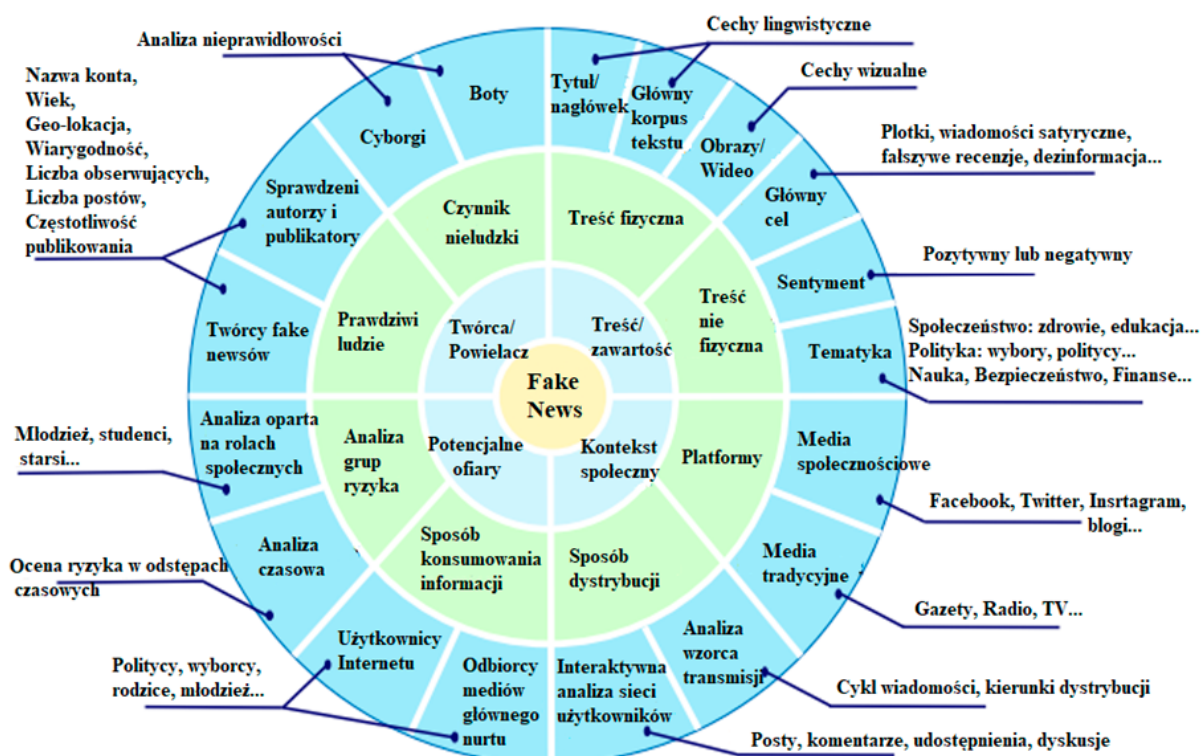
niu dezinformacji. Kompetencje cyfrowe pomagają rozpoznać twarde fake newsy, czyli takie, które zawierają oczywiste kłamstwa lub zmyślenia, ale nie są wystarczające przy subtelniejszych manipulacjach. Do ich rozpoznania potrzebne są kompetencje informacyjne. Kompetencje informacyjne nie są tożsame z kompetencjami cyfrowymi, gdyż wymagają większej koncentracji na merytorycznych zdolnościach interpretacji niż na umiejętnościach technicznych. Wymagają zatem większego skupienia na psychologicznych mechanizmach pozyskiwania oraz przetwarzania informacji, a także – o czym dość często się zapomina – zdolności do krytycznej ewaluacji oraz rewizji własnych przekonań. Wydaje się, że to właśnie wysokie kompetencje informacyjne stanowią główny wyznacznik tego, czy użytkownik w ogóle zechce podać w wątpliwość przyswajane treści i je zweryfikować. Wzmacnianie tych kompetencji koresponduje z odkryciem, że super fake newsy (element dezinformacji intencjonalnej) tak dobrze udają prawdziwą wiadomość i tak zreżymie wpisują się w przekonania lub postrzeganie rzeczywistości przez swoich odbiorców, że ci nawet nie dostrzegają, w którym momencie zostają wprowadzeni w błąd, a zatem nawet nie rozpoczynają procesu weryfikacji. Dlatego rozwijanie kompetencji informacyjnych jest tak ważne. Jednak potrzeba do tego regularnej praktyki i ćwiczeń. W polskim systemie edukacyjnym przewidziane są liczne analizy krytyczne tekstów kultury, ale zdaje się, że są one związane bardziej z umiejętnością nazwania środków literackich oraz odczytania znaczeń i intencji twórców danego dzieła literackiego, zwłaszcza w kontekście historycznym. To ważne i cenne umiejętności, które jednak nie wydają się wystarczające w przypadku współczesnych tekstów kultury, jakimi są teksty dziennikarskie. Chodzi przede wszystkim o znajomość strategii pisarskich, a zwłaszcza technik perswazji i zabiegów retorycznych tworzących linię argumentacyjną danego tekstu, co umożliwi analizę logiczną użytych w nim argumentów. To te umiejętności wydają się kluczowe w kontekście nasilonego występowania manipulacji i fałszu

w przekazach, z którymi spotykają się współcześnie użytkownicy mediów, zwłaszcza społecznościowych.

### Elementy i cechy fake newsa

W odniesieniu do różnorodności przekazów dezinformacyjnych warto nadmienić, że każdy fake news składa się z określonych elementów. Są to: twórca lub powielacz, potencjalne ofiary, kontekst społeczny oraz treść. Opierając się na poznanych elementach fałszywych treści, można określić konkretne cechy fake newsów.

Z analizy pierwszego elementu, czyli twórcy/powielacza, wynika, że fałszywe wiadomości mogą być produkowane i powielane przez bardzo aktywnych użytkowników sieci, wchodzących w liczne interakcje społeczne i zabierających głos na bieżące tematy, ale także przez fikcyjnych użytkowników i boty, które charakteryzują się większą liczbą osób obserwowanych niż obserwujących. Analiza drugiego elementu, czyli potencjalnych ofiar, pozwala rozpoznać takie cechy fałszywych wiadomości, jak: powiązanie tematyki z potrzebami odbiorców, np. fałszywe wiadomości medyczne skierowane do osób starszych, rozpowszechnianie fake newsów w grupach tematycznych oraz wykorzystanie w tym celu mediów społecznościowych, bazujących na psychologicznych predyspozycjach poznawczych i relacjach międzyludzkich, w celu wzmocnienia zaufania do fałszywej wiadomości. Trzeci element, czyli kontekst społeczny, wskazuje na cechy takie jak: znacznie większa szybkość rozpowszechniania fałszywej wiadomości niż wiadomości prawdziwej (fake newsy rozprzestrzeniają się sześć razy szybciej niż prawdziwe treści!), ogromna popularność na platformach społecznościowych, czyli liczne udostępnienia, polubienia i komentarze, ale także wzmózone powielanie fałszywych wiadomości w obrębie grup jednolitych światopoglądowo lub skrajnych. W czwartym elemencie, czyli treści, można zauważyć z kolei takie cechy jak: polaryzację odbiorców, kontrowersyjność i aktualność tematyczną, wywoływanie skrajnych emocji i odczuć oraz perswazyjność. Cechy fizyczne mogące wskazy-



Rysunek 2. Elementy fake newsa

Źródło: Opracowanie własne na podstawie: X. Zhang, A. Ghorbani, An overview of online fake news: Characterization, detection, and discussion, Information Processing and Management, 2018, 57(2)

wać na fake newsa to natomiast: tytuły pisane drukowanymi literami z dużą liczbą znaków zapytania i wykrzykników, rozpoczynające się od liczby, zawierające słowa, które nie występują w dalszym tekście albo słowa kluczowe budzące skrajne emocje, słowa negujące, liczne multimedia i puste linki odsyłające, otwarty lub zaszyfrowany adres URL, liczne hashtagi i emotikony.

Istotne w kontekście odczytywania i rozprzestrzeniania się fake newsów są także zmienne psychologiczne, zwłaszcza heurystyki dostępności i afektu, dysonans poznawczy oraz psychologiczne uwarunkowania strategii perswazji.

## Metody zwalczania dezinformacji

Najpopularniejszymi sposobami walki z fake newsami są liczne badania naukowe, próbujące ustalić wzór dystrybucji fałszywych wiadomości, fact-checking jako metoda weryfikująca nieprawdziwe wiadomości oraz inicjatywy edukacyjne mające na celu zwiększenie świadomości odbiorców w obszarze kompetencji informacyjnych. Zwłaszcza metody weryfikacji wiadomości, takie jak czytanie horyzontalne i weryfikacja obrazem, okazały się wartościowe nie tylko dla profesjonalnych weryfikatorów, ale także dla wszystkich użytkowników Internetu. Znacznym krokiem w walce z nieprawdziwymi przekazami są też techniki uczenia maszynowego oraz aplikacje umożliwiające techniczne zweryfikowanie prawdziwości poszczególnych elementów fałszywej wiadomości. Jednak wciąż działania te mają ograniczony zasięg i nie uwzględniają potencjalnej przyczyny tak ogromnej skali i popularności fake newsów.

Potrzebne są narzędzia pozwalające na długofalowe i skuteczne zwalczanie popularności i szkodliwego wpływu fałszywych wiadomości. Aby przeciwdziałać kryzysowi zaufania do mediów spowodowanemu przez fake newsy, ważne jest odbudowanie prestiżu zawodu dziennikarza, uporządkowanie obowiązków zarówno nadawców, jak i odbiorców bądź użytkowników mediów internetowych oraz edukacja krytyczna. Ważnymi krokami w celu zwalczania zjawiska fałszywych wiadomości są także wzmocnienie zaufania do mediów tradycyjnych oraz uregulowanie prawne statusu ich pracowników. Aby tego dokonać, należy utworzyć instytucję legitymizującą dziennikarzy, weryfikującą ich działania oraz egzekwującą prawo. Natomiast w przypadku odbiorców istotna jest edukacja medialna, szczególnie w zakresie kompetencji informacyjnych.

## Co możemy i powinniśmy zrobić?

W ramach podsumowania chciałam przypomnieć, że podstawowym celem dezinformacji, oprócz wprowadzania w błąd, jest antagonizowanie społeczeństwa. Podzielone społeczeństwo jest słabsze i łatwiej je kontrolować z zewnątrz, a wspólnie można to robić skutecznie za pomocą mediów. Im bardziej media się polaryzują w swoich przekazach, tym większą otwierają przestrzeń dla dezinformacji. Dlatego ich rola w procesie zwalczania fake newsów powinna być znacznie głębsza niż dementowanie. Aby odzyskać zaufanie odbiorców, zarówno media tradycyjne, jak i społecznościowe potrzebują odnowy i ukierunkowania swojej pracy na budowanie solidarności społecznej i rozwój społeczeństwa obywatelskiego. Żeby to osiągnąć, potrzeba większej rzetelności i transparentności



w wytwarzaniu informacji i ich rozpowszechnianiu, większej niezależności ekonomicznej i politycznej mediów, a także wzmocnienia ich edukacyjnej roli. Takie działania mogą przyczynić się do przeciwdziałania dezinformacji na głębszym poziomie. Natomiast w dłuższej perspektywie kluczowa jest nasza odpowiedzialność obywatelska, opierająca się na edukacji przygotowującej do krytycznego odbioru przekazów medialnych oraz rozumienia psychologicznych procesów poznawczych istotnych w przetwarzaniu informacji. Istotne jest przede wszystkim racjonalne analizowanie przekazów medialnych zamiast kierowania się przy ich odbiorze silnymi emocjami, które nie pomagają nam zrozumieć rzeczywistości. W tym kontekście ważna jest także higiena psychiczna i odpoczynek od

mediów. W mojej ocenie uświadomienie użytkownikom Internetu ich istotnej roli w procesie rozprzestrzeniania, ale też zwalczania dezinformacji oraz wzmocnienie ich odpowiedzialności za działania podejmowane w przestrzeni wirtualnej jest jednym z najważniejszych wyzwań edukacyjnych XXI wieku.

Dlatego istotne jest zaplanowanie systematycznego kształcenia nowych pokoleń do świadomego odbioru i oceny przekazów medialnych. W tym celu cenne wydaje się wykorzystanie specjalistycznego programu edukacji krytycznej oraz wiedzy na temat mechanizmów poznawczych i ich wpływu na postrzeganie przekazów medialnych. Działania te dostarczą przyszłym pokoleniom narzędzi niezbędnych do funkcjonowania w rzeczywistości wirtualnej, w której skuteczne analizowanie napływających informacji staje się kluczową kompetencją. Umiejętność krytycznego myślenia, a zwłaszcza krytycznej analizy przekazów medialnych, wydaje się skutecznym działaniem prewencyjnym przeciwko celowej dezinformacji oraz wywieraniu niedemokratycznego wpływu na społeczeństwo. Natomiast w krótszej perspektywie istotne jest wspieranie organizacji pożytku publicznego w ich działaniach służących wzmocnieniu podstawowych kompetencji analitycznych wśród dorosłych członków społeczności, zwłaszcza tych, dla których przestrzeń wirtualna nie jest czymś naturalnym i wciąż stanowi duże wyzwanie. Edukacja w zakresie weryfikowania wiadomości oraz prostych technik analizy przekazów może stanowić ważny element uporządkowania chaosu spowodowanego przez nierzetelne lub niepoważne wiadomości. Dopiero na tym fundamencie można będzie budować nowe struktury prawne i społeczne związane z funkcjonowaniem fake newsów.

Praca nad wprowadzeniem w życie powyższych rozwiązań wymaga ogromnego wysiłku ze strony państw, właścicieli mediów, dziennikarzy, a przede wszystkim odbiorców i użytkowników środków społecznego przekazu. Niemniej jednak jest to działanie konieczne, nie tylko aby zmniejszyć destrukcyjny wpływ fałszywych wiadomości, ale także aby zawód dziennikarza mógł ewoluować w kierunku merytorycznej i profesjonalnej służby społecznej, która daje satysfakcję, prestiż oraz odpowiednie wynagrodzenie realizującym ją ludziom, oraz aby media społecznościowe stały się płaszczyznami demokratycznej wymiany informacji i służby społecznej.

*Dr Klaudia Rosińska, doktor teologii środków społecznego przekazu, medioznawca, specjalistka ds. dezinformacji i cyberbezpieczeństwa oraz pedagog. Autorka publikacji naukowych na temat psychologicznej podatności na fake newsy i dezinformację w Polsce.*

# Spojrzenie na psychologię mediów

Świat wirtualny sprzyja powstawaniu zbiorowej tożsamości przez pokonywanie uczuć izolacji i wyalienowania. Tożsamość ta powoduje, że członkowie grupy są bardziej wrażliwi na zagrażające jej sytuacje. Przez to angażują się w zachowania agresywne mające na celu ochronę danej tożsamości grupowej.

W XXI wieku media stały się niezbędnym elementem naszego życia. Nic więc dziwnego, że złożone relacje człowieka z mediami stały się jednym z ważnych tematów badań naukowych. Zajęto się nimi m.in. w psychologii, socjologii, kulturoznawstwie, medioznawstwie, filozofii i kognitywistyce. Ponadstuletnie już zainteresowanie psychologów mediami i ich wpływem na odbiorcę, a także integracja wyników ich badań z osiągnięciami reprezentantów innych nauk, doprowadziły w roku 1986 do wyodrębnienia się nowej dyscypliny – psychologii mediów. Książka *Psyche w mediosferze* jest autorskim spojrzeniem na tę stosunkowo nową dyscyplinę naukową. Zawiera ona rys historyczny rozwoju poszczególnych środków (masowego) przekazu, nakreśla charakterystykę psychologii mediów wraz z jej metodami badawczymi, a także prezentuje różne teorie mediów z perspektywy psychologicznej, co pozwala czytelnikowi na zapoznanie się ze złożonymi relacjami między (biernym) odbiorcą lub (aktywnym) użytkownikiem mediów a środkami masowego przekazu. Książka omawia także różnorodne oddziaływania medialne: od zawierających agresję i przemoc, poprzez te o charakterze prospołecznym, aż do reklam i treści zawierających reprezentacje różnych grup społecznych. W pracy zawarłam także opis najważniejszych kierunków badań psychologii mediów w Polsce. Wskazałam również podobieństwa i różnice występujące między tematami, które podejmowane są w obrębie światowej psychologii mediów, a tymi, które spotkały się z największym zainteresowaniem polskich badaczy. Książkę zamyka prognoza rozwoju psychologii mediów, które zmieniają się dosłownie na naszych oczach.

## Agresja medialna

Spośród różnych form oddziaływania środków masowego przekazu na odbiorcę szczególne obawy budziła w przeszłości tak zwana agresja medialna. Nie inaczej jest obecnie, takie seriale jak *Squid game* (2021) bądź hity kinowe jak chociażby seria *Avengers* są podawane jako przykłady rozrywki masowej negatywnie oddziałującej na młodego widza, stanowiącej szczególnie rodzaj zagrożenia dla jego rozwoju. Podobny niepokój budzi także obecność przemocy w grach komputerowych

i w innych nowych mediach, także w tych społecznościowych. Podejrzenia, że środki masowego przekazu mogą rozwijać lub wzmacniać realne zachowania agresywne, stanowiły inspirację do wielu badań, opartych na różnorodnych modelach teoretycznych. Ich szczegółowa dyskusja znajduje się w rozdziale III i IV omawianej książki. W tym miejscu warto wspomnieć o dwóch klasycznych koncepcjach wyjaśniających charakter możliwych oddziaływań. Pierwsza z nich – teoria kultywacji – opisuje tzw. efekt kultywacji, który może mieć miejsce u osób spędzających dużo czasu na oglądaniu agresywnych treści w telewizji bądź na graniu w przemocowe gry komputerowe. W jej świetle użytkowanie tych treści przez dłuższy czas powoduje stopniowe powstawanie u danej jednostki przekonań i opinii zgodnych z obrazem świata prezentowanym w tych mediach. Zwykle będzie to zatem wizja świata pełnego przemocy, przestępstw oraz niebezpieczeństw. Zgodnie ze wspomnianym efektem częstszy kontakt z agresywnymi mediami może doprowadzić do tego, że dany widz będzie przeceniał ilość przemocy występującej w prawdziwym świecie, będzie w mniejszym stopniu ufał innym ludziom, a także podwyższył się u niego poziom lęku.

Pisząc o długotrwałych skutkach użytkowania mediów zawierających przemoc, nie sposób pominąć klasycznej teorii społeczno-poznawczej, zgodnie z którą widzowie lub gracze mogą uczyć się agresywnych zachowań poprzez przejmowanie wzorców przedstawionych np. w telewizji. Dzieje się to wskutek takich procesów jak obserwacja i modelowanie. Jeśli pozytywny bohater otrzymuje nagrody za swoje agresywne zachowanie (wyrażone przez podziw i aprobatę innych bohaterów lub wygraną w rywalizacji itd.), to zachowania takie mogą zostać powtórzone przez widzów w sprzyjających temu okolicznościach. Warto podkreślić, że prawdopodobieństwo naśladowania agresywnych zachowań jest szczególnie wysokie, gdy osoba przejawiająca zachowania agresywne w tekście medialnym ma wysoki status, cechuje się atrakcyjnością oraz gdy jest do widza bądź użytkownika mediów podobna. Modelowaniu, a więc naśladowaniu agresywnych zachowań pokazywanych w mediach, sprzyja także postępowanie danego boha-

tera jako kompetentnego, posiadającego wiele zasobów materialnych. Teza ta znajduje częściowe potwierdzenie w wynikach niektórych badań, np. Muller, Moroco, Loloia i współpracownicy (*Violence Depicted in Superhero-Based Films Stratified by Protagonist/Antagonist and Gender*, „Cureus”, 12(2), 2020) ustalili, że w dziesięciu filmach wchodzących w skład wspomnianej już serii *Avengers* dobrzy bohaterowie prezentują więcej agresywnych zachowań niż ich przeciwnicy. Może to szczególnie sprzyjać przejmowaniu agresywnych wzorców przez młodych widzów, którzy niejednokrotnie identyfikują się z głównymi, pozytywnymi bohaterami.

### Lalka do bicia czy ostry sos

Odpowiedź na pytanie, czy media zawierające agresywne treści rzeczywiście powodują agresję u użytkowników danego środka przekazu, nie jest jednak prosta. Choć temat ten doczekał się dużej liczby badań, wiele z nich posiada istotne ograniczenia i spotkało się ze znaczącą krytyką. Warto wspomnieć jeden z najslawniejszych eksperymentów w historii psychologii – badania Alberta Bandury z 1963 roku, do których wykorzystano dmuchaną lalkę Bobo (Bandura, Ross i Ross, *Imitation of film-mediated aggressive models*, „Journal of Abnormal and Social Psychology”, 66, 1963). Dzieci biorące udział w eksperymencie najpierw oglądały na filmie osobę dorosłą „bawiącą” się z lalką w sposób agresywny, m.in. kopiącą i bijącą ją, a następnie znajdowały się w takim samym pomieszczeniu, z identyczną lalką oraz z zestawem różnych zabawek. Wiele dzieci przejawiało wówczas zachowania agresywne wobec lalki Bobo, zarówno bardzo zbliżone do tych, które wcześniej wyko-

nywała osoba dorosła, jak i nowe. Wyniki te, jakkolwiek bardzo spektakularne, nie udowodniły jednak jednoznacznie wpływu agresji filmowej na agresję odbiorców. Krytyka tych badań dotyczyła między innymi znaczących rozbieżności między medialną agresją a sztucznymi warunkami laboratoryjnymi w eksperymencie Bandury (dotyczy to zarówno filmu, nieprzypominającego „prawdziwych”, agresywnych tekstów medialnych, jak i samego pomieszczenia, w którym prowadzone było badanie). Ponadto w eksperymencie tym zastosowano wskazówki naprowadzające, takie jak lalka Bobo i młotek, które były takie same jak w pokazywanym dzieciom filmie. Mimo olbrzymiego znaczenia tego badania, eksperyment nie odzwierciedlał jednak wystarczająco dobrze rzeczywistych konsekwencji oglądania agresji medialnej.

Ten przykład klasycznego badania eksperymentalnego i jego krytyka bardzo dobrze pokazują, z jakimi trudnościami psychologowie mierzą się, próbując rozwikłać zagadkę agresji medialnej i jej wpływu. Wykorzystanie autentycznych, czyli zbliżonych do rzeczywistości, bodźców jest tylko jednym z takich wyzwań. Sam pomiar agresywności w eksperymentach stanowi problem, ponieważ ze względów etycznych nie można od badanych wymagać, aby dokonywali rzeczywistych aktów agresji wobec innych ludzi. Stąd też psychologowie musieli wykazać się pomysłowością w zoperacjonalizowaniu tego problemu. Obecnie agresywność osoby badanej, która może być wzbudzona po obejrzeniu fragmentu przemocowego filmu lub po zagranii w agresywną grę mierzy się, sprawdzając na przykład, jak dużo ostrego sosu ma z jej polecenia zjeść inny uczestnik eksperymentu.



Fot. Stefan Ciechan

## Zbyt wiele zmiennych

Aby uzyskać dokładniejszy obraz zależności między agresją medialną a zachowaniem odbiorców, często wykorzystuje się procedurę nazywaną metaanalizą, która pozwala na podsumowanie wyników wielu badań. Metaanalizy wykazały występowanie pozytywnego związku między wykorzystywaniem mediów zawierających przemoc a zachowaniem antyspołecznym, jednak zależność ta wynika także z wielu innych zmiennych (zob. Giles, *Media Psychology*, 2003). Rozbieżności w wynikach metaanaliz wskazują na duże zróżnicowanie występujące między poszczególnymi osobami, dotyczące podatności na uleganie wpływowi medialnemu. Co niezwykle istotne, okazało się, że najwyższe efekty (świadczące o najsilniejszych związkach między agresją medialną a późniejszym zachowaniem) zawsze uzyskuje się w eksperymentach, które – jak wspomniano wcześniej – mogą być obciążone wieloma błędami. Na domiar złego w badaniach, w których wykorzystano najmniej autentyczne i najmniej zbliżone do rzeczywistości materiały i sposoby pomiaru, zwykle uzyskiwano efekty o największej sile (Giles, 2003). Mimo tych zastrzeżeń, wyniki większości metaanaliz wskazują najczęściej na słaby bądź średni związek między użytkowaniem agresywnych treści medialnych a zachowaniem.

Mimo olbrzymiej liczby badań dotyczących konsekwencji korzystania z agresywnych treści medialnych, w dalszym ciągu wiele kluczowych zagadnień nie zostało jednoznacznie wyjaśnionych. Zgodnie z opinią wielu badaczy to, jaki wpływ będzie miała agresja medialna na konkretną jednostkę, uzależnione jest nie tylko od właściwości samego tekstu medialnego, ale także m.in. od czynników środowiskowych, takich jak np. życie w środowisku o wyższym poziomie przestępczości i indywidualnych właściwości jednostki. Pozostałe zmienne, które według Winterhoffa-Spurka (*Psychologia mediów*, 2007) mogą sprzyjać pojawieniu się agresji, to zakładanie złych intencji partnera interakcji, przynależność grupowa, odczuwanie złości, a także ogólne pobudzenie, będące wynikiem na przykład hałasu, temperatury itd. Warto tutaj podkreślić, że związek między użytkowaniem (nie tylko agresywnych) mediów a zachowaniem modyfikowany jest przez takie zmienne jak różnice indywidualne, kontekst społeczny, kulturowy i ekonomiczny, a także wcześniejsze doświadczenia danej osoby z określonym rodzajem mediów. Sam sposób oraz cel użytkowania danego tekstu medialnego oddziałuje na jego konsekwencje.

## Aktywna postawa użytkownika

Od kilku już dekad coraz większa liczba badań poświęconych agresji medialnej skupia się na przemoc w nowych mediach, takich jak gry lub media społecznościowe. Jej także poświęciłam osobny fragment podrzdziału w rozdziale IV. W przypadku nowych mediów całkowitej zmianie uległa rola osoby korzystającej z mediów – z biernego odbiorcy stał się on aktywnym użytkownikiem, wchodzącym w interakcję z danymi środkami przekazu i aktywnie kształtującym zarówno treści, jak i formy korzystania z mediów. Główne pytanie, jakie tutaj się pojawia, dotyczy tego, czy aktywna postawa użytkownika

i posiadane przez niego możliwości, np. wpływu na przebieg akcji w grze, są czynnikiem zwiększającym, czy też zmniejszającym niepożądane oddziaływania medialne. Jednym z czynników, który sprzyja uczeniu się wzorców zachowań agresywnych poprzez modelowanie na podstawie postaci w grach komputerowych, jest nagradzanie graczy punktami za takie zachowania jak np. strzelanie, bicie przeciwnika itd. Poza nagradzaniem, w wielu grach agresja jest także usprawiedliwiona, ponieważ stanowi ona niezbędny element zachowania, który pozwala na odniesienie zwycięstwa. Może to wpływać na postrzeganie agresji jako normalnego, powszechnego elementu relacji międzyludzkich. Pozostałe negatywne konsekwencje użytkowania agresywnych gier, takie jak np. desensytyzacja, omówiłam w rozdziale IV książki, jednakże w tym samym rozdziale znaleźć można także liczne informacje na temat pozytywnego wpływu gier. Patrząc na wyniki badań empirycznych ujęte w postaci metaanaliz, z jednej strony uzyskuje się potwierdzenie tezy o negatywnym oddziaływaniu agresywnych gier, ale z drugiej strony wiele wyników jest niejednoznacznych (por. Krahé, *Violent Video Games and Aggression*, w: K. E. Dill (red.), *The Oxford Handbook of Media Psychology*, 2013; Winterhoff-Spurk, 2007). Co więcej, podobnie

jak w przypadku przemocy filmowej i kinowej, również agresywne gry komputerowe najczęściej wybierane są przez użytkowników cechujących się agresywnością.

Nie mniejsze zainteresowanie badaczy wzbudzą różne formy agresji internetowej, także te obecne w mediach społecznościowych. W literaturze często zwraca się uwagę na właściwości Internetu, które czynią z niego bezpieczną przestrzeń dla sprawców agresji oraz pozwalają na nieograniczone sankcjami wyrażanie krzywdzących opinii. Jak wiadomo, świat wirtualny sprzyja powstawaniu zbiorowej tożsamości przez pokonywanie uczuć izolacji i wyalienowania. Tożsamość ta powoduje, że członkowie grupy są bardziej wrażliwi na zagrażające jej sytuacje. Przez to angażują się w zachowania agresywne, mające na celu ochronę danej tożsamości grupowej. Inną właściwością środowisk online sprzyjającą agresji jest większe poczucie anonimowości. Niektórym wydaje się, że w Internecie nie obowiązują powszechnie uznawane w świecie rzeczywistym normy społeczne. Z tego powodu mogą pojawiać się zachowania skrajne i agresywne. Fakt, że wskutek agresji online szkody często nie pojawiają się bezpośrednio po wyrażonej krzywdzie lub pozostają one niewidoczne dla sprawcy, powoduje, że spostrzegany dystans między sprawcą a ofiarą agresji wydaje się większy. Konsekwencje wyrządzenia krzywd innym w cyberprzestrzeni wydają się zatem mniejsze niż w przypadku zachowań offline. W przypadku forów internetowych lub mediów społecznościowych istotne jest także oczywiście znaczenie obserwatorów pochwalających zachowania agresywne. Niektóre badania wskazały, że świadkowie agresji online wykazują większą skłonność do pomagania ofierze w przypadku poważniejszych incydentów agresji; gdy agresja jest mniej nasiloną, jest większe prawdopodobieństwo obwiniania ofiary (Machackova, Pfetsch i Steffgen, Editorial: *Special issue on bystanders of online aggression*, „Cyberpsychology: Journal of Psychosocial Rese-



arch on Cyberspace”, 12(4), 2017). Tym oraz innym negatywnym właściwościom środowisk internetowych, które sprzyjają wystąpieniu zachowań przemocowych, można przeciwdziałać; kilka sposobów pozwalających na prewencję opisałam w charakteryzowanej książce.

Przedmiotem wielu opracowań dotyczących agresji online są negatywne konsekwencje dla danej jednostki. Dotyczy to zarówno jej ofiary, świadka jak i sprawcy. W badaniach wykazano m.in. współwystępowanie cyberprzemocy ze słabym zdrowiem psychicznym, depresją, nadużywaniem substancji psychoaktywnych i wyższym prawdopodobieństwem popełnienia samobójstwa (np. Hinduja i Patchin, *Bullying, cyberbullying, and suicide*, „Archives of Suicide Research”, 14(3), 2010). Należy oczywiście pamiętać, że współwystępowanie nie musi oznaczać przyczynowości. Z drugiej strony wiadomo, że bycie ofiarą mowy nienawiści może sprzyjać obniżeniu poczucia własnej wartości u ofiary, a także powstaniu u niej przekonania o ciągłym zagrożeniu. Niestety kolejną poważną konsekwencją agresji internetowej jest możliwość przeniesienia jej do świata offline.

### Konsumpcja ograniczona i krytyczna

Jak można zapobiegać negatywnym oddziaływaniom agresji medialnej, zarówno pojawiającej się w tradycyjnych środkach masowego przekazu, jak i wyrażanej w nowych mediach? W literaturze przedmiotu można znaleźć wiele propozycji, a najważniejsze z nich zostały szczegółowo omówione w książce *Psyche w mediosferze*. Skutecznym sposobem ochrony najmłodszych przed negatywnym wpływem medialnym jest tzw. mediacja rodzicielska, która może przyjmować rozmaite formy: od wspólnego wraz z dzieckiem korzystania z mediów, poprzez ograniczenie mu pewnych form, treści bądź czasu ich użytkowania, aż po mediację instrukcyjną wymagającą od rodzica/opiekuna wyjaśnień oraz dyskusji na temat danego tekstu medialnego.

W kontekście zapobiegania negatywnym oddziaływaniom przemocy zawartej w grach komputerowych wyróżnia się dwa

różne podejścia: ograniczoną konsumpcję oraz krytyczną konsumpcję. Pierwsze podejście polega na zmniejszeniu ekspozycji dzieci i młodzieży na agresywne treści poprzez różnorodne ograniczenia dostępu, co wiąże się m.in. z systemami klasyfikacji gier, np. PEGI. Mimo informacyjnej wartości, jaką posiadają te systemy, ich działanie nie zawsze jest jednoznacznie efektywne. Mogą one niestety działać na zasadzie tzw. zakazanego owocu, zachęcać dzieci do zainteresowania się grami, które są przeznaczone dla dużo starszych osób. Krytyczna konsumpcja dotyczy natomiast promowania wiedzy na temat oddziaływań mediów obejmującej rozumienie sposobów, w jaki agresja prezentowana jest w mediach, a więc jako zachowanie akceptowalne i pozbawione negatywnych konsekwencji (Krahé, 2013).

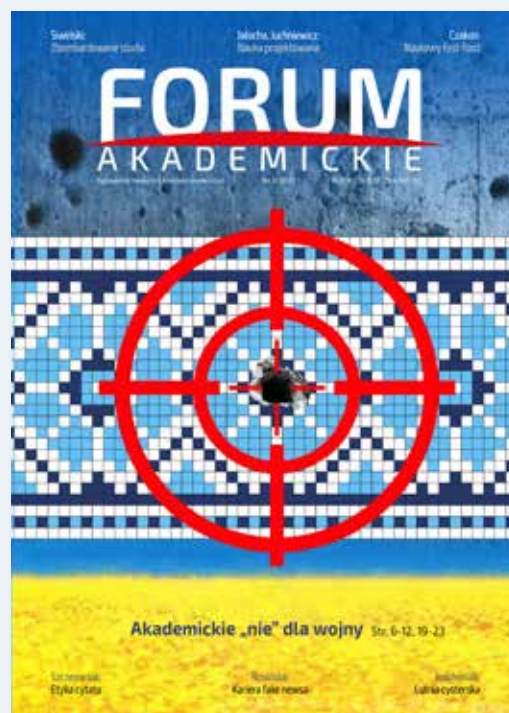
Ważnym sposobem zapobiegania negatywnym wpływom agresji medialnej jest dbanie o rozwój kompetencji medialnych jednostki. Wykształcenie tych umiejętności pozwala nie tylko na obronę przed możliwymi zagrożeniami związanymi z mediami, ale także na efektywne użytkowanie środków przekazu (także w celu np. wykorzystywania ich funkcji dydaktycznych), krytyczne rozumienie treści w nich zawartych oraz na twórcze, ale bezpieczne konstruowanie własnych przekazów medialnych (por. Ptaszek, *Wartości w mediach a kompetencje medialne w zakresie krytycznego odbioru i rozumienia tekstów medialnych*, w: I. Hofman, D. Kępa-Figura (red.), *Współczesne media. Tom pierwszy: Wartości w mediach*, 2014). Ze względu na wszechobecność i znaczenie mediów w naszym życiu, rozwijanie kompetencji medialnych leży w interesie zarówno jednostek, jak i całego społeczeństwa. Zostało to dostrzeżone przez polskich badaczy, dzięki czemu obecnie w literaturze przedmiotu znaleźć można zarówno modele kompetencji medialnych, jak i konkretne propozycje ich kształcenia, także w obrębie edukacji formalnej. Wybrane, kluczowe informacje na temat kompetencji medialnych można znaleźć w książce *Psyche w mediosferze*.

Dr Joanna Pluta, Instytut Psychologii UMCS, Katedra Psychologii Emocji i Osobowości

## Prenumerata „Forum Akademickiego” w 2022 r.

Szanowni Państwo,  
Drodzy Czytelnicy i Sympatycy  
„Forum Akademickiego”.  
Serdecznie zapraszamy do prenumeraty  
„Forum Akademickiego” w 2022 roku.  
Roczna prenumerata dla instytucji  
będzie kosztowała 230 zł;  
prenumerata numerów 1-6: 120 zł, a 7-12: 110 zł.  
Prenumeratorom indywidualnym oferujemy  
specjalną bonifikatę, w związku z czym  
koszt prenumeraty wyniesie 166 za cały rok  
i 86 zł za pół roku.

Redakcja



# Fenomen lutni w opactwie cystersów

Druga połowa XVII i pierwsza połowa XVIII wieku to czasy, kiedy Śląsk stał się jednym z centralnych, a może nawet najważniejszym punktem na mapie Europy w zakresie rozwoju i pielęgnowania sztuki gry na lutni.

Karol Berger w swoim fascynującym tekście „*Ręka Gwidona*” a sztuka pamięci („Muzyka”, 2003) wskazuje, że już od końca średniowiecza, w obliczu coraz większej ilości zasad muzyki, pamięć stawała się niewystarczającym środkiem do satysfakcjonującego jej wykonywania. Z czasem praktyki mnemotechniczne obejmowały nowe obszary performatywne. Wiązało się to również z chęcią coraz dokładniejszego utrwalania muzyki na piśmie. W kulturze europejskiej najwięcej zachowanych źródeł muzycznych ocalało od średniowiecza, zwłaszcza muzyka wokalna i wokлно-instrumentalna, ale znane są również przykłady muzyki instrumentalnej. Jej ilość znacznie wzrosła jednak w okresie nowożytnym. Od XVI wieku działalność instrumentalistów stawała się coraz powszechniejsza, pojawiały się też nowe sposoby wyrazu aktywności muzycznej. Dotyczyło to nie tylko rozwoju form i gatunków muzycznych, ale i technik wykonawczych, budowy samych instrumentów muzycznych, jak również rodzajów notacji muzycznej. Zanim doszło do powszechnego używania współczesnej notacji pięcioliniowej (już zunifikowanej i pozbawionej wielu niuansów zarówno dla muzyki wokalnej, jak i instrumentalnej), pojawiło się szereg różnych ciekawych inicjatyw, zarówno w obszarze notacji muzycznej, jak i poszerzania repertuaru muzycznego oraz kontekstu funkcjonowania muzyki w określonych społecznościach. Szczególnie interesująco prezentuje się w tym kontekście muzyka instrumentalna zapisana notacją tabulaturową. Główne rodzaje tabulatur dotyczą muzyki przeznaczonej na instrumenty klawiszowe (np. organy, klawikordy, klawesyny) i instrumenty strunowe szarpane (np. lutnie, teorby, mandory). Najwcześniejszy przykład na instrumenty klawiszowe pochodzi z ok. 1360 r. (kodeks Robertsbridge), a na instrumenty lutniowe z ok. 1460 r. (rękopiśmienne fragmenty tabulatury lutniowej z Wolfenbüttel – odkrycie Martina Staehelina z 2012 roku).

Proces rozwoju muzyki instrumentalnej można obserwować nie tylko na gruncie ośrodków świeckich, ale i kościelnych, w tym klasztornych. Jednym z najcenniejszych zabytków muzycznych w skali światowej jest tabulatura Jana z Lublina z lat 1537-1548, która zapisana jest w tzw. starej tabulaturze niemieckiej klawiszowej (organowej). Jest to najobszerniejszy zbiór muzyki przeznaczony na instrumenty klawiszowe z szesnasto-

wiecznej Europy, w którym znajdują się utwory m.in. kompozytorów włoskich, francuskich, franko-flamandzkich, niemieckich, polskich. Warto podkreślić, że są tam kompozycje religijne (w tym liturgiczne) i świeckie, a rękopis spisano w środowisku klasztoru kanoników regularnych w Krasniku i Krakowie. Na terenach Europy Środkowej szczególnie interesująco prezentują się rękopisy muzyczne z I połowy XVIII wieku, zapisane w notacji tabulatury lutniowej typu francuskiego (littery alfabetu łacińskiego wskazują wysokości dźwięków na sześciolinii odpowiadającym pierwszym sześciu chóróm lutni), które powstały w opactwie cystersów z Krzeszowa (niem. Grüssau) na Dolnym Śląsku. Jest to 15 rękopisów zawierających ponad 2000 utworów. Nie ma w nich kompozycji liturgicznych, w większości są to kompozycje świeckie, ale są też kompozycje religijne. Co jednak istotne, kolekcja ta należy do najobszerniejszych na świecie i najprawdopodobniej jest przykładem ostatniego w historii tej notacji muzycznej tak obszernego zbioru przeznaczonego na lutnię w stroju  $f^1 d^1 a f d A$  (tzw. strój barokowy). Tym samym rodzi się wiele pytań, m.in. o przyczyny zebrania tak dużej liczby utworów w środowisku klasztornym, rodzaj repertuaru (w większości świeckiej) i kontekst jego funkcjonowania w życiu klasztornym. Na te i kilka innych pytań starałem się odpowiedzieć w swojej książce, *Lutnia w klasztorze. Fenomen dworskiego instrumentu w kulturze Śląska XVII i XVIII wieku*.

## Profesjoniści i amatorzy

W Polsce lutnia wciąż należy do grona instrumentów mało popularnych, choć stopniowo zdobywa coraz większe grono miłośników. W obliczu zachowanych, tak cennych źródeł tabulatur lutniowych warto poświęcić muzyce lutniowej nieco więcej uwagi, a w szczególności specyfice zachowanych rękopisów lutniowych tabulatur w opactwie cystersów w Krzeszowie (dalej jako LTK).

Przykłady zbiorów muzyki lutniowej zachowanych w klasztorach (poza Śląskiem) występowały w tym czasie również na terenach Czech, Słowacji, Austrii i Niemiec. Podobnych rozmiarów zbiór zachował się jednak wyłącznie w opactwie Benedyktynów w Kremsmünster. Biorąc pod uwagę historię duchowości cystersów, ale i historię lutni, jak również kulturę muzyczną

XVII i XVIII wieku, przyjąłem, że lutnia w tym czasie stała się elementem stylu życia osadzonego w europejskiej kulturze dworskiej. Szeroką recepcję tego instrumentu w stosunku do Europy Środkowej, w tym niewątpliwie do Śląska, potwierdzają słowa czeskiego leksykografa i organisty, Thomasa Balthasara Janowki (1669-1741). W haśle „testudo” swojego leksykonu muzycznego opisał lutnię jako instrument znany najbardziej w tej części Europy, niezależnie od zajmowanego miejsca w strukturze społecznej, zarówno w domach zwykłych ludzi, jak i na dworach królewskich. Przenikanie repertuaru wykonywanego na lutni dokonywało się dynamicznie, przez co dochodziło do ciekawych połączeń kompozycji, które znane są najczęściej w kontekście kontrafaktur. W LTK widoczne są powiązania repertuaru z muzyką wykonywaną na dworach królewskich, muzyką obecną w ówczesnej kulturze studenckiej, np. odach Sperontesa, pieśniach kościelnych czy też w obszarze obsady wykonawczej poszerzanej o instrumentarium proveniencji ludowej, np. chalameau, corno da caccia czy nawet drumli, jak w przypadku *Concerto dla o. Bruno Glatzela* z opactwa Benedyktynów w Melk. Na lutni grali zatem nie tylko profesjonalści, ale i ogromna grupa amatorów, miłośników tego instrumentu.

Lutnia była instrumentem względnie uniwersalnym, bo dawała możliwość gry melodycznej i akordowej. Sztuka gry na nim wymagała dużej cierpliwości, wyłożonej pracy i nakładów

finansowych. Słynny hamburski krytyk muzyczny i kompozytor Johann Mattheson (1681-1764) przyrównał koszty utrzymania lutni do kosztów utrzymania konia, w czym z pewnością miał wiele racji. Na utrzymanie konia nie każdy mógł sobie wówczas pozwolić. Zakup samych strun (jelitowych) wiązał się już z niemałym wydatkiem (co ciekawe, tak jest również współcześnie). Zatem nie każdy mógł grać na lutni, a tam gdzie było to możliwe, instrument ten uchodził za symbol wytworności i elegancji. Z czasem utożsamiano go ze sztuką w stylu galant, co wiązało się nie tylko z szeroką popularnością w kręgach tak zwanej kultury wysokiej. Potwierdzają to słowa wrocławskiego lutnisty i komentatora życia muzycznego Ernsta Gottlieba Barona (1696-1760), iż lutni na próżno było szukać w śląskich i czeskich tawernach, gdyż nie do takich miejsc była przeznaczona.

Szczególnie ciekawa jest sytuacja kultury muzycznej Śląska, regionu, z którego pochodzi grupa najbardziej wpływowych artystycznie lutnistów drugiej połowy XVII i pierwszej połowy XVIII wieku, np. Esaias Reusner mł. (1636-1679) i Silvius Leopold Weiss (1687-1750). Zachowane dziedzictwo muzyczne cystersów z opactwa w Krzeszowie, a szczególnie LTK, umożliwia dogłębne poznanie nie tylko recepcji muzyki lutniowej na Śląsku, ale i twórczego udziału cystersów krzeszowskich w wykorzystaniu potencjału muzyki lutniowej do



Caravaggio, *Lutnista*, 1595

aktualnej w tym opactwie działalności kontrreformacyjnej. Ta popularność lutni na Śląsku, w tym zarówno w obszarze kultury świeckiej, a zwłaszcza dworskiej, jak i kultury religijnej, w szczególności klasztornej, pozwala określić to zjawisko jako pewien fenomen, precedens, który już nigdy w dziejach historii kultury się nie wydarzył. Jaką muzykę możemy zatem znaleźć w LTK?

### Lutnia symbolizowała Chrystusa

Znajdują się tam między innymi stylizowane tańce zapisane jako pojedyncze kompozycje, ale też grupy utworów funkcjonujące współcześnie pod nazwą „suity barokowej” z intermezjami tanecznymi i nietanecznymi. Są również utwory przeznaczone na składy kameralne (najczęściej dwoje skrzypiec, wiolę bądź altówkę, basso i oczywiście lutnię), utwory solowe o charakterze improwizowanym, wyrafinowane tombeaux, a także intawolacje (muzyka wokalna przenoszona na instrumenty) i kontrafaktury pochodzące z arii operowych, pieśni świeckich i religijnych, zarówno katolickich, jak i protestanckich. W stosunku do pracy doktorskiej w książce ograniczyłem się jedynie do kompozycji solowych i tych związanych z szerszą działalnością krzeszowskich cystersów w kontekście ich duchowości. Z uwagi na zawile losy LTK i rozproszenie tej kolek-

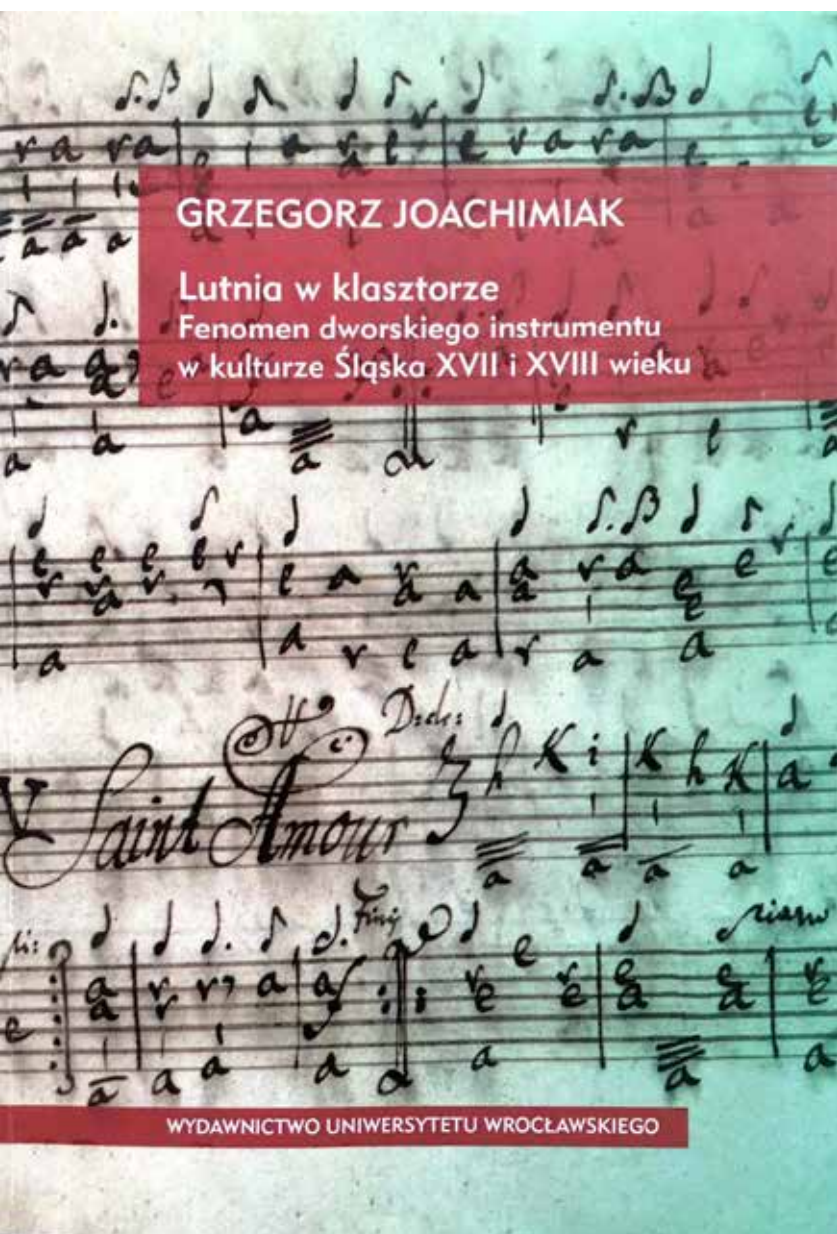
cji (BUW i BN w Warszawie, BUWr we Wrocławiu, zbiory R. Nydahla w Sztokholmie, jeden rękopis zaginiony), niezbędne było uwzględnienie ich historii, zarówno całej kolekcji, jak i kwestii proveniencyjnych. Wykorzystałem do tego narzędzia badań paleograficzno-kodykologicznych i filigranistycznych. W zakresie źródłowym niezwykle istotne było sięgnięcie w tym kontekście do korespondencji opactwa cystersów z omawianego okresu, która dotychczas nie została pod tym kątem zbadana. Podejmowane w pracy zagadnienia ikonograficzne (przedstawienia freskowe, graficzne, malarskie), mimo że stanowią kulturowe zaplecze do rozważań nad specyfiką omawianej muzyki, umożliwiły mi „przygotowanie gruntu” do zrozumienia, w jaki sposób cystersi z Krzeszowa przejęli bogatą tradycję tego instrumentu, szczególnie w kulturze europejskiej. Wyjątkowo istotne były w tym nauki duchowego ojca zakonu, św. Bernarda z Clairvaux (1090-1153).

W jednym z rozdziałów *Patrologia Latina* znajduje się przypisywany mu rozdział ósmy *Vitis mystica*. W rozdziale tym, poświęconym interpretacji liści winnej latorośli (*Vitis*), w odniesieniu do słów Jezusa na krzyżu przedstawiono alegorię „cithary”, instrumentu, który rozumiany bywał jako harfa, czasem jako cytra, ale też jako lutnia. W tym kontekście lutnia symbolizowała Chrystusa: „[...] Oblubieniec stał się dla Ciebie lutnią – krzyż ma formę części drewnianej, a ciało stanowi struny rozpięte na płaszczyźnie drewna. Gdyby bowiem nie był rozpięty na drewnie, bynajmniej nie wydałby – jakby grając na lutni – żadnego dźwięku słów, które bardziej mogłyby Cię radować. Patrz uważnie! Lutnia ma siedem strun. Śpiewa dla Ciebie, gra dla Ciebie, zachęca Cię do słuchania, a Ty [duszo chrześcijańska] powinnaś być raczej zachęcać go [Chrystusa] do mówienia. Zobacz więc liście twojej Winorośli i pamiętaj, aby trwale zapisać je w pamięci [...]”. Lutnia była dźwiękowym uzupełnieniem idei podejmowania trudu wędrownicy na unio mystica, wspieranego między innymi przez poezję Johanesa Schefflera, zwanego Angelusem Silesiusem (1624-1677), czy malarskie dzieła Michaela Willmanna (1630-1706). Ignacjańskie zastosowanie zmysłów (*applicatio sensuum*) do poprowadzenia duszy człowieka ku anielskiemu rajowi odbywało się bowiem również w sferze dźwiękowej. Dusza ludzka (*Oblubienica*) cieszyła się, gdy słyszała głos Boga (*Oblubienca*) symbolizowany przez dźwięki lutni. Lutnia postrzegana była jako instrument wręcz metasymboliczny, funkcjonujący na płaszczyźnie wielu kultur i tradycji, pozwalający połączyć profaniczną sferę bogów mitologicznych z sakralną sferą religijną.

Ponadto w drugiej połowie XVII i pierwszej połowie XVIII wieku lutnia była bardzo silnie reprezentowana w kulturze Śląska. Wybierano zatem do LTK najpiękniejsze, wielokrotnie najnowsze, ale też najpopularniejsze dworskie kompozycje taneczne i fragmenty z oper, które w psychicznym procesie sakralizacji świeckiego repertuaru (np. intawolacje, kontrafaktury) stawały się muzyką anielskich chórów, głosem samego Chrystusa, docierającym przez uszy (w myśl średniowiecznej koncepcji *per aurem*) do wykonawcy i słuchacza, dzięki czemu za pomocą idei estetycznego piękna muzyki wykonywanej na lutni dusza ludzka za każdym razem rodziła się jakby na nowo, zbliżając się w swej wędrownicy do doskonałego majestatu Boga, który oczekiwał na strudzonego wędrowca.

### Muzyka – oręż emocji

Warto również dodać, że równoległe do tej koncepcji, istotne były osiągnięcia na polu teorii muzyki. W okresie tzw. baroku to muzyka miała za zadanie zastępować retora



w myśl arystotelesowskiej koncepcji ratio tripartita, o której wspomina w swojej *Retoryce*. Muzyka uznawana była wówczas za oręż, dzięki któremu możliwe było przedstawianie bądź wzbudzanie w odbiorcy określonych emocji, co współcześnie znany pod pojęciem „Affektenlehre”. Ceniono zatem u muzyków znajomość i efektywność w uzyskiwaniu określonych emocji. Służyły do tego różne koncepcje, np. „musique accentuelle” jako muzyczny język namiętności Marina Mersenne’a (*Harmonie universelle*, Paris 1636), „musica scenica” jako odejście od teorii etosu na rzecz wyrażania afektów, ich nauki i wykorzystania na scenie autorstwa Giovanniego Battisty Doniego (*Trattato della Musica Scenica*, wyd. A.F. Gori, Florencja 1763). Dużą popularność zdobyła też koncepcja Joachima Burmeistera dotycząca afektywnych modusów jako przykład oddziaływania tonacji na duszę człowieka (*Musica poetica definitionibus et divisionibus breviter delineata*, Rostock 1606). Znana też była koncepcja „modorum musicorum” Christopha Bernharda, dotycząca liczb i porządku modusów muzycznych oraz ich oddziaływaniu (*Tractatus compositionis augmentatus*, Dresden 1657), koncepcja „musica pathetica” jezuita Athanasiusa Kirchera jako próba podporządkowania teorii afektów kontrreformacyjnym zadaniom muzyki (*Musurgia universalis*, księga VII, Rome 1650), koncepcja afektywnej melodii Johannesa Keplera, dotycząca przebiegu melodycznego (*Harmonices mundi*, Linz 1619) czy koncepcja afektywnej roli tonacji wspomnianego już Johannesa Matthesona (*Der vollkommene Kapallmeister*, Hamburg 1739). Niewątpliwie tych koncepcji było więcej w owym czasie, ale w tym kontekście jest istotne zwrócenie uwagi na funkcjonowanie lutniowego repertuaru w klasztornym życiu cystersów krzeszowskiego opactwa, nawiązywanie z pełną świadomością zarówno do tradycji samej lutni, symboliki wyrażonej przez Miodopłynnego Doktora, jak i potencjale repertuaru na nią przeznaczonego w stylu barokowym, osadzonym na teorii afektów.

Funkcjonowanie muzyki lutniowej w klasztorze możliwe było z kilku powodów. Francja jako kraj uchodzący w XVII wieku za mekkę muzyki lutniowej, już w II połowie XVII wieku nie pielęgnowała tej tradycji w tak intensywny sposób jak wcześniej. Dało to możliwość przejścia kontroli nad tym repertuarem innym środowiskom. Warunkiem społecznej akceptacji była nie tylko znajomość tradycji gry na lutni i umiejętności pozwalające wykonywać zróżnicowaną muzykę, ale też wprowadzanie do repertuaru kompozycji powszechnie wówczas znanych, np. z oper, oratoriów czy kantat. Nie może zatem rodzić zaskoczenia w korpusie kompozycji zachowanych w LTK obecność znacznej liczby kompozycji francuskich twórców, ale też kontrafaktur z włoskich oper, intawolacji pieśni kościelnych, choćby *Cur mundus militat?* autorstwa Jacopone da Todi czy słynne *Lieber Gott! Wann wird' ich sterben*, pieśni, do której tekst napisał wrocławski pastor Caspar Neumann (1648-1715), a którym posłużył się również w swojej kantacie o tym samym tytule Johann Sebastian Bach (BWV 8). Większość kompozycji w tych źródłach jest jednak anonimowa, wyjątkiem są utwory S.L. Weissa i kilku innych, mniej znanych kompozytorów.

## Dlaczego akurat Śląsk

Istotną rolę pełniły również miejsca, w których rękopisy tabulatur lutniowych powstawały. Było to nie tylko opactwo w Krzeszowie, ale i ich prepozytury, głównie w Cieplicach Śląskich Zdroju (niem. Bad Warmbrunn) i najprawdopodobniej również w Wierzbnej (niem. Würben) koło Świdnicy. W szerszej perspektywie repertuar ten ukazuje wpływy zarówno muzyki francuskiej, jak i włoskiej, oczywiście niemieckiej i lokalne (śląskie), ale też cechy typowe dla określonych pobliskich regionów, jak np. Morawy, czy też stylów, np. polskiego, jak ma to miej-

sce w przypadku *Partie Polonoise* B-dur Geoga Philippa Telemanna (TWV 39:1). Śląsk był miejscem, gdzie na styku państwa habsburskiego, księstwa saskońskiego, brandenbursko-pruskiego i Rzeczypospolitej Obojga Narodów dochodziło do oryginalnych realizacji artystycznych dzięki doskonałej również orientacji w procesach kulturowych zachodzących w zachodniej Europie. Do takich okresów należy druga połowa XVII i pierwsza połowa XVIII wieku. Śląsk stał się wówczas jednym z centralnych, a może nawet najważniejszym punktem na mapie Europy w zakresie rozwoju i pielęgnowania sztuki gry na lutni. To grę śląskiego lutnisty Esaiasa Reusnera młodszego podziwiano podczas powitania przyszłej polskiej królowej Ludwiki Marii Gonzagi w Gdańsku w 1646 roku. Jego umiejętności porównywano do gry Orfeusza, jak w *Karnawale cudzoziemskim w Polsce* z około 1700 roku. Z kolei w 1720 roku poeta Johann Ulrich von König, działający na dworze drezdeńskim, napisał, iż nikt nie grał na lutni tak jak Silvius Leopold Weiss, dlatego „tylko Silvius powinien na lutni grać”.

O wyjątkowych umiejętnościach tych muzyków może świadczyć również znakomity odbiór ich koncertów podczas podróży po Europie, które przeradzały się nawet w dłuższe pobyty. Jednym z nich był wyjazd S.L. Weissa do Rzymu, gdzie w „arkadii” Sobieskich najprawdopodobniej czarował swą grą na lutni włoską arystokrację, dodając splendoru polskiej rodzinie królewskiej, współpracował być może z postaciami tego formatu co Arcangelo Corelli (1653-1713) czy Domenico Scarlatti (1685-1757), niewykluczone, że inspirował się też dziełami Alessandra Scarlatti (1660-1725). Ze Śląska wywodziło się bowiem wielu wybitnych lutnistów, których styl gry naśladowano, kompozycje kopiowano, a opinie i krytykę, jak w przypadku tekstów E.G. Barona, cytowano. W ostatnim czasie udało mi się udowodnić, że jeden z cystersów opactwa w Krzeszowie, o. Hermann Kniebandl (1679-1745), był nie tylko lutnistą, ale też kompozytorem i skrypcem kilku rękopisów z tej kolekcji („Early Music” 2021, nr 4).

Jest to jeden z aspektów skłaniających do refleksji i postawienia pytania o przyczyny wpływające na popularność lutni na Śląsku w drugiej połowie XVII i pierwszej połowie XVIII wieku. Dlaczego akurat Śląsk stał się centralnym miejscem rozwoju muzyki lutniowej w tym okresie? W jaki sposób lutniści dochodzili do tak wysokich umiejętności? Instrument ten, choć od średniowiecza szeroko jest reprezentowany w ikonografii sakralnej i świeckiej, często kojarzony jest głównie z kulturą dworską. W II połowie XVII i I połowie XVIII wieku grono miłośników tego instrumentu poszerzało się znacząco, zwłaszcza na terenach Europy Środkowej, gdzie jednym z najważniejszych ośrodków był Śląsk. Były to jednak nie tylko dwory książęce, arystokratyczne czy domy mieszczańskie, ale też ośrodki kościelne, a zwłaszcza klasztory. Szczególne miejsce zajmuje wśród nich opactwo cystersów w Krzeszowie. Szereg odpowiedzi na postawione wyżej pytania i hipotezy znajduje się w mojej książce. Warto podkreślić, że istotnym uzupełnieniem prac nad wspomnianą monografią było przygotowanie i wydanie w 2013 r. płyty CD z muzyką pochodzącą z LTK pt. *Saint Amour. Muzyka z rękopisów tabulatur lutniowych cystersów krzeszowskich*. Dzięki temu znacznie łatwiej mogłem wyobrazić sobie przedmiot badań, muzyki zapisanej w notacji tabulaturowej, ale i poznać bezcenne europejskie dziedzictwo kultury muzycznej z terenów Polski.

Tekst nawiązuje do książki *Lutnia w klasztorze. Fenomen dworskiego instrumentu w kulturze Śląska XVII i XVIII wieku*, opublikowanej przez Wydawnictwo Uniwersytetu Wrocławskiego.

Dr Grzegorz Joachimiak, Instytut Muzykologii Uniwersytetu Wrocławskiego

# Zostać doktorem w Getyndze

## Uniwersytet w Getyndze, mekka matematyków

Doktorem getyńskiej wszechnicy zostać chciało wielu adeptów nauki ze wszystkich stron świata, ale ta sztuka udała się tylko wybranym. Dyplom doktorski tej uczelni miał otwierać drogę do kariery, zapewniać nominację na katedrę. Czy tak było w istocie?

Rozpocznijmy od przedstawienia procedury doktorskiej, jaka obowiązywała na uniwersytecie w Getyndze na przełomie XIX i XX wieku. Przyzwyczajeni do licznych zmian, reform i rewolucji w organizacji nauki, nie powinniśmy się dziwić, że odbiegała ona od współczesnej.

Przede wszystkim młody człowiek rozprawę przygotowywał w zasadzie sam. Zwykle przyszli doktorzy uczestniczyli w seminariach profesorów, którzy proponowali im temat doktoratu i pod opieką których mieli przygotować dysertację. Jednak w przypadku nauk ścisłych, a szczególnie matematyki, nie oznaczało to nawet możliwości prezentacji wyników na tym seminarium. Przed ostatecznym złożeniem gotowej rozprawy profesor dokonywał wstępnej oceny. Do tego obowiązku niektórzy profesorowie, a szczególnie David Hilbert, podchodzili raczej nieodpowiedzialnie. Richard Courant wspominał: „ktoś wręczał mu dysertację [...] Hilbert wręczał ją któremuś z asystentów. Wkrótce jeden z asystentów zauważył, że Hilbert nie czyta prac doktorskich, więc i oni też ich nie czytali. Tą metodą Hilbert aprobował wiele dysertacji i wyprodukował ogromną liczbę doktorantów. Znaczna liczba z nich miała błędne lub wręcz naiwne tezy doktorskie”.

Powróćmy do samej procedury doktorskiej. Doktorant składał rozprawę doktorską i wypełniał formularz, w którym należało podać wiele informacji, np. datę i miejsce urodzenia, narodowość i wyznanie, oraz dokładnie opisać wcześniejszą edukację szkolną i uniwersytecką. Przyszły doktor filozofii sam przedstawiał listę dyscyplin, z których zamierzał zdawać egzaminy doktorskie (rygoroza). Lista obejmowała egzamin główny, bezpośrednio związany z tematyką rozprawy, oraz dwa egzaminy poboczne. Współczesnego czytelnika wybory dokonywane przez doktorantów mogą zadziwić; szczególnie starsi mogą być zaskoczeni faktem, że egzamin z filozofii (tzw. ścisłej) nie był obowiązkowy. Zdarzały się więc zestawy: matematyka, matematyka stosowana i astronomia albo analiza mate-

matyczna, fizyka i geometria, bądź też chemia fizyczna, fizyka i matematyka. Do formularza obowiązkowo dołączone były: podanie, życiorys, potwierdzenie o dokonaniu opłat oraz dokument od recenzenta, potwierdzający, że zapoznał się z rozprawą i ta nie zawiera czegośkolwiek, co uniemożliwiłoby jej druk.

Złożoną rozprawę urzędujący dziekan przysyłał do oceny profesorowi opiekującemu się doktorantem lub doktorantką. Profesor sporządzał ocenę w kilka dni, a recenzję zwykle stanowiła zaledwie jedna strona tekstu, odręcznie wpisana na drugiej stronie formularza, kończąca się oceną. Gdy rozprawa została zaakceptowana, dziekan powoływał komisję egzaminacyjną i ustalał termin egzaminów. Egzaminy odbywały się jednego dnia. Komisja składała się z trzech osób, po jednej na dyscyplinę, oraz dziekana. Jak wspominał chemik Roman Dmowski, też doktor getyńskiej wszechnicy, egzaminy poprzedzały oficjalne wizyty. Doktorant „we fraku, w białym krawacie i takichże rękawiczkach” w dniu egzaminu odwiedzał przyszłych egzaminatorów, ci zaś życzyli mu powodzenia na egzaminie. Późnym popołudniem, zwykle około godziny 18, następowały egzaminy, które trwały przepisowe dwie godziny. Liczba zadanych pytań zależała od dociekliwości pytającego i zapewne od jego temperamentu. Po egzaminach następowała narada, a dziekan oficjalnie ogłaszał wynik.

### Ucałować Elżunię

Do uzyskania promocji na stopień doktora filozofii konieczne było jeszcze wydrukowanie określonej prawem liczby egzemplarzy rozprawy doktorskiej (zwykle 150). Bogatsi i ważniejsi studenci zlecali to najstarszej i najbardziej prestiżowej drukarni Vandenhoecka i Ruprechta, założonej w Getyndze w 1835 roku (to wydawnictwo do dziś jest niezwykle cenione; na ministerialnej liście wydawnictwa znalazło się w nielicznej grupie, której przyznano 200 punktów). Mniej zamożni publikowali w innych getyńskich wydawnictwach, np. u Dietericha

lub w Lipsku czy w Jenie. Ci Polacy, którzy starali się ograniczyć koszty druku, zlecali druk swej rozprawy w rodzimych wydawnictwach.

Uwieńczeniem starań o stopień doktora była uroczysta promocja. Od połowy XIX wieku główne uroczystości odbywały się w Audytorium przy Wenderstrasse. Tu wyznaczony przez władze profesor uniwersytetu, którego zainteresowania naukowe zwykle znacznie odbiegały od tematyki rozprawy naukowej, dokonywał aktu promocji. Po tym następowała znacznie ciekawsza, aczkolwiek nieoficjalna część promocji. Już wypromowany doktor usadzony w ręcznym wózku transportowym – a takich w Getyndze do czasów rozpowszechnienia transportu samochodowego było wiele – **był prowadzony przez korowód przyjaciół i znajomych główną ulicą miasteczka do rynku. Tam, zgodnie ze zwyczajem, młody uczyony musiał wdrapać się na wysoki, wieńczący studnię pomnik gęsiarki Elżuni i ucałować ją.** Tu wspomnienia się różnią: jedni podają, że należało ją ucałować w stopę, inni, że konieczny był pocałunek w usta. Do 1928 roku, w którym wydano oficjalny zakaz, podobno na pomnik wdrapywali się wszyscy absolwenci uczelni. Dziś wypromowani doktorzy bez zakazów wdrapują się na pomnik i poza pocałunkiem zostawiają bukiet kwiatów.

Badacz zagadnienia studiów na niemieckich uczelniach, prof. W. Molik, podaje, że w latach 1886–1919 Polaków, którzy otrzymali dyplom doktora getyńskiej wszechnicy, było 22, w tym 14 uzyskało doktorat z filozofii. W czasie badań na temat studiów i pobytów studyjnych polskich przedstawicieli nauk ścisłych w Getyndze zweryfikowano informację, że w latach 1886–1922 w Getyndze doktorat filozofii w zakresie nauk ścisłych uzyskał (lub zdał egzamin z co najmniej jednej dyscypliny ścisłej) szesnastu Polaków i jedna Polka, z czego tylko dwoje po 1914 roku. Polskość dwóch kolejnych doktorów Uniwersytetu Georga-Augusta wymaga sprawdzenia, a dostęp do materiałów źródłowych jest dziś utrudniony lub, jak w przypadku Białorusi, niemożliwy. Ostateczna liczba może zatem ulec zmianie.

Informacje o kilku polskich doktorach getyńskiej wszechnicy pojawiły się w poprzednich artykułach tej serii. Przypomnijmy ich krótko. Pod opieką Davida Hilberta rozprawy napisali dwaj matematycy, Michał Feldblum (1900) i Hugo Steinhaus (1911). U Woldemara Voigta doktoraty obronili fizycy Józef Wierusz-Kowalski (1889) i Waław Dziewulski (1914) oraz fizyk matematyczny Jan Kroo (1913). Z tej piątki **światowe kariery naukowe** zrobili Wierusz-Kowalski i Steinhaus. Do już

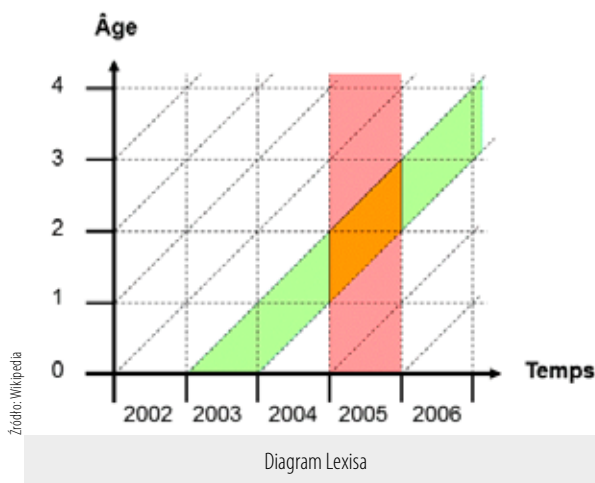
sporej grupy polskich fizyków z doktoratem z Getyngi należy dołączyć Czesława Reczyńskiego (1878–1936), który do Getyngi przybył z Charkowa, gdzie za udział w politycznej demonstracji został relegowany z uczelni. W maju 1905 roku za napisaną pod opieką Emila Wiecherta rozprawę na temat rekombinacji jonów w powietrzu został promowany na doktora filozofii. Wśród jego egzaminatorów byli matematyk Hermann Minkowski i astronom Karl Schwarzschild. W następnym roku Reczyński wraz z Richardem Küchem wynaleźli wysokociśnieniową lampę kwarcową. Reczyński wykładał na politechnikach w Charkowie i we Lwowie.

### Naprawił rozumowanie Marksa

Dwóch Polaków w Getyndze pisało prace pod opieką Wilhelma Lexisa (1837–1914), wybitnego statystyka, demografa i ekonomisty. Dziś jego nazwisko znane jest głównie w związku z zaproponowaną przez niego metodą wizualizacji dynamiki



Udekorowany kwiatami przez nowo wypromowanych doktorów pomnik gęsiarki Elżuni na rynku w Getyndze, Getynga 2018.



procesów demograficznych za pomocą płaskiego diagramu, na przykład takich jak narodziny i zgony. Metoda ta zwaną jest diagramem Lexisa.

Chociaż jego wykłady były bardzo popularne, to Lexis nie na wszystkich Polakach zrobił dobre wrażenie. Aleksander Trzaska-Chrząszczewski w swych wspomnieniach tak o nim pisał: „Jako wykładowca był nawet jak na niemieckie stosunki wyjątkowo lichy. Mruzczał sobie coś pod nosem tak niewyraźnie, że aby niezwykle cenną treść wykładu dosłyszeć i zanotać, trzeba było siedzieć w pierwszej ławce”. Jednak rozprawy doktorskie Polaków napisane pod jego opieką były znakomite. Wśród jego podopiecznych znaleźli się Władysław Bortkiewicz (1868–1931) oraz Kazimierz Horowicz (1884–1920).

Urodzony w Petersburgu Bortkiewicz po studiach prawniczych w rodzinnym mieście uzupełniał wykształcenie na niemieckich uczelniach. W 1892 roku przybył do Getyngi i pod opieką Lexisa błyskawicznie napisał rozprawę doktorską, za którą w następnym roku otrzymał doktorat ze szczególnym wyróżnieniem (*summa cum laude*). Po krótkim pobycie w Rosji od 1900 roku zamieszkał w Berlinie. Wykładał statystykę na uniwersytecie, a obecnie tamtejsza katedra statystyki nosi jego imię. Bortkiewicz bardzo wcześnie zainteresował się rozkładem Poissona, przez niego nazwanym prawem małych liczb. Do czasów Bortkiewicza nie były znane zastosowania tego prawa w statystyce demograficznej. To on pokazał, że takim przykładem jest liczba zgonów pruskich kawalerzystów, które były wynikiem urazów spowodowanych kopnięciem konia. Innym słynnym rezultatem Bortkiewicza było wykazanie niespójności w rozprawie Karola Marksa o związku między rentownością a cenami relatywnymi. Bortkiewicz pokazał, że chociaż Marks dysponował wystarczającymi danymi statystycznymi, to jego wnioski były nieprawidłowe i naprawił jego rozumowanie. Sam Bortkiewicz również był znakomitym opiekunem rozpraw doktorskich, wśród jego podopiecznych znalazło się aż dwóch przyszłych laureatów Nagrody Banku Szwecji im. Alfreda Nobla (potocznie zwanej Noblem z ekonomii).

### O stosunku płci wśród urodzeń bliźniaczych

Drugi „polski doktorant” Lexisa właśnie pod jego wpływem zainteresował się statystyką. Horowicz początkowo studiował matematykę i fizykę w Warszawie, gdzie wysłuchał wykładów wielu znakomych profesorów, w tym Georgija Woronoja. Do Getyngi przybył jesienią 1905 roku, gdy rosyjskie władze, w ramach represji za strajki z 1904 i 1905 roku, zawiesiły uniwersyteckie wykłady. Od 1907 roku Horowicz prowadził badania naukowe, ale wydaje się, że głównie interesowało go międzynarodowe towarzystwo skupione w światowym centrum nauki.

Jego nazwisko pojawia się we wszystkich polskich wspomnieniach z Getyngi z tego okresu. Trzaska-Chrząszczewski, który wraz z nim obracał się w tym międzynarodowym środowisku, twierdził, że Horowicz był duszą towarzystwa, a ze względu na jego żywą inteligencję i duże poczucie humoru cudzoziemcy „lgnęli do niego jak muchy do miodu”. Roman Ingarden wspominał, że gdy Horowicz opuszczał Getyngę, pół miasta żegnało go na dworcu.

Zanim doszło do tego pożegnania, w połowie lipca 1912 roku Horowicz złożył rozprawę doktorską. Pod koniec miesiąca odbyły się egzaminy (zdane *cum laude*), a promocja miała miejsce na początku września. Czy dziś w Polsce możliwe byłoby takie sprinterskie tempo? Horowicz studiował u wielu matematyków, wysłuchał wykładów Kleina, Hilberta, Minkowskiego. Jako jeden z egzaminów wybrał matematykę. Egzaminujący go Hilbert nie zważał na jego statystyczne zainteresowania i pytał go o zaawansowane zagadnienia matematyki. Egzamin przebiegł pomyślnie.

Przybliżyłmy naukowe dokonania Horowicza. Jego rozprawa doktorska o stosunku płci wśród urodzeń bliźniaczych oraz o teorii płci Lexisa, którą uznał za wybitne dzieło naukowe, wzbudziła duże zainteresowanie w międzynarodowym środowisku statystyków i demografów. Po powrocie do Warszawy prowadził bardzo intensywne badania i organizował środowisko polskich statystyków. W 1917 roku napisał bardzo ważny tekst, w którym zaproponował sposób organizacji statystyki państwowej w niepodległej Polsce. W 1920 roku był jednym z założycieli Polskiego Instytutu Aktuariuszy. Jego plany pracy dla odrodzonej ojczyzny unicestwiła nagła śmierć we wrześniu 1920 roku. Dziś nieomal o nim zapomniano.

Pracy na rzecz organizacji polskiej oświaty i nauczaniu w szkołach poświęciło się dwoje doktorów getyńskiej wszechnicy. Pierwszy z nich to Franciszek Zienkowski (1880–1957). Ten absolwent radomskiego gimnazjum ukończył Instytut Politechniczny w Warszawie i w 1903 roku za zgodą rosyjskich władz wyjechał na dalsze studia do Getyngi. Pod opieką przyszłego laureata Nagrody Nobla Ottona Wallacha w 1905 roku uzyskał doktorat *summa cum laude* za rozprawę o właściwościach kamfenu. Natychmiast po powrocie do Warszawy włączył się w prace nad organizacją polskiego szkolnictwa, od 1920 roku do wybuchu II wojny światowej uczył w szkołach, w czasie wojny zaś na kompletach. Ze światem akademickim związał się na dobre dopiero po II wojnie światowej.

Lwowianka Wanda Łempicka (1888–1967) uzyskała doktorat w Getyndze w 1920 roku. Była córką geografa i botanika Antoniego Rehmana, profesora lwowskiego uniwersytetu. Studiowała we Lwowie, uczestniczyła w słynnym seminarium Kazimierza Twardowskiego. W 1911 poślubiła Zygmunta Łempickiego, germanistę, później profesora Uniwersytetu Warszawskiego. Małżeństwo podążyło na zagraniczne studia, najpierw do Berlina, a potem, w 1913 roku, do Getyngi. Łempicka wysłuchała wykładów matematyków Hilberta i Landaua, uczestniczyła w seminarium Husserla, ale przede wszystkim zajmowała ją psychologia. Pod wpływem Edmunda Müllera (Instytut Psychologii Uniwersytetu w Getyndze nosi jego imię) podjęła badania z zakresu psychologii i pod jego opieką przygotowała rozprawę doktorską (podobno jeszcze przed I wojną światową) o przestrzennym mieszanii barw na siatkówce (miało to związek z postrzeganiem dzieł impresjonistów). Złożyła tę rozprawę dopiero po wojnie, w 1918 roku.

Wśród wybranych przez nią egzaminów doktorskich był egzamin z analizy matematycznej, na egzaminatora został wyznaczony Edmund Landau. Ten wybitny znawca teorii liczb miał szczególnie temperament, w jego przypadku zaskakuje liczba pytań, które potrafił zadać w przysługującym mu czasie.

Do dziś pozostaje zagadką, jak doktorantom udawało się na nie odpowiedzieć. Łempickiej – doktora psychologii in spe – również nie oszczędzał. Wśród 18 pytań (!), które jej zadał, poruszył on tak obszerne tematy jak zasadnicze twierdzenie algebry i funkcja gamma Eulera, pytał o sumę szeregu (tzw. problem bazylejski) oraz o definicję logarytmu zespolonego. Zasłużenie na dyplomie doktorskim Łempickiej widnieje informacja o tym, że uzyskała uprawnienia z analizy matematycznej. Była pierwszą Polką, która zdobyła **takie uprawnienie**, pierwszą, która ma na dyplomie słowo „matematyka”.

W odrodzonej Polsce Łempicka została nauczycielką matematyki, uczyła głównie w gimnazjum (później liceum) im. Królowej Jadwigi w Warszawie. W czasie II wojny światowej uczyła na tajnych kompletach. Została aresztowana (wraz z mężem) i osadzona na Pawiaku. Potem była więziona w Auschwitz i innych niemieckich obozach, które opuściła dopiero w kwietniu 1945 roku. Po wojnie powróciła do nauczania. Jej uczennice wspominają, że miała wyjątkowy talent dydaktyczny. Ingarden zaś wspominał, że była „cichym współpracownikiem” męża, ale też, że była przez niego „zahuczana”.

### Trzydzieści pytań Landaua

Przy tej okazji można wspomnieć ostatniego z polskich matematyków z doktoratem w Getyndze. Warszawianin Arnold Walfisz (1892–1962) przygotował rozprawę z teorii liczb (1922) pod opieką Landaua. To właśnie Walfisz wskazał, że chce być egzaminowany z analizy matematycznej, geometrii i fizyki. Jego egzaminatorami, poza Landauem, byli Richard Courant i przyszły noblista James Franck. Tym razem Landau zadał ponad 30 pytań (!), a jednym z nich było: „hipoteza Riemanna i twierdzenie Grandjota o liczbach pierwszych”. Hipoteza Riemanna to problem dotyczący pewnej funkcji zmiennej zespolonej, obecnie zwanej dzetą Riemanna. Został on sformu-

wany przez wybitnego getyńskiego matematyka Bernharda Riemanna w 1859 roku. **Sądził on, że zbiór punktów, w których dzeta Riemanna przyjmuje wartość zero, można bardzo dokładnie opisać.** Nie potrafił jednak tego udowodnić. Odpowiedź na pytanie, z pozoru bardzo abstrakcyjne i odległe od wszelakich zastosowań, miałyby jednak bardzo poważne konsekwencje, także praktyczne. Pozytywna odpowiedź wskazałaby porządek w rozmieszczeniu liczb pierwszych, w tej chwili sprawiający wrażenie chaotycznego. Wśród problemów z listy siedmiu najważniejszych nierozstrzygniętych matematycznych hipotez – Millennium Prize Problems – znalazła się hipoteza Riemanna. Za pozytywne czy też negatywne rozwiązanie każdego problemu z listy można dostać nagrodę w wysokości miliona dolarów. Od chwili postawienia problemu matematycy nieustannie podejmują próby jego rozstrzygnięcia.

Wśród Polaków z getyńskim dyplomem doktora znalazło się kilku chemików. O Stanisławie Tołłoczce była mowa w artykule o polskich studentach Hilberta. Tołłoczko studiował w Getyndze matematykę (jego profesorami byli Hilbert i Klein) oraz fizykę i chemię fizyczną. W 1896 roku złożył papiery doktorskie, w których napisał, że zamierza zdawać egzaminy z chemii fizycznej, fizyki i matematyki. W skład komisji, przed którą zdawał egzaminy, wchodził przyszły noblista Walther Nernst (u którego Tołłoczko przygotował rozprawę) oraz fizyk Eduard Riecke i Hilbert. Poza nim doktoraty z chemii uzyskali Lewek (Leon) Doński (1880–1949) oraz Bolesław Strusiewicz (1905) i Stefan Bazarewski (1905), którzy zajmowali się **chemią rolniczą**. **Bazarewski był polskim Tatarem**, muślimem. W Wilnie, gdzie na Uniwersytecie Stefana Batorego kierował katedrą botaniki, prezesował muzułmańskiej gminie wyznaniowej. Strusiewicz bezpośrednio po studiach zajął się rodzinnym gospodarstwem, ale aktywnie działał w związkach rolniczych, szczególnie hodowców bydła i nierogacizny. Rozprawa



Audytorium Uniwersytetu w Getyndze, Getynga ok. 1912



foto. kolekcja Kazimierza Twardowskiego. Tablica pamiątkowa, plansza 24, zdjęcie 4

Wanda Łempicka, Lwów ok. 1910. Połączone Biblioteki WFIS UW, IFS PAN, PTF.

doktorska Leona Dońskiego o stopach wapnia (1908), w zmienionej wersji, została opublikowana w prestiżowym czasopiśmie „Zeitschrift für anorganische und allgemeine Chemie”, w swym czasie wzbudziła zainteresowanie w środowisku. Po

powrocie do ojczyzny Doński zamieszkał w Łodzi, prowadził firmy, założył w Gdyni bank. Był także aktywnym muzykiem, koncertmistrzem altówek. Zmarł w 1949 roku. W środowisku polskich chemików Doński i jego dokonania w zakresie chemii zostały zapomniane.

Ostatni z polskich doktorów getyńskiej uczelni, o których należy tu wspomnieć, to psycholog Stefan Błachowski (1889–1962), który jako jeden z egzaminów wybrał fizykę. Przed wyjazdem do Getyngi studiował filozofię i psychologię we Lwowie, uczestniczył w seminarium Kazimierza Twardowskiego. Po dwóch latach zrezygnował i przeniósł się do Getyngi. Doktorem filozofii został w 1913 roku. Był jednym z niewielu Polaków, którzy w Getyndze nawiązali kontakty z międzynarodowym środowiskiem studenckim, został nawet przewodniczącym związku „Corda Fratres”. Błachowski prowadził pionierskie badania nad pamięcią i zdolnościami matematycznymi, niestety je zarzucił. Później skupił się na psychologii; przeniósł się ze Lwowa do Poznania, gdzie aktywnie działał na rzecz środowiska psychologów. Po II wojnie światowej był rektorem Uniwersytetu Poznańskiego.

Kariery Polaków, którzy uzyskali doktorat w Getyndze, toczyły się różnie. Część z nich osiągnęła znaczącą pozycję w środowisku naukowym, niestety nie zawsze w kraju. Dwoje potencjalną karierę naukową poświęciło na rzecz pracy z młodzieżą. Byli też tacy, którzy nie związali się ze światem akademickim – zajęli się rodzinnym gospodarstwem lub własną firmą. Bezsprzecznie każdy z nich miał pozytywny, czasem bardzo znaczący wpływ na środowisko, w którym przyszło mu się obracać. Szkoda, że nie o wszystkich pamiętamy.

*Dr Danuta Ciesielska, Instytut Historii Nauki PAN im. L. i A. Birkenmajerów*



Po promocji doktorskiej Carla Siegla, Getynga, czerwiec 1920. Na zdjęciu w wózku transportowym Carl Ludwig Siegel i bezpośrednio nad nim Arnold Walfisz

Piotr Müldner-Nieckowski

# Bieganie z głową

Zdjęcie: Othaz Th Gz Pixabay

Uporczywe bieganie, niczym codzienne kąpiele, nie jest tak zdrowe, jak ludzie myślą. Co do kąpeli: higieniści podają różne wartości, ale najczęściej, że są one zdrowe tylko wtedy, kiedy nie odbywają się częściej niż raz na tydzień (jak w wojsku albo więzieniu) i nie rzadziej niż raz na dwa miesiące (jak w czasie marszu przez pustynię), rzecz jasna pod warunkiem że się pamięta o myciu.

Podobnie z bieganiem, zwłaszcza jeśli jego jedynym rzeczywistym celem jest przemieszczanie się, naśladowanie sportu. Może polegać na szybszym niż w marszu pokonywaniu kilku kilometrów dziennie czy tygodniowo. Podobnie działa zbyt często koszykówka czy tenis. Bywa to umownie nazywane treningiem wytrzymałości. Mylą to z pracą nad kondycją, czyli dbaniem o ogólny stan fizyczny organizmu. Kondycja to wskaźnik zdrowia i niekoniecznie odpowiada ponadprzeciętnemu pokonywaniu trudności, na przykład długich dystansów w stosunkowo krótkim czasie. Wytrzymałość natomiast jest jedynie zbiorem parametrów odporności na wysiłek, zdolnością przedłużania wysiłku, zatem czymś zupełnie innym niż zdrowie. Jeśli się nie zachowa umiaru w biegach i treningach, może być wręcz wstępem do zniszczenia ciała, nieraz nieodwracalnym.

Ludzie z uszkodzonymi tego rodzaju chodzą powoli, nieprecyzyjnie (zmiennie) unoszą i stawiają stopy, czasem korzystają z podpory jak osoby stare. Spotyka się je wcale nierzadko. Są ofiarami wieloletnich treningów „zdrowotnych”, takich jak uprawianie w nadmiarze gier sportowych, biegów, wspinaczek i innych ponadprzeciętnych wysiłków. Zbyt szybko wyczerpały życiowy limit mierzony kilometrami, skokami, gwałtownymi obciążeniami, ciężarami.

Limit ten można sobie obliczyć w celach ilustracyjnych, ułatwiających zrozumienie problemu. Dla biegów i chodzenia wysiłkowego można przyjąć, że są to „normalne” 3 kilometry dziennie przy 200-dniowym „roku chodzenia”, czyli 600 kilometrów marszu rocznie (przy założeniu, że w pozostałe dni nie przechodzi się więcej niż 1 km). Niemało, prawda? A są tacy, którzy dodają do tego raz w tygodniu 10 km ( $600 + 500 = 1100$  km rocznie) i jeszcze się tym chępią. Nie przychodzi im do głowy, że za jakiś czas zaczną kuleć, a lekarze zaproponują wymianę stawów na sztuczne. O ile będą po temu warunki, bo może nie być...

Myślę, że limit biegu dla danej osoby jest stały i należy go przestrzegać, ale oszczędzanie chodzenia nie jest konieczne. Chód pod względem odporności na urazy i zużycia tkanek jest zoptymalizowany. Bieg już nie. Limit biegu zmniejsza się proporcjonalnie do wieku, aż znika całkiem, dlatego że tkanki ludzkie starzeją się i na skutek tego mają coraz mniejszą odporność na walkę z trudnościami tego świata. Z histo-

rii ludzkości wynika, że organizm męczyzny został transcendentnie obliczony mniej więcej na 35 lat życia, a kobiety na 38, po czym kończy się spontaniczna, cybernetyczna zdolność regeneracji zużycia tkanek i narządów oraz napraw uszkodzeń pourazowych. Kiedy człowiek dzięki szczególnej przemyślności wydłuża swe życie wbrew założeniom biologii, zaczyna się szybkie ubywanie tych zdolności i dochodzi do pojawienia się chaosu zdrowotnego.

Starość, zaczynająca się wraz z zanikiem zdolności reprodukcyjnej, przez biologię przewidziana nie została. Nasila się nieodwracalność zużycia tkanek, które nawet u osobników młodych nie mają wystarczających własnych możliwości regeneracyjnych, przede wszystkim tkanki nerwowej, chrzęstnej, w dużym stopniu kostnej, skomplikowanych konstrukcji w narządach, nieraz skrajnie delikatnych, takich jak oko, ucho wewnętrzne czy mózg, niemających żadnych biologicznych mechanizmów zastępczych.

Świadomość tego pozwala uważnie zastanowić się nad faktem, że – jak twierdzą badacze z Johns Hopkins Hospital w Baltimore, USA – w czasie biegania, które wykracza poza wspomniany limit roczny, zużycie stawów zwiększa się w tempie 1:5, to znaczy, że 1 kilometr biegu odpowiada 5 kilometrom marszu. Jeśli ktoś przebiega 10 km, to tak jakby przeszedł 50. Bieg zastępujący chód zmniejsza zatem możliwy życiowy dystans aż pięciokrotnie. Wynika to z nietrwałości chrząstki, która ma znikomą zdolność regeneracji. W czasie biegu uporczywe gwałtowne zderzenia elementów stawu znacząco sprzyjają jego degeneracji, ponieważ są to mikrourazy wielokrotnie silniejsze niż w czasie chodu.

Chrząstka stawowa należy do typu szklistego, jest jak szkło dość krucha, nie ma błony ochrzęstnej. Kontakt z niosącymi substancje odżywcze naczyniami krwionośnymi ma tylko przez stosunkowo odległą torebkę stawową. Komórki chrząstkotwórcze (chondroblasty i chondrocyty) są w chrząstce umiejscowione luźno, w dużych odstępach, dlatego „ślizgacze” stawowe stworzone z chrząstki są praktycznie pozbawione zdolności odnawiania się. Ubytki, pęknięcia można ratować za pomocą dochrzęstnego podawania komórek chrząstkotwórczych, ale nie da się tego robić ani często, ani w nieskończoność. Duże zużycie, uszkodzenie, zniszczenie chrząstki traktuje się jak zniszczenie stawu, i tam, gdzie to jest możliwe, przeprowadza jego wymianę na sztuczny. Słowem dawny znakomity maratończyk, kiedy dorośnie, czasem może liczyć tylko na medycynę...

Jeśli więc biec, to z głową.

e-mail: lpj@lpj.pl

# Złe bodźce

W aktualnych krajowych uwarunkowaniach legislacyjnych swoboda i wolność w prowadzeniu badań to naiwny idealizm w obliczu chorobliwej „punktozy”. Co więcej, jeśli pieniądze są kluczem do zdobywania punktów, to determinują one także awanse naukowe, oceniane przez pryzmat liczby zdobytych punktów, zamiast jakości pisanych tekstów.

Nakłoniony przez kolegę ekonomistę do zapoznania się z tekstem artykułu Marka Wrońskiego pt. *Jak zapłacić sloty*, opublikowanego przez „Forum Akademickie” (nr 2/2021 – red.) oraz zachęcony sugestią zabrania głosu jako czytelnik, postanowiłem podzielić się krótką refleksją dotyczącą poruszonego tematu. W artykule w szczególności zaintrygował mnie wątek związany z funkcjonowaniem czasopisma „European Research Studies Journal”, w którym, jak się okazuje, publikują nierzadko pracownicy Wydziału Nauk Ekonomicznych Uniwersytetu Warmińsko-Mazurskiego w Olsztynie. Jeszcze w styczniu bieżącego roku byłem pracownikiem tego wydziału, będąc wcześniej przez ponad 42 lata związany z tym środowiskiem akademickim, rozpoczynając swą karierę naukowo-dydaktyczną jeszcze w ówczesnej Akademii Rolniczo-Technicznej w Olsztynie. Ta, raczej dość długa, perspektywa czasowa upoważnia mnie do wyrażania opinii na temat oceny osiągnięć naukowych ekonomistów reprezentujących owo środowisko, także jako osoby, jak śmiem sądzić, mającej doświadczenie naukowo-badawcze nie tylko o charakterze krajowym, ale również międzynarodowym.

## Łatwe 100 punktów

Swój komentarz zacznę nieco „od końca”. Chodzi mianowicie o zastanawiające mnie od pewnego czasu „łatwe” zdobywanie dużej liczby punktów za artykuły publikowane przez pracowników Wydziału Nauk Ekonomicznych UWM w Olsztynie, których dorobek i reprezentowany poziom naukowy jest mi bardzo dobrze znany, choćby z tego powodu, że są wśród nich moi wychowankowie czy osoby, których prace doktorskie czy osiągnięcia habilitacyjne miałem okazję poznać z racji obowiązków recenzenta lub członka stosownych komisji. Nie kwestionując zasadniczo wartości ich dokonań naukowych, do czasu zapoznania się z treścią artykułu nie mogłem do końca zrozumieć, w jaki sposób banalne w sensie naukowym teksty ich autorstwa są bez kłopotów publikowane „za 100 punktów”. Po zapoznaniu się z tekstem M. Wrońskiego wszystko stało się dla mnie jasne – teksty nie muszą być przecież „outstanding”. Liczą się natomiast układy typu „łomżyńskiego” i dostęp do kasy, a dzięki temu publikowanie w „European Research Studies Journal” stoi otworem. A propos układów, wspomniany w artykule dr inż. Ireneusz Zuchowski jest byłym doktorantem ówczesnego Wydziału Zarządzania olsztyńskiej uczelni, obecnie to

Wydział Nauk Ekonomicznych. Mniej więcej w tym samym okresie uczestnikami tych samych studiów doktoranckich były różne osoby pracujące aktualnie na wydziale, w tym jego obecna dziekan.

Utrzymywanie starych kontaktów między naukowcami nie jest oczywiście samo w sobie niczym nagannym. Wręcz przeciwnie, współpraca między ośrodkami może wzbogacać obie strony. W tym przypadku można jednak przypuszczać, że istotnym motywem tejże współpracy jest wzajemne „wzbogacanie się w punkty”, a nie rozwój wiedzy naukowej. Może jest to przypuszczenie dość daleko idące, ale faktem jest, że około 20% pozycji w kategorii „artykuł w czasopiśmie zagranicznym” przygotowanych do ewaluacji jakości działalności naukowej na Wydziale Nauk Ekonomicznych UWM w Olsztynie, dających 30% punktów w tej kategorii, to artykuły w tym wątpliwej jakości czasopiśmie (brak IF). Osobiście uważam, że takie pozycje powinny być zdyskwalifikowane i pominięte w ustalaniu wyniku ewaluacji. Jest to bowiem rażący przypadek nieuczciwej konkurencji w „zdobywaniu punktów”, w porównaniu na przykład z publikacjami w cieszącym się dużym prestiżem w środowisku polskich ekonomistów czasopiśmie „Ekonomista”, któremu przypisano raptem 40 punktów. Inna budząca moje zastanowienie sytuacja, to publikowanie przez pracowników wydziału w równie wysoko punktowanym jak „European Research Studies Journal” czasopiśmie „Equilibrium”, zwłaszcza w świetle zatrudnienia na olsztyńskiej uczelni osoby będącej w składzie Editorial Team.

## Środki zastępcze

Obawiam się, że przytoczone, zaobserwowane w środowisku Wydziału Nauk Ekonomicznych UWM w Olsztynie praktyki, służące zdobywaniu jak największej liczby punktów, nie są odosobnione, ponieważ stworzony system punktowej oceny naukowej wartości publikacji sprzyja, niestety, tego typu nadużyciom. W rezultacie otrzymujemy zdeformowany obraz aktywności naukowej oraz osiągnięć naukowych, szczególnie w naukach społecznych, do których należy także reprezentowana przeze mnie ekonomia. Z tego właśnie powodu z perspektywy ekonomisty zwrócę uwagę na to, dlaczego w obecnym stanie rzeczy deformacja jest nieuchronna. Chodzi o tak zwane „złe bodźce”, skłaniające różne podmioty do działań służących maksymalizowaniu partykularnych korzyści, a nie

ogólnego dobrobytu. Na problem ten (ang. wrong incentives) zwrócił uwagę między innymi laureat nagrody Nobla w dziedzinie ekonomii w 2001 r. Joseph E. Stiglitz. Odnosząc to do świata nauki, należy pamiętać, że celem naukowca nie powinna być przecież „produkcja punktów”, lecz tworzenie użytecznej wiedzy, tak jak celem nauczyciela akademickiego nie powinno być „wypuszczanie absolwentów”, lecz kształcenie umysłów. Obecne uregulowania prawne i związane z nimi obowiązujące reguły gry w ewaluacji jakości działalności naukowej to złe bodźce, bo wymuszają zdobywanie punktów, spychając na drugi plan rozwój wiedzy. Co więcej, produkcja punktów odbywa się często za spore pieniądze polskiego podatnika, wyprowadzane do wydawnictw, które zauważyły okazję do robienia biznesu, nie przejmując się zbytnio tym, czy wszystkie akceptowane publikacje wnoszą faktyczny wkład do rozwoju nauki. Nawet czasopisma posiadające niezły IF osiągają go nie tylko dzięki cytowaniu wartościowych artykułów, ale także, przynajmniej w pewnej mierze, dzięki „wymuszonemu” sztuczemu cytowaniu innych banalnych tekstów. Mamy tutaj do czynienia ze swoistym efektem jazdy na gapę i samonakręcaniem IF.

### Dualny absurd

Jestem przedstawicielem i zwolennikiem starej, jak się obawiam, być może odchodzącej do lamusa historii, szkoły myślenia o uprawianiu nauki: mianowicie pisze się wtedy, kiedy ma się coś do powiedzenia, a nie w pogoni za punktami. Oczywiście publikowanie jest niezbywalnym zadaniem naukowców (publish or perish), ale ważne jest przede wszystkim to, co się publikuje, a nie wyłącznie gdzie, czyli właściwie – za ile punktów. W aktualnych krajowych uwarunkowaniach legislacyjnych swoboda i wolność w prowadzeniu badań to naiwny idealizm w obliczu chorobliwej „punktozy”. Co więcej, jeśli pieniądze są kluczem do zdobywania punktów, to determinują one także awanse naukowe, oceniane przez pryzmat liczby zdobytych punktów, zamiast jakości pisanych tekstów. Do tego dochodzi też problem potencjalnej uznaniowości decydentów uczelnianych (np. władz dziekańskich lub przewodniczących dyscyplin), komu sfinansować możliwość punktowania, nie zaś na jakie badania przeznaczyć środki. W efekcie mamy do czynienia z dualnym absurdem wydatkowania środków publicznych, polegającym na płaceniu różnym wydawnictwom za publikacje dające „dużo punktów” oraz finansowym gratyfikowaniu (dodatki jakościowe, nagrody) osób zdobywających punkty.

Obiektywna ocena wartości naukowych osiągnięć nie jest zadaniem łatwym, ale z pewnością nie powinna być oparta na mechanicznym stosowaniu „wydumanych algorytmów” i manipulowaniu punktacją. Pisał o tym na przykład profesor W. Polak (*Wydumane algorytmy, bezsensowny system punktowy, fatalna „konstytucja dla nauki”*, WPiS, 5/2021). Bibliometria jest bez wątpienia ważna, ale nie może być bezmyślnie wykorzystywana w ocenie osiągnięć naukowych, które mają przecież jakościowy charakter i nie mogą podlegać jedynie mechanicznej wycenie ich punktowej wartości, zwłaszcza gdy dochodzi do „majstrowania” przy mechanizmie stosowanym do jej przeprowadzania w wyniku gry różnych grup interesów.

Poddając krytyce obowiązujący system ewaluacji jakości działalności naukowej dyscyplin, mam na myśli głównie nauki społeczne, których jestem reprezentantem, zgodnie z obecną klasyfikacją. Nie jestem w tym odosobniony ani szczególnie oryginalny. Na problem adekwatności istniejącego systemu w odniesieniu do nauk społecznych zwracają uwagę między innymi profesorowie M. Gorynia (ekonomi-

sta) i B. Sitek (prawnik) w artykule pt. *Rola czasopism naukowych w zreformowanym systemie nauki i szkolnictwa wyższego w Polsce*, opublikowanym w czasopiśmie „Ruch Prawniczy, Ekonomiczny i Socjologiczny” (nr 2/2021). Co do zasady podzielam wyrażony przez nich pogląd o podejściu ewolucyjnym i potrzebie systematycznej weryfikacji jakości czasopism i ewentualnego zmniejszenia ich liczby. Diabeł jak zwykle tkwi w szczegółach. Chodzi o to, kto i na podstawie jakich kryteriów ma weryfikować poziom naukowy czasopism. W sensie aksjologicznym odpowiedź wydaje się prosta: oceny jakościowej powinni dokonywać eksperci, będący uznanymi autorytetami w dyscyplinach, a kryteria oceny powinny być obiektywne i transparentne. Operacjonalizacja takiego podejścia to jednak poważne wyzwanie i może się powieść jedynie wówczas, gdy przyjęte rozwiązania będą odzwierciedleniem możliwie jak najpowszechniejszych konsensusów środowisk naukowych, reprezentujących poszczególne dyscypliny naukowe. Istota sprawy tkwi w tym, aby przyjęte reguły nie budziły sprzeciwu, powodowanego nieprzestrzeganiem logiki obiektywnej oceny osiągnięć naukowych, a jednocześnie nie odrywały nas w kraju od uznanych standardów międzynarodowych.

### Plagiat jako osiągnięcie

Obecne reguły gry sprzyjają niestety bylejakości i są dość sprytnie wykorzystywane przez słabe środowiska naukowe, które walczą nie do końca fair, „kupując” punkty, aby ratować się przed niską pozycją w parametryzacji, a w konsekwencji niższą kategorią. Nie chodzi jedynie o punkty za publikacje w czasopismach, ale także monografie, których poziom naukowy bywa nierzadko żenująco niski. Zalewająca nas produkcja monografii w naukach społecznych jest spowodowana właśnie przez obowiązujące reguły. Pisanie monografii jest coraz rzadziej wywołane potrzebą dzielenia się cenną wiedzą naukową, opartą na wynikach solidnych badań. W praktyce wydanie monografii to głównie kwestia środków potrzebnych na sfinansowanie takiego zamiaru, a nie chęci upowszechniania wiedzy. Przyjęte i niefortunnie modyfikowane zasady oceny jakości działalności w naukach społecznych zamiast poprawie poziomu jakości sprzyjają erozji etosu pracy naukowej, a niekiedy prowadzą nawet do upadku dobrych obyczajów w nauce. Dla przykładu, czyż nie jest takim przypadkiem zaliczanie do dorobku osoby, a także automatycznie jednostki naukowej, osiągnięcia naukowego w postaci monografii, w której powołany w postępowaniu habilitacyjnym recenzent dostrzegł ewidentne znamiona plagiatu? Chodzi o dobrze mi znaną, jako członkowi i sekretarzowi komisji habilitacyjnej, konkretną sytuację, która przez władze wydziału i mojej byłej uczelni została „zamieciona pod dywan” w trosce o fałszywie pojęte dobro środowiska.

Podsumowując, moim skromnym zdaniem, wprowadzony system ewaluacji jakości działalności naukowej w odniesieniu do nauk społecznych uległ samoczynnej dyskwalifikacji. Konieczna jest w tym zakresie fundamentalna zmiana myślenia, której wynikiem będzie dążenie naukowców do tworzenia wiedzy, a nie produkcji punktów. Żadne, zwłaszcza kosmetyczne, korekty obowiązujących reguł gry niczego na lepsze nie zmienią, jeśli nie będziemy o tym pamiętali.

Prof. dr hab. Szczepan Figiel, Instytut Ekonomiki Rolnictwa i Gospodarki Żywnościowej  
– Państwowy Instytut Badawczy w Warszawie

Tytuł, lead i śródtytuły pochodzą od redakcji.

# Artykuł czy książka?

Wiek XIX upowszechnił w nauce konkurencyjną wobec autorskiej książki formę prezentacji badań: artykuł w periodyku naukowym. Jego objętość, w przybliżeniu dziesięciokrotnie mniejsza od książki, bardziej odpowiadała uczynom uprawiającym badania matematyczno-przyrodnicze czy techniczne.

Jednym z atrybutów myślenia naukowego była umiejętność artykulacji, rozczłonkowania wybranej do rozważań całości tematycznej lub problemowej. W prawie rzymskim ujmowano akty prawne w artykuły, co ułatwiało zrozumienie zasadniczego tekstu ustawy. Najdalej idąca artykulacja mogła prowadzić do fragmentacji tekstu, czyli w praktyce do chaosu treści rozbitej na oderwane fragmenty. Naukę chińską zdominowało „wielkie miareczkowanie”, uprawiane przez wieki w oderwaniu od tradycji zachodnioeuropejskiej. Artykulacja przekazywanych treści musiała logicznie respektować zasadę *pars pro toto*. Poprawna artykulacja miała z założenia dyscyplinować wypowiedzi autorskie, naukę akademicką cechowała ścisłość logiczna wypowiedzi wykluczająca teoretyczne dywagacje. Na pograniczu nauki i literatury pięknej (beletrystyki) rozwinęła się forma eseju. Wzorzec ten upowszechnił Michel de Montaigne w dziele *Essais de Messire Michel seigneur de Montaigne, Chevalier de l'Ordre du Roi, et Gentilhomme ordinaire de sa Chambre* (1580). Uznano, że rozważania powinny być osobiste, subiektywne, na wysokim poziomie intelektualnym, bez ukazania warsztatu autora i bez odwołań do literatury przedmiotu. Ten nie był precyzyjnie wyodrębniony. Forma eseju przydatna była historykom literatury czy filozofom. Stanowiła kontynuację dawnych wypowiedzi dyskursywnych.

Artykuły naukowe miały cechy przeciwstawne eseistyczne. Widocznym znakiem naukowości były przypisy bibliograficzne, biograficzne, czy też odwołania do literatury przedmiotu. Finezijną formą były źródłowe cytaty. Artykuły miały często formę relacji z przeprowadzonych badań bądź informacji o odkryciu naukowym. Tytuł artykułu wyznaczał jego zakres tematyczny i problemowy. Ponieważ objętość artykułu zbliżona była do jednego arkusza wydawniczego, nie było podstaw do wyodrębnienia w nim rozdziałów. Autorzy odwoływali się do tradycyjnej triady: wstęp, rozwinięcie, zakończenie.

## Referat i artykuł

Formą prymarną artykułu stał się referat czy odczyt, prezentowany na forum towarzystwa naukowego. Od połowy XIX wieku pojawiły się zjazdy i konferencje, także międzynarodowe, na których referat był typową formą wypowiedzi. W efekcie miejsce „nauki książkowej” zaczęła zajmować mozaikowa „nauka artykułowa”. Wiek XIX upowszechnił w nauce konkurencyjną wobec autorskiej książki formę prezentacji badań: artykuł w periodyku naukowym. Jego objętość, w przybliżeniu

dziesięciokrotnie mniejsza od książki, bardziej odpowiadała uczynom uprawiającym badania matematyczno-przyrodnicze czy techniczne. Formę tę zaakceptowali uczeni prawnicy, ekonomiści i lekarze. W ich przypadku decydowała nie specyfika artykulacji odkryć i ustaleń, jak w przypadku uprawiających „nauki ścisłe”, lecz dążenie do zagwarantowania sobie prawa do odkrycia, a z drugiej strony lenistwo intelektualne. Koszty druku periodyków dyscyplinowych pokrywały towarzystwa naukowe. Zwłaszcza kwartalniki stały się emblematyczną formą działalności towarzystwa naukowego, tworząc tym samym podstawy do formowania lokalnych szkół naukowych, zorganizowanych wokół mistrza kierującego redakcją periodyku.

Takim mistrzem-redaktorem był Samuel Dickstein, który od 1888 roku finansował publikacje w „Pracach Matematyczno-Fizycznych”, a od 1897 w „Wiadomościach Matematycznych”. Ten XIX-wieczny model pracy redakcyjnej dotrwał do śmierci Dicksteina na początku wojny (28 IX 1939). Praca redakcyjna należała do wolnych zawodów, nie przynosiła honorariów i realizowana była okresowo, zależnie od potrzeb. Periodyki matematyczne odegrały decydującą rolę w rozwoju tej dyscypliny. Kazimierz Kuratowski oceniał (*Pół wieku matematyki polskiej 1920-1970. Wspomnienia i refleksje* 1973): „Pierwszy tom czasopisma «Fundamenta Mathematicae» ukazał się w 1920 roku. Data ta może być uważana za moment zainaugurowania Polskiej Szkoły Matematycznej”. Integryjną rolę pełniły „Roczniki Polskiego Towarzystwa Matematycznego”, ukazujące się w Krakowie. Pozostałe wydawnictwa matematyczne („Fundamenta Mathematica”, „Studia Mathematica”, „Acta Arithmetica”) nie podlegały żadnej instytucji. Za redagowanie ich odpowiadały komitety redakcyjne. Środki na druk pozyskiwano bezpośrednio z Funduszu Kultury Narodowej oraz Ministerstwa Wyznań Religijnych i Oświecenia Publicznego. Dopiero po II wojnie światowej przejęło wszystkie wydawnictwa Polskie Towarzystwo Matematyczne. W sumie nie katedry szkół akademickich, a wydawnictwa integrowały i instytucjonalizowały Polską Szkołę Matematyczną.

## Przedmiot twórczej dyskusji i powódz artykułików

Artykuły zawiązywały kontakt z nowymi ustaleniami i odkryciami dyscypliny, niosły jednak ryzyko nadmiernego rozproszenia i szczegółowości. Autorzy artykułów nie mogli liczyć na honoraria, ale na tym forum periodycznym budowali swoją pozycję naukową. Sąsiedowanie artykułów różnych



For: Steffen Gierhan

autorów w periodyku przyczyniło się do wzrostu liczby książek „zbiorowych”, których rozdziały były także pisane przez różnych autorów. Były to często prace okazjonalne, rozbite merytorycznie.

Edward Taylor oceniał (*Wspomnienia ekonomisty*, 2008): „Za mały nacisk kładłem w lekturze na czasopisma, za duży zaś na książki, dzieła konstrukcyjne. Te ostatnie bowiem dopiero z pewnym opóźnieniem syntetyzują to, co jest podawane jako świeży rezultat w artykułach. Natomiast artykuły zawierają to, co jest krytykowane, rozszerzane i zmieniane nieraz przez dłuższy okres, stanowiąc przedmiot owocnej i twórczej dyskusji. Do książek wchodzi już tylko rezultaty tych dyskusji, bez związku z historią powstawania rozwiązań danych problemów”. Drugą stroną medalu ukazał Adam Wrzosek (publikował jako „Adam Skibiński”) w rozprawie *Mysli o reformie wydziałów lekarskich* (1919). Głosił: „Istną plagą piśmiennictwa medycznego jest powódź artykułów, artykułików, jakie spotykamy w czasopismach lekarskich. Tylko nieznaczna ich część posiada jaką taką wartość naukową, a reszta najniepotrzebniej zaśmieca i tak już mocno zaśmieconą i zachwaszczoną literaturę medyczną”.

W humanistyce akademickiej z zasady wypadało mieć więcej słów do wypowiedzenia, jednak po formę artykułu sięgać zaczęli zwolennicy „przyczynków” czy też „esejów”.

Zainteresowanie humanistów formą artykułu często wynikało z konieczności życiowych. Franciszek Bujak w autobiografii (1927) wyjawiał: „Wobec obowiązków uniwersyteckich, trudnych warunków wojennych i lichego zdrowia nie zdobyłem się na tyle energii, ile by potrzeba na dokończenie większej pracy. Ile razy zabierałem się do którejs z tych rozpoczętych prac, odczuwałem psychiczną konieczność odrobienia wpiętych różnych drobnych zaległych robót, które zbyt łatwo przyrzekałem redaktorom lub organizatorom zbiorowych przedsięwzięć, a niektóre z tych drobnych robót, np. recenzje, zabierały mi po dwa i trzy miesiące czasu. W ten sposób rozmieniałem się na drobną monetę przygodnych artykułów zamiast wytwarzać większe wartości naukowe”. Jan Szczepański w *Dziennikach z lat 1945-1968* (2013) zanotował 13 września 1957 roku: „Dzisiaj kończę 44. rok życia (...). Nie wydałem jeszcze ani jednej większej książki. Dopiero teraz piszę i składam z prac i maszynopisów poprzednio niewydanych duży maszynopis pt. *Socjologia XIX i XX wieku* (...). Pisałem sporo artykułów publicystycznych, które znajdowały rozgłos i echo. Napisałem kilkanaście rozpraw naukowych uznanych za dobre”. Można więc było osiągnąć uznaną pozycję w świecie nauki bez wielkich dzieł własnych. Mimo tego Szczepański odnotował (30 III 1958): „Sądzę, że jest tylko jedno kryterium sukcesu: dokonane dzieło, zawarte w formach napisanych prac”. Z kolei 31 grudnia 1959 roku podliczył: „Po wojnie wydrukowałem 143 artykułów, recenzji, notatek, skrypty, pozycji publicystycznych itp. Wraz z 31 przedwojennymi jest tego 174 drobiazgów”.

Artykuł był formą umożliwiającą debiut publikacyjny młodym pracownikom nauki. Napisanie książki wymagało wieloletnich wysiłków i długiego okresu czasu zabiegania o publikację. „Nauka książkowa” była ciągle uzależniona od prywatnych wydawców komercyjnych, według których wprowadzenie książki naukowej na rynek łączyło się z dużym ryzykiem, a z pewnością z długim okresem oczekiwania na zwrot poniesionych kosztów. Dążenie do publikacji (publish or perish) skłaniało wielu młodych autorów do publikowania rozdziałów pracy doktorskiej przed obroną i publikacją doktoratu. W efekcie – zwłaszcza, gdy nie wprowadzano w końcowej publikacji zmian w porównaniu z artykułem i pomijano przypisy bibliograficzne – pojawiło się zjawisko dublowania treści „nauki artykułowej” w ramach „nauki książkowej”. Liczba artykułów z danych specjalności sprawiała, że wygasła zasada erudycji – nawet w skali poszczególnych dyscyplin. Autorzy specjalizowanych głęboko artykułów pisali do własnego kręgu i takie teksty też czytali.

Konsekwencje rozbudowy „nauki artykułowej” pojawiają się przede wszystkim w sferze „nauki książkowej”. Na podstawie ankiety, rozprawdzonej między samodzielnymi pracownikami nauki w Polsce (nadeszło 5984 odpowiedzi, 62,5% ogółu), Czesław Dejarowicz ustalił (*Literatura naukowa – uczeni – wydawcy*, 1980), że przynajmniej jedną książkę opublikowało 65,6% respondentów. Najwięcej publikacji książkowych mieli prawnicy (95,7%), a najmniej fizycy (40,4%). Oczywistym czynnikiem promującym prawników była szybka dezaktualizacja podstaw normatywnych publikowanych prac, a także ich podręcznikowy charakter. Publikując pierwszą książkę naukową mieli, przeciętnie biorąc, 37,4 lat. Najmłodszy spośród nich to historycy i filozofowie (34,4 lat), najstarsi to medycy (40,5 lat).

# W poszukiwaniu użytecznej przeszłości

Prof. Zbigniew Szmyt z Instytutu Antropologii i Etnologii Uniwersytetu im. Adama Mickiewicza otrzymał Nagrodę im. Prof. Tadeusza Kotarbińskiego. Kapituła uhonorował nią jego książkę „Zbyt głośna historyczność. Użytkowanie przeszłości w Azji Wewnętrznej”, zgłoszoną do konkursu przez Wydawnictwo Naukowe UAM.

W uzasadnieniu napisano: „Autor stara się z szacunkiem i empatią traktować fundamenty azjatyckiej kultury i jej sposoby radzenia sobie z przeszłością. To także, a może przede wszystkim, praca o granicach imputacji kulturowej. Na ile możliwa jest rekonstrukcja świata nam pozornie niedostępnego, przesłoniętego odmienną kulturą, opartego o inne wartości, odwołującego się do dalekiego od zachodnich wzorów poczucia historyczności. Zbigniew Szmyt stanowczo odrzuca silnie zakorzenioną w tradycji europejskiej tezę o »ludach bez historii«. (...) Sugestywnie pokazuje, że to po prostu inny rodzaj refleksji historycznej, wpisującej w odmienny, kulturowy kontekst”.

Książka opisuje poszukiwania użytecznej przeszłości prowadzone przez mieszkańców postsocjalistycznej Azji Wewnętrznej. Autor dokonuje analizy na poziomie państwa, społeczności lokalnej i w rodzinach. Wiele uwagi poświęca praktycznym formom funkcjonowania przeszłości wykraczającym poza tradycyjną historiografię i politykę historyczną, a także poza instytucje ją reprodukujące: szkoły, muzea, uniwersytety. Bogaty materiał etnograficzny odsonił oddolne i pozatekstualne praktyki związane z wizualnym, cielesnym, materialnym i rytualnym wymiarem użytkowania przeszłości. Można się zatem dowiedzieć, dlaczego syberyjscy buddyści widzą w Putinie kobietę, po co ałtajscy szamani walczą z archeologami, a duchy ofiar komunizmu w Mongolii domagają się upamiętnienia. Antropologiczna perspektywa wykorzystana w książce do wyjaśnienia procesów społecznych zachodzących na Syberii, w Mongolii czy

na chińskich peryferiach, może także zostać wykorzystana do zrozumienia rzeczywistości otaczającej czytelnika.

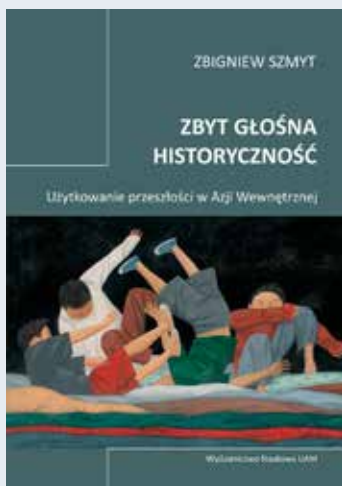
– Moje serce i moje myśli są teraz z narodem ukraińskim. Przyjdzie czas na analizy, na pisanie artykułów, szukanie humanistycznego wyjaśnienia tego, co się tam wydarza. Ale teraz jest czas na działanie. Życzę sobie i innym, by nasze działania były skuteczne i pomocne – powiedział laureat, odbierając nagrodę. Na dalsze badania naukowe otrzymał 50 tys. zł.

W tym roku, w obliczu wojny w Ukrainie, zrezygnowano z uroczystej gali. Spotkanie w gronie finalistów i członków kapituły miało kameralny charakter. Dodatkowo przez cały weekend Pałac Alfreda Biedermanna, w którym wręczono nagrodę, był podświetlony w narodowe barwy Polski i Ukrainy.

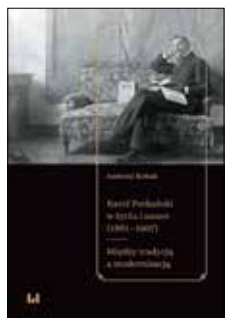
Do siódmej odsłony konkursu na najlepszą książkę humanistyczną w Polsce zgłoszono aż 70 dzieł wydanych w 2020 roku. Oprócz zwycięskiego dzieła w finale znalazły się: „Etyka niezależna w Polsce” Stefana Konstańczaka; „Eutyryka. Rzecz o dobrej (roz)mowie” Doroty Korwin-Piotrowskiej; „Doświadczyć prawdziwej rzeczywistości. Prolegomena do filozofii mistyki”, T. 1. „Filozofia doświadczenia mistycznego”, T. 2. „Człowiek wobec doświadczenia mistycznego” Krzysztofa Stachewicza; praca zbiorowa pod redakcją naukową Danuty Ulickiej „Wiek teorii. 100 lat literaturoznawstwa polskiego” Monografia, „Wiek teorii” Antologia 1 i Antologia 2.

W sumie, w dotychczasowych konkursach, ocenie kapituły poddano blisko 430 książek z niemal 130 instytucji naukowych. Wśród laureatów są m.in. prof. Jan Strelau, prof. Andrzej Friszke, prof. Jerzy Zajdło. Nagroda przyznawana jest przez Uniwersytet Łódzki.

(m)



## Rzemieślnik nauki



Zapomniana nieco w naszej w historiografii postać historyka mediewisty Karola Potkańskiego (1861-1907) ukazywana była przy okazji badań nad początkami państwa polskiego. Potkański był bowiem autorem dzieł: *Napis grobowy Bolesława Chrobrego, Postrzyżyny u Słowian i Germanów, Geneza organizacji grodowej, O pierwotnym osadnictwie w Polsce, Lachowie i Lechici czy Kraków przed Piastami*.

Bardziej chyba jest znany z anegdoty, która obrosła legendą, o tym jak nadano mu stopień naukowy doktora. Wcześniej osierocony przez

rodziców i wychowywany przez wuja Juliana Malczewskiego, wraz z jego synem, późniejszym malarzem Jackiem, zawsze prawie chory, o tendencjach neurastenicznych i jakby nieprzystosowany do czasów mu współczesnych, zdołał zachwycić rozległością wiedzy i pracowitością środowisko historyczne Uniwersytetu Jagiellońskiego. Podkreślić trzeba, że „Carlo” – jak nazywała go krakowska bohema – pozostawał głównie autodydakta, indywidualistą zarówno w zdobywaniu wiedzy, jak i w szukaniu odpowiedniej dla poznawanego zagadnienia metody historycznej refleksji. Wypracował własne sposoby argumentowania i prezentowania wyników, tyle że niestety prawie zawsze dość wąskim gronu. Rozprawa *Postrzyżyny u Słowian i Germanów*, która ukazała się drukiem w 1895 r., została zauważona przez krakowskich historyków. Zaproponowano Potkańskiemu, by stanął przed komisją egzaminacyjną, jednak obezwładniająca go neurastenia niweczyła wciąż te zamiary. Wówczas grono profesorskie zorganizowało kolację, podczas której nic niepodejrzewający Potkański wdał się w rozmowę z „przypadkowymi” gośćmi, profesorami. Pod koniec kolacji dziekan oznajmił młodzieńcowi, że właśnie zdał celujący egzamin doktorski.

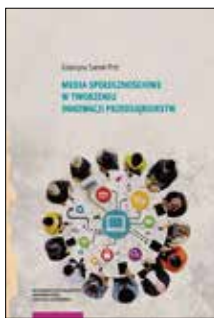
Do krakowskiej szkoły historycznej Potkański wprowadził nowe metody badawcze, np. topograficzną, opierającą się na badaniach planów wsi. Odwoływał się również do wyników osiągniętych przez nauki społeczne, etnografię i socjologię, dążąc do wykrycia prawidłowości rozwojowych w dziejach osadnictwa, historii ustrojowej i gospodarczej. W pracach poświęconych dziejom osadnictwa na Podhalu, Kurpiach czy Puszczy Radomskiej opierał się na gruntownej analizie map topograficznych i katastralnych oraz odnajdowaniu szczególnego kontekstu procesów osadniczych w ogólnych typach rozwoju ekonomicznego społeczeństw, stosując w badaniach analogię i retrogresję. Był badaczem pedantycznym, rzemieślnikiem nauki, który wielokrotnie swoje prace poprawiał i przepisywał. Zasadniczo miały one charakter analityczny, choć nie brakowało monografii. Nie był może mistrzem słowa na miarę pisarskich dokonań Szajnoch, Kubali czy Askenazego. Bliżej było mu do kondensacji problemu i dogłębnej analizy właściwej badaniom przyrodników. Trudno jednak bez Potkańskiego wyobrazić sobie rozwój historii gospodarczej Polski. Jego zasługą było zainspirowanie historyków tematyką gospodarczą.

Potkański – jak uzasadnia Andrzej Kobak – ożywił środowisko krakowskich historyków. Na przełomie stuleci zapanował tu na chwilę zastój i osłabienie pędu poznawczego jego czołowych postaci. Michał Bobrzyński zajął się działalnością polityczną, Stanisław Smolka po napisaniu *Mieszka Starego* (1881) oraz *Kiejstuta i Jagiełły* (1888) na 20 lat zamilkł, a strudzeni pracą Franciszek Piekosiński i Wincenty Zakrzewski nie mieli już dawnej energii i zapалу do odkrywania przyszłości. Młodsze pokolenie historyków krakowskich, Kazimierz Morawski, Jan Fijałek, Aleksander Ludwik Birkenmajer, unikało politycznego rozrachunku z przeszłością i kontynuując metodologicznie pozytywistyczno-krytyczne stanowisko szkoły krakowskiej, przeszło na pozycję wyświetlania historii kultury i nauki. Jedynie Potkański wnosił nowy powiew metodologiczny i tematyczny, dowartościowując metodę indukcyjną i uzupełniając krytykę źródła pisanego o rezultaty odkryć archeologicznych. Jego nowatorskie poczynania przerwała niestety zbyt rychła śmierć.

Bogdan Bernat

Andrzej KOBAK, *Karol Potkański w życiu i nauce (1861-1907). Między tradycją a modernizacją*, Wydawnictwo Uniwersytetu Łódzkiego, Łódź 2021.

## Nie tylko lajki



Pod artykułem jednej z lubelskich gazet, zamieszczonym na Facebooku, pojawił się swego czasu niewybredny komentarz. Pewnie nie zwróciłby niczyjej uwagi i szybko utonął w zalewie innych, gdyby nie profil, z którego został wysłany. Widniał w nim nie anonimowy zwykle nick, lecz nazwa niewielkiej lokalnej firmy. Na internautów podzieliło to niczym płachta na byka. Zaczęli ciskać gromy, zaatakowali firmowy fanpejdż, niektórzy – choć zważywszy na specyficzną branżę i tak nie robili tam zakupów – zapowiedzieli nawet boj-

kot towarów. Właściciel, widząc co się dzieje, przeprowadził błyskawiczne śledztwo. Być może miał świadomość, że zadziała przytoczony i w tej książce mechanizm: wzrost liczby negatywnych ocen bardziej wpływa na jego zwiększenie. Cóż się okazało? Upust swoim emocjom za pomocą klawiatury dała nieroztropna pracownica, mająca dostęp do konta. Naciągającemu kryzysowi udało się zapobiec. Sytuacji nie zamieciono pod dywan, publicznie ją wyjaśniono, wizerunek ocalał, a firma do dziś radzi sobie nie najgorzej.

Zdarzenie, jakich bez liku w świecie, w którym to co realne miesza się z wirtualnym, a wielu uczestników nie ma ani kompetencji, ani wyobraźni, by umiejętnie się w nim poruszać. Dobitnie jednak pokazało, że media społecznościowe to prawdziwe pole minowe. Katarzyna Sarmek-Preś obraca jednak ten medal na drugą stronę. Owszem, pułapek nie brakuje, ale to również ogromna szansa. Znakomita część komercyjnych podmiotów już dziś chętniej patrzy w kierunku „konsumenta wirtualnego” i sięga po platformy komunikacyjne. To ta grupa, która zrozumiała, że czas tradycyjnego jednowymiarowego marketingu dobiegł końca. No właśnie, czy serwisy towarzyskie, biznesowe, wideo, a nawet foto – jak choćby rosnący w siłę Instagram – służą tylko do działań promocyjnych? Autorka dowodzi, że social media, z których korzysta już ponad miliard ludzi, mogą być pomocne również w... kreowaniu innowacji. Wynika to w dużej mierze ze specyfiki tych narzędzi, ich użytkownicy nie są jedynie biernymi odbiorcami treści. Oceniając markę, testując produkty, pisząc recenzje, stanowią cenne źródło wiedzy, a jednocześnie mają całkiem realny wpływ na działalność firm. Przy czym z mądrości tego tłumu, będącej współczesną wersją korporacyjnej burzy mózgów, tyle że w skali globalnej, biorą się nie tylko nowe produkty, ale również rozwiązania organizacyjne, procesowe czy – last but not least – marketingowe. To one budują dziś konkurencyjną przewagę. Nowe smaki lodów, unikalny sposób dystrybucji, efektywny proces rekrutacji, szybsza obsługa... Firmy angażujące klientów jako innowatorów otwierają się szerzej na ich potrzeby, a tym samym są o krok od rynkowego sukcesu. Efekty takiej współpracy, o czym wspomina autorka, to np. model telefonu znanej marki czy innowacyjny dezodorant.

Żałuję, że publikacja nie objęła studiów przypadku z krajowego podwórka. Takich przykładów nie byłoby wprawdzie wiele – jak wynika z prezentowanych w książce badań, naszym firmom towarzyszy duża obawa przed obserwowaniem przez konkurencję, boją się też negatywnych komentarzy, koniec końców wołają w kwestii innowacji polegać na swoich pracownikach aniżeli na inteligencji sieciowej – ale pokazanie właśnie tych nielicznych pionierów, a tacy już są, na pewno przysłużyłoby się sprawie. I poza wszystkim innym byłoby dla czytelnika atrakcyjnym uzupełnieniem teoretycznych rozważań. Tym niemniej, w obliczu postępującej wirtualizacji działalności gospodarczej i przy tym wyjątkowo skromnej naukowej bazy tego zjawiska, publikacja może stanowić bardzo przydatną instrukcję obsługi mediów społecznościowych w świecie biznesu.

Konrad Pfeiffer

Katarzyna SAMEK-PREŚ, *Media społecznościowe w tworzeniu innowacji przedsiębiorstw*, Wydawnictwo Naukowe Uniwersytetu Mikołaja Kopernika, Toruń 2021.

## Wieszczów dwóch



Myśląc o polskim romantyzmie, zapewne bez zastanowienia podalibyśmy od razu dwa nazwiska: Mickiewicz i Słowacki. Obaj poeci, chociażby za sprawą edukacji już na etapie szkoły podstawowej, tak głęboko zakorzenili się w powszechnej świadomości, że ich współistnienie lub w pewnej mierze wzajemne uzależnienie stało się chyba status quo. Nie dziwi zatem, że wybrane motywy ich twórczości zostały wzięte na warsztat literaturoznawczy przez śląskiego badacza. Leszek Zwierzyński pisze we wstępie: „Książka niniejsza jest próbą

opisania romantycznej wyobraźni, opartą na zbadaniu zasadniczych cech poezji Juliusza Słowackiego i Adama Mickiewicza, twórców dwóch podstawowych modeli wyobraźni naszego romantyzmu”.

Zwierzyński, dokonując przekrojowego i analitycznego opisu kształtu wyobraźni obu wieszczów, czyni to na wybranych motywach, wątkach, symbolach. Cytuje fragmenty utworów lirycznych i dramatycznych, czerpie pełnymi garściami z przebogatej skarbnicy ich dokonań, aby znaleźć jak najwięcej argumentów na potwierdzenie swych tez i zbudować jak najpełniejszy obraz tego, co napędzało wyobraźnię obu twórców i stanowiło o ich sile, a może też i słabości. Przyjęta strategia badawcza pozwala czytelnikowi prześledzić, jak stopniowo budowały i rozwijały się owe dwa odrębne, ale może też w pewnym stopniu zbieżne poetyckie światy. Autor zauważa, że Mickiewicz wyrasta wprost z epoki klasycznej, zaś Słowacki z sentymentalnej, ale obaj stworzyli wyraziste i niezwykle pojemne poetyckie formy.

Zbyt wiele tematów porusza Zwierzyński, bym mógł je omówić, ale każdy z nich jest obficie poparty cytatami i konkluzjami autora. Wybrane motywy to m.in. obecność i rola drzew, wody i metalu w *Panu Tadeuszu* lub archetyp domu jako ostoi bezpieczeństwa albo raczej jego brak u Słowackiego. Na ontologicznych refleksjach opiera się główny zamysł książki, z którym koresponduje chociażby zawarte w tytule JA. To właśnie BYT jest zrębem całego naukowego wywodu snutego na kartach publikacji. Byt, czyli w dużym uproszczeniu również jego dwie główne składowe dominanty: dobro i zło. Autor, w oparciu o konkretne utwory, zadaje pytania o naturę zła i jego pochodzenie: Unde malum? Interesująco rozwija zagadnienie mistycyzmu w późnej poezji obu wieszczów, którego źródła, jak twierdzi, należy doszukiwać się w Biblii oraz chrześcijaństwie zarówno obrządku zachodniego, jak i wschodniego. Obu poetom Bóg wydaje się niezwykle istotnym punktem odniesienia, chociaż próby ujęcia tego transcendentnego Bytu wydają się odmienne i przyjmują inną literacką postać.

Po lekturze książki nasuwa się jednak jeden główny wniosek, że w tej walce dwóch gigantów szermujących odmiennymi poetyckimi wyobrażeniami nie ma zwycięzcy ani przegranego, obaj mistrzowie stoją niezłomnie na swych pozycjach. Zwierzyński wskazuje punkty wspólne oraz różniące drogi tych dwóch różnych romantycznych życiorysów literackich, ale na szczęście jest sędzią bezstronnym, który nie faworyzuje żadnego z „zawodników”.

Można nieraz odnieść wrażenie, że bogactwem swych przelanych na papier myśli Mickiewicz i Słowacki sami niejako tworzą epokę zwaną romantyzmem. Ich twórczość bez wątpienia jeszcze przez wiele pokoleń będzie stanowiła inspirację i punkt odniesienia dla kolejnych twórców, źródło wzruszeń i zachwytu dla czytelników oraz niezgłębione i nieodkryte jeszcze pole badawcze dla przyszłych naukowców. Odczytując nieco mniej przekornie słynny cytat, moglibyśmy powiedzieć, że Słowacki i Mickiewicz wielkimi poetami byli. A rozważania, któremu z nich należy się laur pierwszeństwa, chyba nie mają większego sensu, wszak wawelska krypta na szczęście pomieściła geniusz ich obu.

Jacek Hnidiuk

Leszek ZWIERZYŃSKI, *W głębi i w dal Ja. O poezji Mickiewicza i Słowackiego*, Wydawnictwo Uniwersytetu Śląskiego, Katowice 2021.

## Odpowiedź to nie wszystko



Co to jest? Kto to jest? Jak się nazywa ta rzecz? Dlaczego dzisiaj pada śnieg? Skąd się biorą chmury? Setki i tysiące podobnych pytań zadają codziennie rodzicom na całym świecie ich pociechy, zmuszając w ten sposób opiekunów do sporego wysiłku intelektualnego. Każdy, kto usiłował sprostać niespożytej ciekawości najmłodszych, wie, że nie jest to łatwe zadanie. W kolejnym etapie rozwoju dziecka pałeczkę w wyścigu o podtrzymywanie zainteresowania złożonością świata oraz zachodzącymi w nim zjawiskami przejmuje szkoła. Edu-

kacja na poziomie instytucjonalnym jest już jednak na tyle skomplikowanym procesem, że wymaga od jego dorosłych uczestników umiejętności posługiwania się odpowiednio dobranymi metodami, tak by przekazywane treści były dla młodych adeptów wiedzy nie tylko w pełni zrozumiałe, ale także pobudzające do podjęcia trudu samodzielnej refleksji.

Matthew Lipman, autor książki *Myślenie w edukacji* i twórca nowatorskiego programu kształcenia „Filozofia dla dzieci”, zachęcał, by skorzystać z rozwiązań dziedziny, która w swoim etymologicznym rodowodzie ma umiłowanie mądrości. Dlaczego? Ano dlatego, że – jak pisze autor – to właśnie filozofia zaopatruje świat w idee, nad którymi można nieustająco nie tylko deliberować, ale także je kwestionować. Niewyczerpana moc stawiania kolejnych pytań otwiera pole do rozważań na każdy temat. Dzięki umiejętności ich zadawania można sprawić, by jednostki już od najmłodszych lat nauczyły się patrzeć na świat z różnych perspektyw, a w konsekwencji potrafiły w przyszłości wyjść poza własne schematy poznawcze. Priorytetem proponowanego rozwiązania jest nauczanie dzieci takich umiejętności myślowych, jak dociekanie oraz rozumowanie, o którym autor pisze, że jest fundamentem rozwoju. Klasa szkolna zamieniona na proponowaną przez niego wspólnotę dociekania, do której wiodących cech należy zarówno inkluzyjność, rozumność, jak również dyskusowanie czy bezstronność, staje się w ten sposób bezpieczną przestrzenią wymiany poglądów.

Zachęcanie dzieci do podejmowania dyskusji nad powodami różnych zachowań własnych i cudzych inspiruje je do wykrywania związków zachodzących między pojawiającymi się treściami. W moderowaniu debaty dużą rolę do odegrania ma, zdaniem Lipmana, nauczyciel. To od jego postawy zależy, jak ostatecznie wyglądać będzie dialogiczna społeczność. Optymalną sytuacją jest prezentowanie przez pedagoga postawy fallibilistycznej, co w praktyce oznacza gotowość przyznania się do błędu. Najgorszym ze scenariuszy jest natomiast wygłaszanie przez pedagoga autorytarnych sądów. W całym procesie edukacji chodzi w końcu o to, podkreśla autor, by młodzi adepci wiedzy nauczyli się być autonomicznymi, rozumnymi istotami, po to, by w przyszłości stać się takimi samymi obywatelami, kolegami, a później rodzicami i dziadkami.

Lipman mocno przy tym akcentuje potrzebę wdrożenia do edukacyjnego procesu myślenia krytycznego. Nie jest jednak w swoich poglądach niepoprawnym idealistą, zdaje sobie oczywiście sprawę, że krytyczne myślenie nie daje stuprocentowej gwarancji powstania zbiorowości samodzielnie myślących podmiotów. Tym niemniej niezaprzeczalne walory tego rodzaju refleksji, a nade wszystko jego bezcenne funkcje obronne, pozwalają realnie myśleć o ochronie jednostki przed uleganiem wpływowi szkodliwych przesądów czy krzywdzących stereotypów. Każdemu z pewnością przyda się pewien, jak to ujmuje autor, „pancerz sceptycyzmu” pełniący funkcję zapory przed falą wszechobecnej manipulacji.

Książka Lipmana jest dobrym przykładem tego, jak w sposób klarowny przełożyć głoszone tezy na praktyczne, gotowe do wykorzystania na co dzień rozwiązania. Można zaliczyć ją do lektur, które powinny znaleźć miejsce w bibliotece każdego, kto zajmuje się edukacją i rozumowaniem.

Aneta Zawadzka

Matthew LIPMAN, *Myślenie w edukacji*, tłum. Anna Łagodzka, Wydawnictwo Uniwersytetu Łódzkiego, Łódź 2021, seria: Edukacja dla Mądrości.

## Mury są do obrony



Nakładem Urzędu Miasta Lublin ukazała się pozycja, która z całą pewnością zainteresuje wszystkich profesjonalnie i amatorsko zajmujących się dziejami tego miasta. Obie autorki, a także redaktor tomu, do niedawna miejski konserwator zabytków, a obecnie dyrektor lubelskiego Narodowego Instytutu Dziedzictwa, dr Hubert Mąciak, gwarantują czytelnikom profesjonalizm i jakość treści samej publikacji, rzetelność badań nad archiwaliami oraz wiedzę na temat omawianej materii.

Książka składa się z dwóch części. Pierwsza jest omówieniem historii rozwoju miejskich obwałowań. O ile w początkach historii miasta mury pełniły funkcje obronne – a nie należy zapominać, że pod miasta podchodzili nie tylko Tatarzy, ale także Jaćwingowie i Litwini – to z czasem stały się one nie tyle obroną, co poważnym utrudnieniem w rozwoju miasta. Tym bardziej że od czasu Unii Lubelskiej miasto zdawało się niezagrożone przez żadnego wroga. Mury starzały się i wymagały naprawy, a miasto rozszerzało się poza ich obszar, co akceptowali wspierający jego rozwój polscy monarchowie. W siedemnastym wieku wydano szereg przywilejów pozwalających na budowy na zewnątrz murów, ich częściową rozbiórkę oraz korzystanie z nich w sposób sprzeczny z zasadami prowadzenia działań zbrojnych, np. zabudowę placów tuż pod murami. Nie oznacza to, że miasto pozostawało bezbronne, równolegle podejmowano bowiem decyzje o rozbudowie zewnętrznych obwałowań ziemnych, zgodnych z nowszą sztuką wojenną. Należy jednak podkreślić, że wojny połowy XVII wieku zastały Lublin nie w pełni przygotowany do obrony.

W kolejnych latach degeneracja murów obronnych postępowała, tak że Komisja Boni Ordinis nie miała innego wyjścia jak tylko nakazanie rozbiórki ich części. Zakończenie dzieł lubelskich murów autorki kwitują słowami: „W ten sposób na pocz. XIX w. dokonał się ostatecznie los murów obronnych miasta Lublina. Ocalało jednak kilka obiektów, które nieprzerwanie dają świadectwo ich dawnego istnienia”.

Bardzo ciekawym fragmentem książki są rozdziały analizujące wartość obronną murów lubelskich na tle dziejów sztuki wojennej. Jak z tych analiz wynika, system obronny miasta był dobrze przemyślany i prawidłowo wykonany. Autorki pozwalają sobie na konstatację, że „miasto było dobrze zabezpieczone przed napadem i przygotowane na wypadek regularnego oblężenia”.

Druga część książki jest katalogiem obiektów rozmieszczonych w obwodzie murów obronnych Lublina. Zbiór 26 obiektów jest kompletną bazą wiedzy na temat tego zespołu, każdy z wyciecznych fragmentów obwałowań jest opisany (jeżeli już nie istnieje, to na postawie ikonografii i archiwaliów), przedstawiono jego historię oraz literaturę przedmiotu. Jednakże warto wskazać, że z wyciecznych obiektów jedynie trzy (Brama Krakowska, Brama Grodzka i Baszta Półokrągła) zachowały się w dobrym stanie.

Książka wzbogacona jest interesującym materiałem ikonograficznym, obejmującym plany miasta oraz materiał dotyczący pojedynczych, omawianych w katalogu obiektów. Dużą wartość stanowi także kompletna bibliografia, pozwalająca czytelnikowi na orientację w literaturze przedmiotu.

Warto zwrócić uwagę, że autorki pozyskały z Biblioteki Uniwersytetu Lwowskiego „Rysunek Kolegium Jezuickiego”, czyli zespołu wokół obecnej katedry, sygnowany w roku 1620 przez Jakuba Briano, dzięki czemu miały – jako pierwsze – możliwość rekonstrukcji struktury murów obronnych miasta na tym obszarze.

Książka obu autorek przyczynia się do poznania dziejów Lublina i jego zabytków przede wszystkim dzięki starannej kwerendzie bibliotecznej i archiwalnej, i stanowi cenny wkład do literatury przedmiotu. Ewentualne narzekania na mały nakład publikacji (500 egzemplarzy) zrównoważy fakt, że książka jest możliwa do znalezienia w internecie w tzw. wolnym dostępie.

Juliusz Gałkowski

Jadwiga TEODOROWICZ-CZEREPIŃSKA, Grażyna MICHALSKA, *Mury Miejskie Lublina*, Urząd Miejski Miasta Lublin, Lublin 2021.

## Książki nadesłane

Michał Paweł MARKOWSKI, *Polska, rozkosz, uniwersytet. Opowieść edukacyjna*, Wyd. UJ, Kraków 2021, seria: Hermeneia.

Stanisław ŁUBIENSKI, *Książka o śmieciach*, Wyd. Agora, Warszawa 2020.

*Nanopolis. Uniwersum przez lupę. Interaktywna książka dla całej rodziny*, UMK, Toruń 2021.

*W przestrzeniach kultury. Studia interdyscyplinarne*, pod red. Beaty GONTARZ, Magdaleny KEMPNEJ-PIENIĄŻEK, Anny MAJ, Wyd. UŚ, Katowice 2020.

Jerzy ŁUKASZEWICZ, *Zdarzenie – technika – sztuka. Myślenie sztuki filmowej. Obserwacje*, Wyd. UŚ, Katowice 2021.

Mateusz PALIGA, *Satysfakcja z pracy i wydajność pracowników. Relacja (nie)oczekiwana*, Wyd. UŚ, Katowice 2021.

Krystyna KŁOSIŃSKA, *Neuroza. Zagrożone męskości*, Wyd. UŚ, Katowice 2021.

Magdalena M. STUSS, *Zarządzanie talentami. Konceptje, modele i praktyki*, Wyd. UJ, Kraków 2021.

Maciej CZEREMSKI, *Mit w umyśle. Ewolucyjno-kognitywne podstawy form mitycznych*, Wyd. UJ, Kraków 2021, seria: Jagiellońskie Monografie Religioznawcze. Mity.

Giorgio MANGANELLI, *Literatura jako kłamstwo*, PIW, Warszawa 2021.

Ewa GROCHOWSKA, *Plac jako zagadnienie urbanistyczne*, OW PW, Warszawa 2021.

Katarzyna KUCZYŃSKA-KOSCHANY, *Tuwim: Pęknięcie*, Wyd. UŁ, Łódź 2021, seria: Egzystencja i literatura.

Zygmunt PUCKO, *O utracie. Szkice filozoficzne*, Wyd. UJ, Kraków 2021.

Marta SIKORSKA, *Aleksandra Piłsudska (1882-1963)*, Wyd. UŁ, Łódź 2021.

Andrzej G. KRUSZEWICZ, *Sekretne życie zwierząt*, Rebis, Poznań 2020.

Lech KOŁODZIEJCZYK, *Malarstwo jako egzystencja – tożsamość osobista a postawa twórcza*, Wyd. UŚ, Katowice 2021.

Szymon GODAWA, *Osobowość i kompetencje wychowawcze oligofrenopedagogów*, Wyd. UŚ, Katowice 2021.

Tomasz KUBALICA, *Hans Kelsen a problem interpretacji prawa*, Wyd. UŚ, Katowice 2021.

„Ethos”, nr 133, styczeń – marzec 2021, *Głupota*, Instytut Jana Pawła II KUL, Lublin 2021.

Marek WALCZAK, *Do źródła*, Towarzystwo Naukowe Societas Vistulana, Kraków 2021, seria: Studia z historii sztuki dawnej IHS UJ i MN w Krakowie.

Tomasz REZYDENT, *Niewidzialny front. Zapiski lekarza z pierwszej linii walki z koronawirusem, strachem i paniką*, DW Rebis, Poznań 2020.

Kinga NĘDZA-SIKONIEWSKA, *Nowoczesne. O syberyjskich miastach okresu radzieckiego*, Wyd. UJ, Kraków 2021.

Artur GRABOWSKI, *Co myślą wiersze*, Wyd. UJ, Kraków 2021.

Maja IWASZKIEWICZ, *Świnia na sądzie ostatecznym. Jak postrzegano zwierzęta w średniowieczu*, Wyd. Poznańskie, Poznań 2021.

*Nanopolis. Uniwersum przez lupę. Interaktywna książka dla całej rodziny*, koncepcja i tekst Anna BIELAWIEC-OSIŃSKA, Kinga NEMERE-CZACHOWSKA, Liliana RADKIEWICZ, Anna WIELBIŃSKA, oprac. graf. Jakub SOBCZAK, UMK, Toruń 2021.

Joanna PLUTA, *Psyche w mediosferze. Geneza i współczesność psychologii mediów*, Wyd. UMCS, Lublin 2021.

Tomasz WITKOWSKI, *Giganci psychologii. Rozmowy na miarę XXI wieku*, tłum. Magdalena Wajda-Kacmajor, Anna Alochno-Janias, Agnieszka Cioch, Wyd. Bez Maski, Wrocław 2021.

Jacek PONIEDZIAŁEK, *Etnosymboliczna teoria narodu Anthony'ego D. Smitha*, Wyd. Nauk. UMK, Toruń 2021.

Wioletta ZIELECKA-MIKOŁAJCZYK, *Gdzie Wschód spotkał się z Zachodem. Dzieje i organizacja unickiej diecezji przemysko-samborskiej w latach 1596-1772*, Wyd. Nauk. UMK, Toruń 2021.



For. Stefan Ciechan

Leszek Szaruga

# Pożytki pandemii

Od dwóch lat rujnowało to-to życie globalne, w szczególności zaś towarzyskie. Studenci pierwszego roku spotykający się na zajęciach online mówią do siebie per pan i pani, wielu rozstrzyga dylemat, szczepić się czy nie szczepić, jakby to była kwestia monologu Hamleta, kontakty międzyludzkie uległy poważnemu zaburzeniu, a maseczki utrudniają nawiązywanie bliższych znajomości, nie mówiąc już o innych atrakcjach związanych z pandemią, łącznie z daleko idącymi zaburzeniami w funkcjonowaniu gospodarki, a i to zależy gdzie – w Danii czy w Polsce, bo jedni wyszczepieni dostatecznie, drudzy nie.

Myszę jednak, że naukowcy, jeśli można się tu posłużyć takim terminem, cieszą się. Szybkie rozprzestrzenianie się wirusa pozwala na badanie wszelkich możliwych jego cech i możliwości, tym bardziej że znalazły się większe niż dotąd pieniądze na badania (choć te pieniądze są, ale dotąd lokowane w innej sferze – nikt mi bowiem nie wmówi, że laboratoria nie pracują pełną parą nad zakazaną bronią bakteriologiczną, ale w tym wypadku akurat kasa przeznaczona jest na osiągnięcie innych celów). Fakt wyprodukowania szczepionki w tak szybkim czasie – na początku pandemii zakładano, że trzeba będzie na to co najmniej dwóch lat – świadczy o istnieniu w tej dziedzinie potężnych rezerw. A i tu nie obyło się bez ostrej konkurencji o podłoże politycznym – Rosjanie i Chińczycy wyprodukowali własne antidotum na koronawirusa, bo i w ten sposób mogą zademonstrować swój potencjał.

Sama choroba, przy tej ilości danych i związanych z nimi publikacji naukowych na całym świecie, jest już chyba bardzo dobrze rozpoznana, choć oczywiście interesujące mogą być jej przebiegi w zależności od odmian i nowych mutacji wirusa. Ale jeszcze bardziej interesujące są długofalowe skutki choroby, których chyba za dobrze jeszcze nie znamy. Właśnie czytam obszerny artykuł temu poświęcony, a relacjonujący zaburzenia w funkcjonowaniu organizmów ozdrowieńców. I te zaburzenia wydają się równie groźne jak ciężki przebieg samej choroby: wyrwy w pamięci, niestabilność zmysłów smaku i zapachu, niekiedy dramatyczne. A to dopiero początek, wstępne rozpoznania.

Bez wątplenia specjalistów czeka huk roboty, zaś gromadzenie danych jest w tej chwili chyba jedną z najbardziej istotnych spraw, jakimi trzeba się zająć, zwłaszcza że zapewne w różnych grupach wiekowych następstwa zakażenia będą miały – czas przyszły jest tu jak najbardziej na miejscu – odmienny charakter. Na szczęście możemy już – inaczej niż to było sto lat temu

w czasie pandemii hiszpanki – błyskawicznie przetwarzać spływające lawinowo informacje i opracowywać programy pozwalające na ich odpowiednią klasyfikację. Przy czym wszystkie te badania nie ograniczają się do kwestii medycznych czy, szerzej rzecz ujmując, biologicznych.

Ważne wydają się badania w sferze nauk społecznych. Co i jak trwale pandemia zmieniła w naszym życiu? Badania pewnie już trwają, ale na poważniejsze opracowania trzeba będzie poczekać. Przede wszystkim ważnym doświadczeniem wydaje się upowszechnienie pracy online. Czy i jak w przyszłości ten sposób organizacji się rozwinie, trudno przesądzać, lecz niewątpliwie pandemia stała się bodźcem pozwalającym przećwiczyć takie rozwiązania na dość dużą skalę. Podobnie ma się sprawa z organizowaniem konferencji czy spotkań z artystami, liczba takich wydarzeń online i ich stosunkowo duża popularność z pewnością może być impulsem do dalszego upowszechnienia tego typu kontaktów. A to przecież tylko pierwsze z brzegu przykłady przemian wymuszonych przez epidemię. I choć wiadomo już, że nauczanie online ma sporo niekorzystnych skutków, to przecież w niektórych wypadkach tego typu rozwiązania mogą okazać się korzystne. Choćby poprzez włączenie w system edukacji ludzi niepełnosprawnych: tu rozwiązania hybrydowe wydają się stwarzać interesujące perspektywy.

Przede wszystkim jednak pandemia powinna dać potężny impuls pracom nad przebudową służby zdrowia nie tylko w skali kraju, lecz także w skali globalnej. Charakter zagrożeń tego typu ma wymiar powszechny, nie da się całkowicie izolować, nie uznaje granic państwowych. Widać obecnie, jakie znaczenie ma tutaj współpraca międzynarodowa. Wciąż jednak nie sposób określić zasad owej współpracy, jak choćby sposobu finansowania walki z epidemią w krajach biednych, które mogą stać się ogniskami zarazy groźnymi dla wszystkich. Czy i jak możliwe jest stworzenie sieci medycznego zabezpieczenia, wspierania krajów o słabo rozwiniętej służbie zdrowia przez kierowanie do nich lekarzy i służb pomocniczych? Podobnych pytań jest zapewne więcej, zaś szukanie na nie odpowiedzi może też przyczynić się do rozwoju współpracy w innych dziedzinach. Jedno nie ulega wątpliwości: pandemia może zostać wykorzystana jako doświadczenie o charakterze przełomowym – zagrożeni są wszyscy, bez względu na dzielące ludzi różnice. Czy to nas czegoś nauczy? Pewności w tej mierze mieć nie można, ale ostrożną nadzieję mimo wszystko – tak.



Wydawnictwo  
FRSE

Fundacja Rozwoju Systemu Edukacji – Narodowa Agencja Programu Erasmus+  
i Europejskiego Korpusu Solidarności, od niemal 30 lat wspierająca rozwój badaczy i naukowców,

ogłasza

# KONKURS

## na najlepsze monografie

poświęcone edukacji

Zwycięskie prace ukażą się w językach polskim i angielskim nakładem Wydawnictwa FRSE,  
wpisanego na listę wydawnictw punktowanych Ministerstwa Edukacji i Nauki.

PATRONAT

**FORUM**  
AKADEMICKIE

Zapraszamy do współpracy

szczególne:

[www.frse.org.pl/wydawnictwo](http://www.frse.org.pl/wydawnictwo)





LODZ2022  
EUROPEAN  
UNIVERSITIES  
GAMES  
EUSA

Największa  
 impreza sportowa  
 w Europie

w **2022**  
**Europejskie  
Igrzyska  
Akademickie**  
**Łódź 17-30 lipca 2022**

[www.eug2022.eu](http://www.eug2022.eu)



Politechnika Łódzka

**EUSA**



Akademicki  
Związek  
Sportowy

